

Miasto na Górze

(Przełożył: Tadeusz Gosk)

PROLOG

Sali posiedzeń Rady Dyrektorów nie remontowano już od wielu lat, aby nie zniszczyć bezpowrotnie świętych fresków na jej suficie. Plafony niemal zupełnie wyblakły i pokryły się dziwnymi plamami wilgoci, co sprawiło, że znajdujące się na nich sceny batalistyczne nabrały jeszcze więcej dynamizmu i tajemniczości.

Pan Dyrektor Spel wpatrywał się w sufit, starając się odnaleźć jakiś sens w malunkach, gdyż nie chciał sprawiać wrażenia, że interesuje go to, co działo się akurat na sali.

Pan Dyrektor Mekil, szef policji, kończył już swoje miażdżące przemówienie i do uszu Spela dobiegły urywki zdań: "Inżynier Lemeń, gwałcąc w sposób zbrodniczy wszelkie normy postępowania... Inżynier Lemeń, okrywając hańbą jeden z najszacowniejszych rodów... Inżynier Lemeń, dokonując świętokradczego zamachu..."

Mekil, przezwiskiem Glizda, miał na myśli rodzinę Spelów. Inżynier Lemeń zapragnął poślubić córkę Spela.

Szesnastu Dyrektorów, siedzących w twardych drewnianych fotelach wokół masywnego wypolerowanego łokciami stołu, słuchało mówcy bardzo uważnie i każdy z nich starał się przeniknąć, jaką groźbę dla niego osobiście kryje w sobie gniewna oracja Glizdy. Chudy, ponury, podobny do nietoperza Pierwszy Dyrektor Kalgar obracał w palcach dzwonek przewodniczącego. Wzmocnienie pozycji Mekila było mu nie na rękę, a nikt nie wątpił, że przestępstwo Lemenia zostało przynajmniej w połowie wymyślone przez szefa policji. W ten sposób Glizda będzie mógł niedługo dobrać się do samego Spela.

Kalgar zerknął na Spela, który przyglądał się freskom na suficie. Spel najwyraźniej osłabł, bo nie odważył się wystąpić przeciwko Glizdzie i teraz musi udawać, że cała sprawa go nie dotyczy. Glizda skończył. Dyrektorzy poruszyli się. Któryś z nich zakasłał. Kalgar wstał. Był Pierwszym Dyrektorem i do jego obowiązków należało przeprowadzenie głosowania. Pomyślał przelotnie, że od dłuższego czasu nie widział Gery Spel. Podobno jest chora.

- Panie Dyrektorze Spel - powiedział. - Czy potwierdza pan, że przestępca inżynier Lemeń zasługuje na śmierć w Ognistej Otchłani?

Spel pochylił głowę.

- Pan Dyrektor Generalny?

Cielsko w mundurze z błyszczącymi naszywkami drgnęło:

- Bez wątpienia.

- Pan Dyrektor Kopalń?

Dyrektor Kopalń poruszył bezdźwięcznie wargami, udając głęboki namysł. Kalgar pomyślał, że Glizda dał mu łapówkę, ale widocznie za małą.

- Uważam, że postęпки inżyniera Lemenia wykraczają, że tak powiem, poza ramy... A jego pogląd o istnieniu...

- Sądźmy inżyniera Lemenia nie za jego poglądy, lecz za pogwałcenie Obyczaju - przerwał mu Mekil.

- Tak - powiedział skwapliwie Dyrektor Kopalń. - Tak, tak...

- Pan Dyrektor Kabli?

Dyrektora Kabli bolała wątroba. Skrzywił się, wyjął z kieszeni flakonik z lekarstwem i machnął wolną ręką: jasna sprawa, nie ma się nad czym rozwodzić...

Kiedy ostatni z Dyrektorów opowiedział się za śmiercią Lemenia, Kalgar zdjął z wiszącego na piersi łańcucha klucz od Rozgłośni.

- W takim razie - powiedział - zgodnie z tradycją i Obyczajem musimy włączyć Głos Władzy.

I ruszył ku drzwiom Rozgłośni.

Za nim wstał Spel, który jako Drugi Dyrektor był strażnikiem drugiego klucza.

Glizda patrzył nieruchomym wzrokiem na Dyrektorów. To była godzina jego tryumfu. Zmusił ich do uznania swojej władzy!

Spel wsunął swój klucz w otwór zamka i odwrócił się. Przy czarnej portierze zasłaniającej wejście do sali posiedzeń wśród licznych urzędników, kapłanów, lokajów i strażników stał jego syn w mundurze oficera tajnej policji. Spel senior popatrzył mu w oczy. Spel junior leciutko pochylił głowę.

**ROZDZIAŁ 1
CIEMNE KORYTARZE**

Kroni obudził się wcześniej niż normalnie. Za progiem szeleściły kroki, zgrzytały głosy, rozlegał się kaszel i ciężkie sapanie - wracała nocna zmiana z wytwórni azbestu. Zazwyczaj budził się, kiedy kroki milkły. Budziła go cisza. Przypominał sobie, co go dzisiaj czeka. Pójdzie na dół.

Zrzucił z siebie postrzępiony koc i zeskokczył na zimną podłogę. Wieczna lampka pod statuetką Boga Reda ledwie się tliła. Kroni podszedł na bosaka do stołu, wymacał na nim puszkę z olejem ziemnym i dołął go do zbiornika lampki. Zrobiło się jaśniej i jakby cieplej.

Przejrzał się w odłamku lusterka opartego o nogi statuetki. Twarz się w nim nie mieściła. Kroni zobaczył jedynie jasne oko, kosmyk przedwcześnie posiwiałych włosów i cienki, długi nos, którego cień maskował zapadnięty policzek i głęboką bruzdę, zbiegającą ku kącikowi bladych warg. Od wczoraj na twarzy zostały i smugi sadzy. Kroni postanowił się umyć.

Wziął skrzynkę z narzędziami, zawinął w szmatkę i wsunął do, kieszeni zimny, kleisty kawałek kaszy, założył stojące w progu trzewiki i zdmuchnął lampkę.

Przy źródółku zasilającym okrągły basenik już było pełno kobiet. Niektóre prały, inne przyszły po wodę, ale też nie kwapiły się wracać do domów.

- Uciekaj stąd! - rozwrzeszczały się, kiedy zobaczyły, że Kroni rozbiera się nad basenikiem. - Zapaskudzisz nam wszystką wodę, ty brudny rurarz!

Kroni nawet się nie odezwał. Usiadł na krawędzi basenu i zanurzył nogi w zimnej mydlanej wodzie.

- Zaraz zawołam męża! - zagroziła Ratni, żona kwartałowego.

- Zawołaj - poparły ją kobiety. - Niech myje się w kałuży. Kroni wyjął ze skrzynki kawałek mydła.

- Po co ci tyle mydła? - zapytała stara jędza, która mieszkała w klitce nad nim. - Zostaw je mnie.

- Nie bierz! - wściekała się Ratni. - Jego mydło śmierdzi.

- To jest zwyczajne mydło - powiedział Kroni.

- On sam też śmierdzi! - parsknęła nieznajoma dziewczyna, która musiała przyjść z sąsiedniego kwartału.

- A ty sama nie masz prawa tu być! - krzyknęła jędza, która miała nadzieję, że Kroni odłamie jej za to kawałek mydła.

- Idiotka! - powiedziała Ratni. - Ta głupia baba nie wie, że mój bratanek się ożenił.

Kobiety wybuchnęły śmiechem i zaczęły się wytrząsać nad starą kobietą, bo bratanek Ratni ożenił się bardzo korzystnie i jego żona przyszła z góry, z rodziny majstra.

Kroni postanowił się nie kąpać. Pochylił się tylko nad wodą i namydlił głowę i kark.

Któraś z kobiet, nie zauważył która, podkrađła się z tyłu i żeby przypochlebić się kwartałowej, wylała na niego cebrzyk brudnych mydlin. Zaskoczony tym Kroni wpadł do basenu i przemoczył sobie spodnie. Kobiety zaczęły się z niego wyśmiewać. Jedna z nich chciała wrzucić do wody również skrzynkę z narzędziami, ale jędza usiadła na niej. Wciąż miała nadzieję, że Kroni odda jej mydło.

Kroni, klnąc pod nosem, wygramolił się z basenu i poszedł do ciemnej niszy w ścianie, żeby wyżąć spodnie. W niszy cuchnęło moczem. Kiedy wrócił nad basen, jędza wstała ze skrzynki i bez słowa wyciągnęła rękę. Kroni dał jej kawałek mydła, którego nie upuścił wpadając do basenu. Wziął skrzynkę i ruszył przed siebie korytarzem, przyglądając ręką wilgotne włosy. Słyszał, jak kobiety nad basenem długo jeszcze wrzeszczały na jędzę, żeby oddała im mydło.

- Ty i tak niedługo zdechniesz! - wołały.

Jędza odszczekiwała się im, jak mogła.

Każdego innego dnia Kroni po takiej przygodzie wpadłby we wściekłość, ale dziś było inaczej. Doszedł do służbowej windy i pokłonił się strażnikowi. Strażnik odwrócił się. Nie chciał się witać z rurarzem, ale znał go już sześć lat, od chwili objęcia tego posterunku - i nie dokuczał.

Kroni jechał wcześniej niż zazwyczaj i dlatego w windzie wraz z nim znaleźli się nie ci, których spotykał codziennie. Pomyślał ni z tego ni z owego, że dawniej widywał bardzo niewielu ludzi. Ciągłe tych samych. Współpracowników i niektórych sąsiadów. Wielu swoich sąsiadów nie poznał nigdy, a o innych tylko słyszał. Widywał również takich, których trudno było uważać za ludzi, bo przypominali raczej trzęsienie ziemi lub morowe powietrze: poborcę, agentów przeprowadzających comiesięczną rewizję, pomocnika lichwiarza... Kroni wiedział, że niemal wszyscy na jego poziomie żyją tak samo. Tyle tylko, że stara jędza ma mniej znajomych, a pani Ratni więcej.

Winda zatrzymała się i zaczęli do niej wsiadać nowi pasażerowie. Kabina była już mocno przeciążona i Kroni słyszał, jak trzeszczą stare liny. Strażnik nie miał prawa zabierać tyłu ludzi, ale nie chciało mu się robić dodatkowego kursu.

- Któregoś dnia spadniemy - powiedział cicho siwy technik. Technik był stary, ale najwidoczniej chciał jeszcze trochę pożyć. Starzy ludzie są bardziej przywiązani do życia niż młodzi. Dawniej Kroniemu też było wszystko jedno. Pewnie dlatego, że był młodszy.

Kroni nie odpowiedział technikowi, gdyż bał się, że strażnik go usłyszy. Milczeli również ludzie stojący wokół nich. Winda minęła bez zatrzymywania się następny poziom i ktoś krzyknął przez kratę ochronną:

- Stójcie! Spóźnimy się do roboty!... Strażnik wykrzywił twarz w uśmiechu.

- Trzeba wcześniej wstawać! - warknął.

Kroni ponad głowami sąsiadów przyglądał się różnokolorowym zaciekom na ścianach szybu windy. Najświeższa była wąziutka czerwona smuga. Puściła rura w farbiarni, pomyślał. Farbiarnia znajdowała się w innym sektorze, ale rurarze mieli obowiązek meldować o wszystkich uszkodzeniach.

Strażnik zatrzymał windę, bo zobaczył dwie handlarki z koszami.

- Nie ma gdzie, nam i tak już jest za ciasno - mruknął ktoś stojący za Kronim.

- Zamknij się! - wrzasnął strażnik.

Handlarki dały strażnikowi po drobnej monecie, ale było mu tego za mało, więc zabrał każdej z nich po największym słodkim korzeniu z koszyka. Kobiety usiłowały wsiąść do windy, ale koszyki się nie mieściły. Strażnik złapał kilku ludzi stojących i wypchnął z windy.

- Zabiorę was następnym kursem - powiedział.

Wyrzuceni nie oponowali.

- Coś ty dzisiaj tak wcześniej? - zapytał majster, unosząc głowę znad planu sektora, w którym kreślił coś kawałkiem grafitu. Majster nie był najgorszy i zniżał się do rozmów.

- Chciałem się umyć, ale kobiety mnie nie puściły.

- Pchałeś się do kwartałowego basenu, brudasie? - zapytał majster. - Mało masz kałuż w korytarzach?

- Ma pan rację - powiedział Kroni. - Widziałem w windzie czerwony zaciek. Pewnie w farbiarni puściła jakaś rura.

- Wiem - mruknął majster. - Już czterech mi to meldowało. Nawet sam Zarządca dzwonił. Wysłałem już tam ludzi.

Dzisiaj wyjdź trochę poza granice swoje odcinka i spróbuj wyłączyć ósmą i dziewiątą linię. I tak prawie nie działają.

- A co będzie, jak wysiądzie linia główna? Majster wrzucił ramionami.

- Rozkaz pana Kalgara.

Do kantorku weszło trzech rewidentów z nocnej zmiany. Byli zmęczeni, umorusani od stóp do głów i wściekli jak wszyscy diabli. Okropnie cuchnęli.

- Zalutowaliście? - zapytał majster.

- Jutro znowu pęknie - odpowiedział starszy rewident, po czym usiadł pod ścianą i natychmiast zasnął.

- Pójdę - powiedział Kroni biorąc z kąta zwój drutu.

- Nie zaczekasz na pomocnika?
- I tak mamy dzisiaj robotę w różnych miejscach.
- Słusznie.
- Mógłbyś sobie załatać buty - mruknął któryś z rewidentów.
- Są jeszcze całkiem mocne - odpowiedział Kroni.
- Okropnie mi strzyka w krzyżu - poskarżył się drugi rewident.
- Powiedz o tym panu Kalgarowi - powiedział mu majster.

Rewident zaklął.

Kroni wyszedł z kantorku i zamknął za sobą drzwi. Za matową szybą, pękniętą i sklejoną szarą taśmą, przesuwali się ciemne sylwetki. Rewidentzi meldowali majstrowi o awariach.

Wszyscy ludzie pracują razem, w grupach. Pracują w fabrykach, koszarach lub elektrowni. Tylko rurarze i szcurołapy spędzają całe dni w pojedynkę. Rurarzami można gardzić i nie pozwalać im korzystać ze wspólnego basenu, ale bez nich cały świat dawno by już zginął. Gdyby policzyć, ile rur załatał Kroni, ile wykrył przecieków i przepchał zamulonych przewodów, to można by dojść do wniosku, że Kroni jest potrzebniejszy niż sam pan Kalgar.

Jeszcze w zeszłym roku nawet do głowy by mu nie przyszło, że mógłby się porównywać z którymkolwiek z czystych. Świat, w którym żył, został w niepamiętnych czasach rozumnie i surowo urządzony przez Boga Reda, który wyłonił się z czerwonego mroku, aby nauczyć ludzi, jak ubierać się i oświetlać sobie drogę. Bóg przekazał swój czarodziejski kaganek czystym i oni to w swej szlachetności podzielili się światłem ze swymi młodszymi braćmi. Karmili i odziewali brudnych, dawali im pracę i karali surowo, lecz sprawiedliwie, po ojcowsku. Bóg Red nauczył czystych posługiwania się pieniędzmi, a oni podzielili się tymi pieniędzmi z brudnymi braćmi. Tak był urządzony świat, taki był zawsze i taki będzie dopóty, dopóki Ognista Otchłań nie zamknie swych dzieci w przepastnym łonie.

Kroni zatrzymał się na podeście, poza który zwyczajni ludzie nigdy nie wychodzili. Tam mogli docierać wyłącznie technicy i rurarze. Po przekroczeniu zardzewiałej kraty Kroni stawał się ważniejszy od kwartałowego, a nawet od Pana Oficera. Nikt z nich nigdy nie zapuszczał się w nieskończone korytarze technicznego miasta. Kroni położył na podłodze skrzynkę z narzędziami, zdjął z ramienia zwój drutu i przykleknął przed statuettką Boga Reda, oświetloną małą żarówką. Kolana bóstwa błyszczały od oliwy, którą rurarze pragnęli zyskać jego przychyłność przed wyruszeniem na dyżur.

Kroni otworzył zamek kraty własnym kluczem. Długi tunel skręcał w lewo łagodnym łukiem i ginął w oddali. Pod sufitem co sto kroków paliły się słabe lampy. Ze ścian zwisały kable i rury. Rury o większej średnicy biegły po podłodze. Kroni stał i wsłuchiwał się w odgłosy rur. Potrafił określić na ucho, jaki jest stan urządzeń. Nie słyszał niczego podejrzanego, może tylko zbyt głośno bulgotała rura doprowadzająca gorącą wodę do pieczarkarni.

Przystanął, żeby wymienić izolację na kablu numer 1. Wyglądało na to, że dobrały się do niego szczury. Kabel numer 1 zawsze powinien być w porządku, bo jest to linia łącząca Poziom Główny z elektrownią. Ciekawe, czego tu szczury szukają? Kroni wyjął ze jesiennej niszy puszkę z trucizną i rozsypał ją pod ścianą. Trucizna pokrywała białawą warstwą całą podłogę tunelu, ale szczury zupełnie nie zwracały na nią uwagi.

Poszedł dalej. Przy pionowym szybie uważnie skontrolował miejsca, w których rury i kable rozchodzą się w górę i w dół. Tam na zagięciach najczęściej zdarzały się uszkodzenia. Przy gwieździe, namalowanej na ścianie białą farbą, Kroni zatrzymał się i westchnął. W zeszłym roku zginął tu jego poprzedni pomocnik. Dotknął kabla z uszkodzoną izolacją. Pomocnika znalazł malutki szcurołap i przytaszczył go do kantorku. Ale było już za późno. Teraz Kroni powinien dojść aż do trzeciego zakrętu, gdzie kończył się jego odcinek, i tam zejść na niższy poziom. Miał jednak schody i przeszedł jeszcze ze trzysta kroków, poza granicę swojego odcinka. To już było wykroczenie, bo rurarzom nie wolno zapuszczać się samotnie w odległe korytarze.

Dawniej w szybie kursowała winda, która teraz tkwiła nieruchomo między poziomami. Dawno już o niej zapomniano, a ktoś, też nie wiadomo już kiedy, wybił w kabinie dziury na wylot, żeby można było tą drogą przedostać się na dolny poziom. Szyb był zupełnie ciemny, więc Kroni zapalił lampę i przymocował ją do czoła, żeby mieć wolne ręce. Przeciskając się przez zardzewiałe szkielet kabiny rozdarł sobie kurtkę. Bardzo go to zmartwiło, bo nowa należała mu się dopiero za osiemdziesiąt dni. Ale trudno, stało się! Pochylił się nad dziurą w podłodze i rzucił skrzynkę z narzędziami w dół, jak najbliższe ściany. Żelastwo wewnątrz skrzynki zabrzęczało głośno i wyraźnie, a więc dno szybu musiało być blisko. Uspokojony tym Kroni zawiązał na rękach i skoczył w dół. Wylądował na szerokim gzymsie utworzonym przez betonową płytę, która odpadła ze ściany szybu i zaklinowała się w nim. Kroni nadstawił uszu. Było cicho, przerażająco cicho dla zwykłego mieszczucha, ale przecież on był rurarzem, człowiekiem, dla którego taka cisza była czymś zwyczajnym i uspokajającym. Gdzieś daleko od stropu oderwała się kropla wody i spadła na mokrą posadzkę. Ten sektor od dawna już był porzucony i mieszkali w nim wyłącznie zjawy.

Rewidentzi, którzy docierali na te poziomy jeszcze parę lat temu, mówili, że szczury krążą po nich całymi stadami i jak nic mogą zagryźć samotnego człowieka. Ale inżynier Razi powiedział, że jedynie rurarz może odnaleźć bibliotekę. Rurarze przywykli chodzić w pojedynkę ciemnymi korytarzami i nie bali się pustej ciemności. Kroni był rurarzem, miał klucz od kraty, więc poszedł.

Teraz położył się na zaklinowanej płycie, wysunął głowę poza jej krawędź i poświecił w dół. Wydało mu się, że na dnie szybu mignął błady cień. Może zresztą zobaczył go dlatego, że spodziewał się go zobaczyć... Przywiązał koniec kabla do pręta wystającego z płyty. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie zostawił tu skrzynki, ale nie odważył się tego zrobić.

Jeszcze raz nadstawił uszu. W dole coś szeleściło, jakby stado szczurów biegło po tunelu w tę i z powrotem. Można wrócić i powiedzieć inżynierowi Raziemu, że droga do najgłębszych poziomów jest zamknięta. Inżynier nie zdoła tego sprawdzić. Ale powodowało nim coś więcej niż chęć przypochlebiania się zwierzchnikowi. Kroni bardzo chciał znaleźć bodaj jedną książkę.

Szarpnął parę razy za kabel, sprawdzając jego wytrzymałość, przerzucił skrzynkę z narzędziami przez ramię i zaczął opuszczać się na rękach z głową pochyloną tak, aby światło zawsze padało w dół.

Podeszwy butów głośno klasnęły o posadzkę. Dnem tunelu płynął strumyk i prawa noga Kroniego od razu przemokła. Rewident miał rację - but był dziurawy. Kroni cofnął się pod ścianę, oparł o nią plecami i wolno odwrócił głowę. Promień latarki przeslizgnął się po ścianach ze strzępami przewodów i utonął w głębi tunelu. Wielka sala, przez którą miał przejść, znajdowała się z lewej strony.

Przedwczoraj, po Biesiadzie, spotkali się w trójkę z inżynierem i inwalidą z wytwórni azbestu. Inwalidzie opowiadał o bibliotece jego ojciec, który jeszcze jako młody chłopak uczestniczył w wielkiej obławie na szczury i zabłądził w

płataniu tuneli dolnych poziomów. Błądził tam przez trzy doby i widział wiele dziwnych rzeczy, o których nawet nie odważył się wspominać. Właśnie wtedy znalazł wejście do Biblioteki za Domami Przodków. Inżynier Razi wiedział, że biblioteka przepadła wiele, wiele lat temu.

- Istnieje bardzo niewielka szansa na to - powiedział inżynier na tym spotkaniu - że coś z niej przetrwało. Wilgoć - to raz. Szczury - dwa, nieprzewidziane okoliczności - trzy.

Razi mówił dobitnie i niezbyt głośno, jak przystoi inżynierowi przywykłemu do posłuchu podwładnych.

- Uważnie zlustrowaj wszystkie pomieszczenia, na które natrafisz po drodze. Kiedyś miały one duże znaczenie dla całej infrastruktury miasta - powiedział na koniec inżynier.

Nie wyjaśnił tego szerzej, a Kroni o nic go nie pytał, gdyż wobec ogromu swojej niewiedzy wielu słów inżyniera po prostu nie rozumiał.

Kroni szedł tunelem. Woda pod nogami była bardzo zimna i wiedział, że się przeziebi, jeśli niebawem nie znajdzie się w suchym miejscu. Woda wydzielala różne zapachy i wedle nich rurarz potrafił określić, skąd wyciekały poszczególne strumyki. Cuchnęło mydłem do prania, kwasem, użytymi smarami, pomyjami. Kroni wyobrażał sobie, jak strumyk wycieka po kropelce z nieszczelnych rur, przesącza się z poziomu na poziom, aby wreszcie odnaleźć drogę do Otchłani.

Z tyłu rozległ się cichy szmer, jakby kropla wody stoczyła się po ścianie. Dla zwyczajnego człowieka byłby to nic nie znaczący dźwięk w tunelu wypełnionym szelestami i stukotem kropel. Ale słuch Kroniego natychmiast wyodrębnił go spośród setek innych szeptów miasta i wyczuł w nim niebezpieczeństwo. Rurarz odwrócił się gwałtownie, starając się jednocześnie przycisnąć do ściany.

Po piętach deptał mu wielki szczur. Nie spieszył się i kiedy promień latarki wyłowił go z mroku, spokojnie przysiadł na tylnych łapach i czekał, aż Kroni ruszy dalej. W zachowaniu szczura była jakaś przerażająca rozumność, pewność siebie i Kroni wyobraził sobie nagle tysiące kroków, które będzie musiał przebyć w ciemności, aby znowu znaleźć się wśród ludzi.

Ruszył przed siebie prawie biegiem, bo przecież chciał dotrzeć do Domu Przodków. Nie wiedział, czym jest Dom Przodków, a inżynier Razi powiedział jedynie, że zapewne właśnie tam znajdowało się kiedyś centrum miasta. Stosunkowo niedaleko elektrowni i na bezpiecznej głębokości. Razi podejrzewał, że miasto było zaprojektowane odwrotnie, że brudni mieszkali z początku nad czystymi. Brzmiało to dziwnie i na pozór nie miało sensu, ale Kroni wiedział już, że wszelkie dziwactwa miasta zostały stworzone przez zamieszkujących je ludzi i że w drodze do prawdy o nim może natknąć się na wiele jeszcze różnych niespodzianek.

Mały, obszarpany człowieczek biegł czarnym tunelem. Światło latarki zdradzało mieszkańcom ciemności jego ruchy, co było bardzo niebezpieczne, ale zrezygnować ze światła przecież nie mógł. Szczury, stonogi i zjawy umiały widzieć bez oczu, a Kroni, chociaż pół życia spędził w mrocznych tunelach instalacyjnych, w całkowitej ciemności był jednak bezsilny i bezradny.

Szczur dreptał za nim, przysiadając czasem i czekając, kiedy się zatrzymał. Kroni rzucił w niego kamieniem i chybił. Szczur nawet nie drgnął, jakby wiedział z góry, że kamień przeleci obok. Szli tak może godzinę, a może trochę krócej.

Nagle w przedzie pokazało się światło. Zielone i blade, jakby odbite w głębokiej wodzie. Kroni zwolnił kroku. Na tym poziomie nie powinno być żadnego światła! Żałował teraz, że nie zostawił skrzynki z narzędziami w unieruchomionej windzie. Żadnego pożytku, a tylko przeszkadza w ucieczce. Chwytał rękojeść noża. Uspokoiło go to nieco, chociaż doskonale wiedział, że nóż nie obroni go nawet przed szczurami. Na końcu drogi były przecież nie tylko Domy Przodków. Mogły tam pozostać ich dusze, a ten, kto napotka duszę zmarłego, nigdy już nie wróci do domu. Kroni pojął nagle, jak przytulny jest jego własny dom, i przestał złościć się na panią Ratni, która przecież tylko stawała w obronie Obyczaju i nie chciała wyrządzić mu krzywdy. Pojął też, że nie może iść dalej. Żadnej biblioteki nie ma. Inżynier zwabił go tutaj i oszukał, inżynier po prostu zwariował. Na świecie nie ma nic poza Miastem i Otchłanią...

Odwrócił się wolno, zastanawiając się, jak wrócić, żeby szczur go nie ugryzł.

Ale szczur już nie był sam. Zobaczył tam już trzy lub cztery. Uśmiechały się lub może tylko szczyrzyły zęby. Kroni z początku nie domyślił się, dlaczego tak wyraźnie widzi uśmiechy szczurów, ale potem go olśniło - szczury podszły tak blisko, że bez trudu rozróżniał ich zęby i drgające wąsy.

Szczury zachowywały się jak nagonka, chociaż w przeciwnieństwie do zwyczajnych naganiaczy nie biegały nerwowo, nie wrzeszczały, nie hałasowały i nie bały się ciemności. Po prostu czekały. Kiedy Kroni skoczył w ich stronę, nie cofnęły się, tylko przysiadły na tylne łapy i uniosły do góry wyprężone ogony, jakby same gotowały się do skoku.

Rurarz nie odważył się cofać dalej, tylko odwrócił się i pochylając głowę, żeby świecić sobie pod nogi i nie poślizgnąć się na stonodze, popędził w stronę zielonego światła. To było bardzo nierozsądne, bo z kilkoma szczurami zdołałby sobie poradzić, a w głębi korytarza mogła czekać go pewna śmierć, ale nie potrafił przewyciężyć lęku i obrzydzenia. Niektórzy rewidenci chwalili się, że nie boją się szczurów i nawet je dokarmiają, a szczury nie robią im krzywdy. Nie rzucają się też na myśliwych szczurołapów. Ale oni znają zakłęcie.

Tunel nagle się skończył. Kroniemu wydawało się, że do światła jest bardzo daleko, ale światło go oszukało. Było słabe i blade. Sączyło się ze ściany podziurawionej tysiącami korytarzyków. W każdym z nich tkwiła gąsienica, ledwie widoczny zielony płomyczek. Gąsienice, mrowiąc się w tych norach, dawały w sumie tyle światła, że w jego blasku widać było domy na ulicy, wysoki strop i zwisające z niego porozbijane, dawno zgasłe lampy. Strop był niegdyś pomalowany niebieską farbą, która łuszcząc się zasłała posadzkę tunelu błękitnymi płatami.

W tym miejscu można było obejść się bez latarki, więc Kroni nieco się uspokoił. Szczury gdzieś zniknęły, widocznie zostały w tamtym tunelu.

A więc inżynier Razi miał rację: Domy Przodków istniały i Kroni właśnie do nich dotarł. Domy były wielkie, zagłębione w skałę, z której sterczały tylko zniszczone, odrapane fasady. W niektórych oknach zachowały się kawałki szyb. Szkło okienne miało w mieście bardzo wielką wartość, więc Kroni postanowił, że w drodze powrotnej zabierze kilka odłamków, żeby potem zrobić z nich lusterka. Podszedł do drzwi najbliższego domu i zajrzał do środka. Kiedyś podłoga domu pokryta była grubą warstwą plastiku, ale właściciele przed wyprowadzeniem się zerwali wykładzinę, pozostawiając tylko zardzewiałą kratę, do której mocowano plastik. Pierwszy od wejścia pokój był ogromny. Kroni nigdy jeszcze nie widział takiego wielkiego pokoju, chociaż z pewnością pan Kalgar ma pokoje jeszcze większe. Po ścianie, chroniąc się

przed światłem, pełzła glista. Kroni jednak nie wycofał się, nie uciekł, bo był pewien, że skoro ludzie kiedyś tu mieszkali, to choćby nie wiedzieć jak dokładnie zbierali swoje rzeczy przed wyprowadzką, choćby wrogowie palili i grabili ich siedziby z największą nawet zaciekłością, to i tak jakieś ludzkie ślady musiały pozostać. Dlatego kiedy Kroni natrafił podczas swych obchodów na miejsca, w których mieszkali ludzie, zawsze starannie je przeszukiwał, gdyż przedmiot zapomniany lub porzucony jako niepotrzebny wiele lat temu, teraz mógł być wart majątek. Kiedyś było więcej metali i szkła, kiedyś ludzie umieli robić dobry, mocny plastik.

I wcale tych rzeczy nie cenili.

Ostrożnie stąpając po prętach kraty, żeby nie wpaść do piwnicy, i świecąc od czasu do czasu w dół, Kroni przeszedł przez pokój i dotarł do następnego, zagłębionego w skale. W kącie pod skałą coś zajaśniało. Pochylił się. Spod warstwy rdzy szczyrzyła do niego zęby naga czaszka. Kiedyś musiała tu być eksplozja, która zerwała kawał kraty i człowiek spadł na dół. Kroni odsunął czaszkę i podniósł stalowy hełm. Hełm prawie nie przerdzewiał i widać było, że jest zupełnie inny niż te, których teraz używają żołnierze. Pośrodku miał zębaty grzebień, a z przodu długi, prosty daszek. Kroni założył hełm. Był dla niego trochę za duży, a w dodatku ze szczątek wyściółki sterczały ostre śruby. Kroni wyjął ze skrzynki młotek, sklepał nim śruby i na wszelki wypadek wepchnął do hełmu szmatę, po czym znów założył hełm na głowę.

Poświecił w dół, ale oprócz garstki zetłanych kości i przegniłych łachmanów niczego tam nie dojrzał. Dla pewności przykucnął i rozgarnął nogą kupkę śmiecia. I nie na próżno. Pod śmieciem leżał prawie nowy, długi i szeroki nóż. Taki nóż musi kosztować mnóstwo pieniędzy. Kroni nigdy nie rozstał się z tym znaleziskiem. Musi go schować w jakimś pewnym miejscu, aby nie wpadł w oko agentom.

Kroni poczuł na plecach czyjś wzrok. Odwrócił się, wystawiając nóż do przodu.

W drzwiach stała zjawą. Wysoka, błękitna, świetlista zjawą bez twarzy. Kroni cicho krzyknął, stracił równowagę i spadł na dół. Padając uderzył łokciem w czaszkę i rozgniół ją na pył. Wiedział, umrze, bo odnalazł go dawny właściciel domu, zły duch, którego nie wolno oglądać. Nic się jednak nie stało. Cicho i ciemno. Latarka zgasła. Dobrze, jeśli tylko się wyłączyła, a nie roztrzaskała na kawałki. Bez latarki nie sposób się stąd wydostać.

Bolała go noga. Utykając przedostał się po kracie do wyjścia z domu i wyrzwał na zewnątrz. Ulica wciąż była oświetlona migotliwym światłem, zjawą znikła, ale za to Kroni zobaczył coś innego - w poprzek ulicy, odcinając mu drogę do tunelu, siedziały rządkiem szczury. Pogroził im nożem. Szczury ani drgnęły. Czekają. Kroni szczerknął wyłącznikiem latarki. Latarka się zapaliła.

Ze stropu spadła gruba kropla wody i z głuchym odgłosem rozprysnęła się na hełmie. Kroni nastąpił na płat niebieskiej farby, poślizgnął się, utrzymał się jednak na nogach i ruszył dalej, wzdłuż szeregu pustych domów, gapiących się na niego czarnymi dziurami pustych otworów drzwiowych. Dopędził go tupot łap. Zdażył błysnąć promieniem latarki i zobaczył, że jeden ze szczurów skoczył jego stronę, jakby popędzał tam, gdzie chciała go zagnać szczurza zgraja. Kroni machnął nożem i zobaczył z radością, że ostrze bez trudu rozcięło bestię na pół.

- Który następny? - zapytał stado. Przeraził go dźwięk własnego głosu. Był obcy i zbyt krzykliwy.

Szczury znowu usiadły rządkiem, ale gdy tylko ruszył dalej, natychmiast trzy z nich rzuciły się do przodu i, znając już śmiertelność siłą noża, obskakiwały Kroniego w bezpiecznej odległości, unikały ciosów i po minucie lub dwóch dopięły swego - Kroni zaczął biec. Nie chciał tego, bo wiedział, że szczurom właśnie na tym zależy, ale nogi biegły same, więc musiał ich słuchać, żeby się nie przewrócić. Skrzynka tłuła go w bok, hełm zrobił się ogromnie ciężki i zjeżdżał na czoło, buciory ślizgały się na płatach farby... Jeden ze szczurów wczepił mu się w nogę i natychmiast odskoczył. Po prostu go poganiał.

I wtedy Kroni zrozumiał, dokąd pędziło go stado. Tu przed nim, w poprzek wąskiego przejścia, do którego wbiegł, usadowił się łańcuch białych szczurów. Takich samych, jak jego prześladowcy. Nagonka osiągnęła swój cel...

Zatrzymał się gwałtownie i biegnący na czele nagonki szczur nie zdołał umknąć ciosu jego noża. Upadł i stado natychmiast go rozszarpało. Zaraz jednak zaczęło znów wolno zbliżać się do Kroniego.

Rurarz obejrzał się. Za plecami miał wejście do domu. Wszedł na stopnie ganku i zatrzymał się w pustej framudze drzwi. Teraz, skoro szczury nie napadną na niego z tyłu, będzie mógł się bronić.

Rzuciły się na niego całym stadem. Atakowały również te, które dotąd siedziały w zasadzce. Były widać wściekłe, że nie dał się do tej zasadzki zwabić. Skakały na niego jak drapieżne pająki, a on ciał nożem na oślep, nie zważając na to, że go kąsają, rwą na nim odzież, wrywają strzępy kurtki. Ale każdy skok, każdy nowy napór stada zmuszał go do cofnięcia się o krok, żeby szczury nie zaszły go od tyłu...

Odważył się spojrzeć za siebie. Korytarz był wystarczająco wąski, aby bezpiecznie się nim wycofać, nie lękając się okrażenia przez szczury. Zaczął więc wolno cofać się korytarzem.

Plecy oparły się o coś twardego. Wolną ręką Kroni obmacał ścianę, jeszcze nie zdając sobie sprawy, że ta ściana oznacza koniec jego nadziei. Mur był ułożony z nierównych kamieni i sięgał aż do stropu. Kiedy to pojął, znowu rzucił się na swoich prześladowców.

Tym razem szczury były przygotowane na jego atak. Tratując się nawzajem, sycząc i szczyrzyąc zęby błyskawicznie wycofały się, ale gdy tylko Kroni odwrócił się do nich plecami, chcąc obejrzeć zapórę, natychmiast rzuciły się do przodu.

Kroni wpadł w tępą rozpacz, w stan krańcowego znużenia, kiedy człowiek pragnie tylko jednego - usiąść, wyciągnąć nogi, głowę oprzeć o coś miękkiego i ciepłego, i niech się dzieje co chce. Stado poczuło, że przeciwnik się poddaje...

Wtedy jednak Kroni uświadomił sobie, że nie może usiąść, bo szczury i tak nie pozwolą mu odpocząć, że właśnie dlatego rzuciły się na niego, aby nie mógł odpocząć... Musiał jednak przysiąść, choćby na chwilę, więc rzucił się z wściekłością na szczurzą zgraję, żeby wywalczyć sobie to prawo do odpoczynku. Z desperacką siłą ciał, deptał, rozrzucał szczury nogami, żeby tylko dały mu chwilkę spokoju. Nie mógł ich przestraszyć, bo te bestie w stadzie nie znają strachu, ale rosnąca z każdą chwilą sarta trupów na moment powstrzymała atak. Wtedy Kroni odwrócił się do muru i zaczął szukać w nim szczeliny. Bił rękami kamienie, pchał je z całej siły i nagle poczuł, że jeden z gładów ustępuje, przechyliła się i zapada do środka. A kiedy wierząc nogami, żeby odpędzić atakujące znów szczury, poślizgnął się przez powstały otwór i spadł po drugiej stronie ściany, prawie nie poczuł uderzenia o kamienną posadzkę. Marzył tylko o tym, żeby się nie ruszać... Miał jednak do wykonania ważną robotę, przed skończeniem której nie mógł sobie pozwolić na wypoczynek. Tak, szczury nie dadzą mu spokoju. Dotrą i tutaj i znowu zaczną do niego skakać. Na pół przytomnie Kroni wstał, wymacał na

posadzce głaz wypchnięty ze ściany, uniósł i zatkał nim czarną dziurę, w której już pokazał się węszący, ślepy pysk szczura.

A potem osunął się na posadzkę, wyciągnął nogi i stracił przytomność. Latarka na helmie świeciła do góry i nad jego głową rozblysnął złoty krąg.

Kroni otworzył oczy, zobaczył świetlisty krążek i z początku nie mógł zrozumieć, skąd nad jego głową wzięło się tyle złota. Spróbował poruszyć głowę i złoty krążek drgnął, skoczył w bok i rozpląszczył się na ścianie. Wtedy Kroni natychmiast przypomniał sobie wszystko. Nie wiedział tylko, jak długo przeleżał uśpiony czy nieprzytomny.

Nadstawił ucha. Najpierw dobiegł go szmer i popiskiwanie. Były to odgłosy zrozumiałe i pocieszające. Szczury nie chciały zrezygnować ze zdobyczy i drapały kamienną ścianę, ale to go już nie obchodziło. Potem usłyszał westchnienie, ochryple i zdławione, jakby ktoś wciągał powietrze przez wąską szparę. Kroni znieruchomiał z przerażenia. Cóż to jeszcze za potwór czyha na niego w ciemności? I dlaczego do tej pory nie rzucił mu się do gardła? Przeciągnął dłonią po zimnej posadzce. Palce natknęły się na nóż i zacisnęły na jego rękojeści. Teraz był bezpieczniejszy. Potem Kroni podciągnął łokcie i uniósł głowę, omiatając promieniem latarki przeciwległą Ścianę. Usiadł i zobaczył stertę łachmanów w kącie kamiennego lochu. Sterta poruszyła się, zamarła i znów rozległo się długie, przerywane bólem westchnienie. Kroni opadł na czworaki i trzymając nóż przed sobą podpełzł do kupy łachów.

Z łachmanów wyglądała część twarzy - szare włosy i ostry, kredowobiały nos. Drgnęła niebieska powieka, ukazując błyszczące rozognione, szalone oko. Chuda, drżąca ręka uniosła się obronnym gestem, celując długimi paznokciami w twarz Kroniego. Ale po chwili opadła bezsilnie i jakby utonęła w stercie łachmanów.

Otworzyły się usta, bezzębne i czarne. Człowiek chciał coś powiedzieć, ale tylko zacharczał. Potem jednak Kroni zdołał rozróżnić słowa:

- Precz... żołnierzu...

- Nie jestem żołnierzem - odpowiedział. - Jestem rurarzem. - Realny człowiek nie wzbudzał w nim lęku.

- Rurarz... - wychrypiał mężczyzna. - Pić... Kroni poczuł, że sam ma śmiertelne pragnienie.

- Gdzie tu jest woda? - zapytał.

- Dalej, tam...

Mężczyzna zdołał słabym gestem głowy wskazać w głąb pokoju. Kroni uniósł się z kłęczek i trzymając się ściany szedł wolno przed siebie, dopóki nie usłyszał szmeru, spływającej wody i nie zobaczył strumyczka wyciekającego ze szczeliny w ścianie. Podstawił hełm, długo czekał, aż uzbiera się w nim trochę wody i natychmiast ją wypił. Minęła cała wieczność, zanim sam napił się do syta i nabrał wody dla nieznanego. Kiedy tak pił i czekał, trzymając hełm pod ciurkającym strumyczkiem, miał dużo czasu na myślenie. Myślał więc, że tu żyje człowiek, co jest bardzo dziwne, bo w takim miejscu człowiek żyć nie może.

Dziwny człowiek czekał na niego. Światło latarki odbiło się w jego źrenicach, skierowanych w tę stronę, z której powinien nadejść rurarz.

- Idę - odezwał się Kroni z daleka, żeby rozpędzić ciszę.

Pochylił się i uniósł lekką, rozpaloną głowę człowieka. Nieznajomy pił długo i jakby niewprawnie. Woda ściekała mu z kącików ust tak obficie, że chyba niewiele jej trafiało do gardła. Zresztą człowiek w takim stanie nie mógł wiele wypić. Nieznajomy zamknął oczy i odrzucił głowę do tyłu. Kroni przestraszył się, że mężczyzna umarł.

- Poczekaj - powiedział, jakby chciał go zatrzymać, nie pozwolić odejść w mrok, z którego nie ma już powrotu.

- Jestem - powiedział nieznajomy nieoczekiwanie jasnym i silnym głosem. - Dawno już nie piłem. Nie wiem, kiedy ostatnio piłem.

Spod zamkniętych powiek ukazały się dwie łzy i spłynęły po zapadniętych policzkach.

- Jesteś na pewno głodny - powiedział Kroni. - Mam jedzenie...

- Dziękuję - powiedział nieznajomy nie otwierając oczu. - Jedzenie nie jest mi już potrzebne. Jestem zmęczony. Umarłem.

- Żyjesz - powiedział Kroni i od razu pojął, że kłamie. To oczywiste, że ten człowiek umarł, że przekroczył granicę, za którą nie ma już życia.

- Jestem szczęśliwy - odezwał się człowiek. - Jestem szczęśliwy, bo się napiłem. Nie potrafisz zrozumieć, jak trudno jest umierać w samotności i ze świadomością, że one w końcu dobiørą się do ciebie.

- Słyszałeś, jak tu przyszedłem? - zapytał Kroni.

- Tak, ale nie wiedziałem, że jesteś człowiekiem. Myślałem, że one jednak się tu przedarły, i czekałem, aż mnie zaatakują.

- Dawno się tu zjawilem? - zapytał Kroni obawiając się, że usłyszy w odpowiedzi: "trzy dni temu".

- Niedawno - odparł nieznajomy. - Leżałeś jakieś dziesięć minut.

- Przyśniło mi się - powiedział Kroni - że znalazłem inne miasto.

- Innego miasta nie ma. Ja też marzyłem o mieście, w którym zawsze jest jasno, w którym nie trzeba trząść się ze strachu w każdej chwili spodziewać śmierci.

- Myślisz, że nasze miasto jest jedyne?

- Tak - odparł nieznajomy głosem pełnym przekonania. - Wasze miasto jest jedyne na świecie. Dotarłem do samej Otchłani. Widziałem tańczące zjawy i widziałem też Białego Pajaka. Poznałem robaki, które potrafią przegryzać ściany, i odnalazłem drogę do Ognistego Jeziora. Ale innego miasta nie ma.

- Takie miasto powinno być - powiedział Kroni. - Ludzie mi to nim mówili.

- Tak było zawsze. Szukałem. Innego miasta nie ma.

- Znasz drogę do biblioteki? - zapytał Kroni. Chciał zapytać o drogę powrotną, o bezpieczną drogę dla ludzi, na której nie ma szczurów, ale zapytał o bibliotekę.

- Daj mi jeszcze wody - poprosił nieznajomy. Kroni zbliżył hełm do jego warg. Nieznajomy pił długo i Kroni poczuł, że też ma pragnienie.

- Biblioteka to jest miejsce, w którym leżą książki - powiedział. - A książki mówią o Mieście na Górze... - Komu potrzebne są książki? - zapytał nieznajomy i zamilkł. Zapadła długa cisza, w której słycać było kłębienie się szczurów za ścianą. Potem powiedział: - Już mam lodowate nogi... Szukasz drogi do biblioteki?

- Tak.

- Po co ci książki? Jesteś przecież rurarzem. Nie uczyłeś się...

Kroni rzeczywiście się nie uczył. Przez rok był w terminie. Umiał trochę czytać, znał się na schematach korytarzy i tuneli, słowem, wiedział dość, żeby zostać rurarzem. Potem, po wielu latach pracy, nauczył się na słuch wychwytywać zakłócenia w funkcjonowaniu rur i dowiedział się, w jaki sposób elektryczność dociera kablami ze Stacji do miasta.

- A ja się uczyłem - powiedział nieznajomy i znów zamilkł, bo mówienie z każdą chwilą sprawiało mu coraz większą trudność. - Książki... czytają teraz szczury! - Roześmiał się bułgotliwie, ale zaraz zaczął mówić szybko i dobitnie, jakby obawiając się, że nie zdąży powiedzieć wszystkiego: - Byłem inżynierem. Pogwałciłem Zasady. Kochałem córkę pana Spela. Glizda nas wyszedł... Miałem być wtrącony do Otchłani... Żyłem tu, wszystko widziałem i wiem, gdzie jest kipiące jezioro... Uniósł głowę i zapytał głośno: - Co z nią? Jak zdrowie szlachetnej młodej pani Gery Spel? Czy jest szczęśliwa?

Kroni nie zdążył podtrzymać głowy nieznajomego, która z głuchym łoskotem, jak próżny garnek, uderzyła o ścianę. Zrozumiał, że ten człowiek zaraz umrze.

- Jak trafić do biblioteki? - pochylił się nad nim. Oddycha? Czy jeszcze oddycha? - Jak trafić do biblioteki? Nieznajomy poruszył wargami:

- Idź do zjaw... Idź dalej, za drzwi...

I to wszystko.

Szczury drapały pazurami kamienną ścianę. Człowiek żył tu bez światła, skradał się korytarzami, ukrywał się, chciał żyć. Śmierć go ścigała, a on nie wiedział, dokąd przed nią uciec.

Kroni rozgarnął łachmany i wymacał na piersi nieznajomego metalowy znak rozpoznawczy z jego nazwiskiem i numerem. Kiedy człowiek umiera, zabiera się jego znak rozpoznawczy. Taki jest zwyczaj. Kroni włożył znaczek do kieszeni, bo nie miał teraz czasu sylabizować, jak się ten nieznajomy nazywał. Poświecił po kątach izby: skorupy naczyń, parę okopconych kamieni, pewnie palenisko, i żelazny pręt - broń. Kroni zobaczył też swoją skrzynkę z narzędziami. Zupelnie o niej zapomniał i teraz ucieszył się na jej widok, jakby spotkał utraconego przyjaciela. Sprawdził jeszcze, czy dobrze trzyma się głaz zatykający dziurę w ścianie, bo nie chciał, żeby szczury dobrały się do tego człowieka, i ruszył, nie oglądając się, przed siebie.

Zaraz za sączącym się ze ściany strumykiem, gdzie nabierał wodę, natknął się na drzwi. Z początku nawet nie zorientował się, że drzwi są stalowe. To prawdziwy cud, że ktoś opuszczając to miejsce zostawił prawdziwe stalowe drzwi. Kroni poglądził ich gładką, lśniącą powierzchnię, nie mogąc od razu rozstać się z tak drogocennym przedmiotem.

Za drzwiami było pusto. Kroni poczuł na twarzy leciutki powiew zimnego powietrza i zrozumiał, że ma przed sobą dużą, otwartą przestrzeń. Doświadczony rurarz zawsze potrafi się zorientować, skąd i dlaczego płynie powietrze.

To była bardzo dziwna sala, w każdym razie takiej Kroni nigdy jeszcze nie widział. Była wysoka i trzy ściany miała gładkie, jakby wypolerowane, a czwartą zasłaniała błyszcząca, lecz zmatowiała ze starości tablica z mnóstwem otworów. W tych otworach tkwiły kiedyś aparaty i przyrządy, mechanizmy i urządzenia - wszystko to zostało wymontowane, wyjęte, wyszarpane, wyrwane i wycięte, zewsząd sterczały końce kabli, pogięte blachy i połamane śruby. Najwidoczniej ci, którzy stąd uciekali, nie troszczyli się o czystość i porządek. Po prostu łapali, co było pod ręką, i ładowali na wózki i wywozili. Kroni wiedział, że tak właśnie było, gdyż jeden wózek z urwanym kołem stał niedaleko tablicy i dosłownie ugiął się pod ciężarem okrągłych przyrządów ze strzałkami i cyferkami, błyszczących metalowych skrzyneczek i pudełek, szklanych rurek, motków różnokolorowych kabli i lamp. Takie bogactwo, takie stopy niewyobrażalnych skarbów wprawiły Kroniego w osłupienie. Każde metalowe pudeleczko, jeśli wyrzucić z niego zawartość, będzie kosztować więcej, niż on zarabia przez cały miesiąc, a wartości innych przedmiotów po prostu nie umiał sobie wyobrazić... Spod stosu przyrządów wystawał skrawek materiału. Kroni pociągnął go ostrożnie. Materiał był cienki jak pajęczyna, miękki i niesłychanie mocny. Szkoda tylko, że było go tak niewiele. Kroni otworzył skrzynkę i włożył do niej starannie złożoną tkaninę. Potem nie wytrzymał i podniósł kilka pudełek ze sterczącymi z nich kablami. Odstawił skrzynkę i zajrzał do wózka. I wtedy poczuł się jak człowiek, który dopiero co zjadł bardzo smaczny i syty, ale prosty posiłek, a potem, kiedy nie mógł już nic przelknąć, dostał jeszcze cały półmisek najwyszukanych smakowitości. W wózku leżała cała bela tkaniny. Znajdowała się tam również skrzynka z narzędziami, precyzyjnymi jak narzędzia dentysty, i całe zwoje kabli w miękkiej izolacji... Kroni wysypał ze skrzynki swój dobytek, odwinął z dziesięć łokci tkaniny i odciął ją nożem. Wysypał narzędzia. Wrzucał do skrzynki różne przedmioty, starając się, żeby były niewielkie, nowe i błyszczące. Skrzynka nie dawała się zamknąć, wyjmował więc z niej różne przedmioty i upychał po kieszeniach. Trudno mu było oderwać się od tego zajęcia, trudno odejść. Zapomniał o bibliotece, zapomniał o tym, że musi jakoś dotrzeć na górę. Zapomniał o całym świecie i sycił się błyszczącymi przedmiotami.

Wreszcie ocknął się i rozejrzał dokoła. Był bogaty. Co najmniej przez rok nie będzie musiał o niczym myśleć. Mógł zapomnieć o bibliotece i o innym mieście, gdyż bogaty człowiek może nie myśleć i nie marzyć o tym, czego nie ma...

Zjawa stała obok i przyglądała się, jak bogaty rurarz Kroni upycha łupy po kieszeniach. Nie groziła mu, nie atakowała, lecz zrobiła pewną rzecz, której po zjawie trudno było się spodziewać. Pochyliła się i podniosła z podłogi upuszczony kawałek kaszy... Najzwyczajszej w świecie kaszy, którą przyrządza się z pleśni i porostów, dodając do smaku trochę drobnych orzeszków rosnących na ścianach. Zjawa obracała kawałek kaszy i obwąchiwała go. Zjawa miała ręce, zupełnie niepodobne do rąk ludzkich, a poza tym głowę bez oczu i ust. Usta miała niżej, gdzieś na wysokości pasa. Zjawa wessała kaszę i Kroni był tym tak wstrząśnięty, że zapomniał o głodzie. Zjawa jadła jego kaszę. Zjawa mogła jeść, to znaczyło, że świecący słupek, przynoszący pewną śmierć każdemu, kto go zobaczy, nie był duchem. Duchy nie mogą jeść. Nie muszą jeść. Duchy nie mają ciała, które trzeba karmić dla podtrzymania sił.

- Co ty? - powiedział Kroni.

Nie chciał zjawy przestraszyć, bo natychmiast przypomniał sobie ostatnie słowa umierającego mężczyzny, które z początku uznał za bredzenie. Nieznajomy powiedział: „Idź do zjaw!”. Zapytał więc:

- Gdzie jest biblioteka?

Zjawa zaczęła się cofać i położyła na kamieniu resztkę kaszy, jakby w ostatnim momencie ruszyło ją sumienie.

- Jedz - powiedział Kroni. Nic był zły ani chciwy. I chociaż przed chwilą się wzbogacił, nie stał się przez to wcale gorszy.

Zjawa zatrzymała się, a Kroni pomyślał, że pewnie rozumie język ludzi.

- Jedz, wcale ci nie żałuję - powtórzył Kroni nie zmieniając pozycji. Siedział w kucki. przy swojej skrzynce i gładził rękami kieszenie wypchane rozmaitym dobrem.

Wówczas zjawa ponownie się zbliżyła, wzięła resztkę kaszy i wsunęła ją do ust. Kroni mógłby przysiąc, że przed chwilą te usta znajdowały się co najmniej dwie piędzi wyżej i w bok, ale zdolność człowieka do dziwienia się ma też swoje granice. Zjawa zjadająca kaszę była nieprawdopodobna i nieprawdziwa, bo przecież zjawy są to złe bezcielesne duchy. Ale zjawa słuchająca człowieka to już nic nadzwyczajnego. Skoro jest głodna, to może się posłuchać.

- Dam ci jeszcze - powiedział Kroni. Nie ufał zbytnio zjawie i chciał mieć w niej sojusznika. Może ona na przykład pilnuje tych rzeczy i nie pozwoli mu ich wziąć?

Zjawa stała. Czekwała na coś.

- Możesz pokazać mi drogę do biblioteki?

Zjawa zrozumiwała. Drgnęła i popłynęła przodem, a Kroni chwycił skrzynkę, podniósł z ziemi nóż i ruszył za nią. W świetle latarki zjawa wydawała się całkiem biała, jakby była zrobiona z pary. Nóg nie miała i w ogóle nie miała niczego, co powinien mieć normalny człowiek. Kaszę jednak jadła. Jeśli nie oszuka, pomyślał Kroni, dam jej resztę. Sam się obejdem, a jej dam. Może kasza to dla nich rzadki smakołyk?

Znowu znaleźli się w korytarzu, pod którego stropem biegły kable, a po ścianach pękły rury. Jeszcze przed godziną Kroni nie mógł wyjść z podziwu, ile tu wszelkiego dobra. Skrzynka zaczęła mu ciążyć, ale to był bardzo przyjemny ciężar. Kroni spochmurniał. Jeszcze przed chwilą myślał tylko o jednym - wrócić do domu i jak najszybciej stać się bogatym. A teraz znowu idzie szukać biblioteki, chociaż z każdym krokiem, z każdą minutą powrót staje się coraz mniej prawdopodobny, coraz niebezpieczniejszy. Komu ta biblioteka potrzebna? Kroni przeklinał się w duchu, przekonywał, że robi wielkie głupstwo, ale posłusznie szedł za słupem błękitnego dymu, zagłębiając się coraz bardziej we wnętrzości miejskich podziemi, schodząc coraz bliżej i bliżej ognistej otchłani.

Nie, z takich jak ty, Kroni - usłyszał głos starego majstra - inżynierów nie da się zrobić. Jesteś na to za głupi.

Znaleźli się w ślepych zaułku, gdzie posadzkę pokrywały wielkie kwadratowe płyty.

- Gdzie mnie zaprowadziłaś? - przeraził się Kroni. - Gdzie mnie zaprowadziłaś?

Zjawa skurczyła się w niewielką kulę, opadła i zaczęła podskakiwać w miejscu na jednym z kwadratów.

Kroni podszedł bliżej. Zjawa się odsunęła. Płyta zadudniła głucho pod nogami. Pod spodem było pusto.

- Rozumiem - powiedział Kroni i o mało nie dodał: "potrzymaj skrzynkę". Spróbował wsunąć palce w szczelinę między płytami, ale szpara była za wąska. - Przydałby się kij - zwrócił się do zjawy.

Zjawa ani drgnęła.

Kroni przypomniał sobie, że w ostatnim korytarzu po drodze tutaj poniewierały się jakieś pręty, więc powiedział:

- Poczekaj chwilę, zaraz wracam.

Wsunął pręt w szparę i płyta prawie natychmiast ustąpiła. Podważył ją, chwycił rękami za krawędź i przewrócił.

- Głęboko tu? - zapytał.

Nie czekając na odpowiedź, bo się jej wcale nie spodziewał, położył się na skraju otworu i spojrzał w dół. Promień latarki z łatwością dosięgnął dna. Ze środka tchnęło suchym ciepłem, które tak się człowiekowi marzy po powrocie z roboty, bo nie stać go, żeby rura z ciepłą parą biegła przez jego pokój. Podłoga była niedaleko. Zwyczajne piętro, wysokie na jakieś dziesięć łokci. Zjawa prześlizgnęła się obok niego, zapadła pod posadzkę i odeszła w bok. Tylko błękitny odbłask świadczył o tym, że na niego czeka.

Kroni skoczył i podłoga uderzyła go boleśnie w pięty. Promień latarki prześlizgnął się po ścianach korytarza. Którego to już dzisiaj z kolei? Podłoga była ciepła.

Zjawa ruszyła korytarzem, a Kroni dokonał jeszcze jednego zdumiewającego odkrycia. O wiele bardziej zdumiewającego niż spotkanie ze zjawą lub cudowna ucieczka przed szczurami.

Ściany korytarza nosiły ślady ognia, jakby ktoś przebiegł po nim z dymiącą pochodnią, pozostawiającą wszędzie gruby kopeć. Cała reszta wyglądała tak, jakby ludzie odeszli stąd dopiero wczoraj. Pomieszczenie było suche, więc wszystko przetrwało w doskonałym stanie. Cały był plastik na ścianach i plastikowy dywan na podłodze, wreszcie drzwi, prawdziwe różnokolorowe drzwi, wielkie i małe, i lampy pod sufitem, zupełnie całe lampy w szklanych kloszach! Skrzynka, która jeszcze przed chwilą była prawdziwym skarbem, teraz nagle straciła swoją wartość i można ją było rzucić na ziemię... Ale Kroni jej nie wyrzucił. Musiał stąd jak najszybciej uciec, żeby dogadać się z właściwymi ludźmi, urządzić zorganizowaną wyprawę, przyuczyć zjawy, żeby odpędzały białe szczury. Lubią kaszę? Dostaną jej tyle, że pękną z przejedzenia! Wtedy Kroni nie będzie mieszkał w nędznej komórce na dolnym poziomie, tylko będzie miał cały dom na górnym piętrze. Sam pan Kalgar będzie mu się kłaniał i zapraszał do swojej prywatnej windy. Kroni będzie się objadał słodkimi grzybami, ożeni się z jakąś piękną i młodą, szlachetnie urodzoną panią i nikt nie odważy się wygnać go lub skazać na śmierć. Pani Ratni będzie wychodziła co rano ze swojego domku i będzie kłaniała się w pas panu Kroniemu, sama go będzie zapraszać do kąpieli w publicznym basenie... W tym momencie Kroni zdziwił się, że tak głupio myśli. Jeśli będzie miał dom na górnym piętrze, to po co niby ma kąpać się w publicznym basenie i spotykać z panią Ratni? Po prostu zapomni o jej nędznym istnieniu. Przecież podobno sam Kalgar był kiedyś biedny, a jego ojciec pracował w fabryce. Kalgar stał na czele szajki, która kradła miedź w kopalni... Chociaż to pewnie kłamstwo, gadanie zawistnych rurarzy. Pan Kalgar urodził się na poziomie czystych. Wystarczy spojrzeć na jego ręce. A może o Kronim też niedługo zaczną mówić: spójrzcie na jego ręce, czy ktoś taki mógł być zwyczajnym rurarzem?

Kroni szedł, marzył, lecz w głębi duszy był przekonany, że nigdy nie zostanie czystym. Jego plan był niewykonalny, gdyż nigdy nie zdoła wyprowadzić w pole łobuzów i kanciarzy, którzy i tak w końcu wszystko zagarną. W dodatku nie był pewien, czy chce być panem Kalgarem i mieszkać w domu pana Kalgara. Wielka tajemnica, która opanowała jego serce, przed ruszeniem na wyprawę jeszcze zupełnie nierealna i baśniowa, w tej chwili była już o wiele ważniejsza i realniejsza od tych wszystkich starych, połamanych skarbów poniewierających się w tych korytarzach. Skarbów było zbyt dużo. Kroni potrafił z łatwością ogarnąć swoje bogactwo, dopóki mieściło się ono w skrzynce i w kieszeniach. Ale takie góry wszelkiego dobra...

Nie zaglądał więc do pokoi i bocznych korytarzy, tylko spieszył za błękitnym słupem dymu, Zjawa przesuwała się bez wahania obok otwartych i zamkniętych drzwi, koło porzuconych hełmów i portier z barwnych, błyszczących tkanin, koło otwartych skrzyń pełnych jakichś aparatów, obok zwalonych na kupę karabinów i pudełek z nabojami do nich, obok przewróconych metalowych krzesel i gąsiorów z zielonego szkła...

Zjawa zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami i czekała, aż Kroni ją dopędzi.

- Tutaj? - zapytał Kroni.

Zjawa stała bez ruchu.

Kroni pchnął drzwi i znalazł się w bibliotece.

Nigdy by się nie domyślił, że to biblioteka, gdyby nie uwierzył zjawie. W pomieszczeniu było bardzo gorąco. Tak gorąco, że od razu spierzchły mu wargi. Promień latarki błdził między metalowymi ramami, na których spoczywały metalowe półki. Książki stały i leżały na półkach, piętrzyły się w stosach na podłodze. Kroni wiedział, jak powinna wyglądać książka, bo widział Księgę Obyczaju i przysięgał na Księgę Praw, kiedy przyjmowano go do pracy. Te książki były inne. Różniły się między sobą wielkością, grubością i kolorem, chociaż przeważały wśród nich czarne.

Kroni wziął z półki książkę i zobaczył, że jest opalona i przez to czarna. Kroni trzymał książkę i dumny był z siebie, że dotarł tam, dokąd nikt jeszcze nie docierał, i znalazł bibliotekę. A teraz trzyma w ręku książkę.

Otworzył ją i karty rozsypały się w pył. Czarny obłoczek opadł wolno na podłogę. Wziął inną książkę, ale rozsypała się, zanim jeszcze uniósł ją z półki. Stała się kupką szarego popiołu, w którym czerniały strzępki zwęglonego papieru.

Kiedyś w bibliotece musiał panować straszliwy żar. Z jakiegoś względu pożar nie wybuchnął płomieniem, lecz wszystko tu zwęgliło się, spopielało i rozpadło. Papier przestał istnieć.

Kroni szedł między półkami nie zwracając uwagi na upał i duchotę, a zjawa cofała się przed nim. Dotykał książek, czasami próbował wziąć którąś z półki lub podnieść z podłogi. Ale jeśli nawet książka nie rozpadała się pod dotknięciem, to ginęła, gdy się ją tylko otworzyło.

Ogarnęła go złość. Szedł tak długo, nie mając pewności, czy wróci, i znalazł tylko pogorzeliśko. Zrozpaczony, zrzucił z półki cały rząd książek. Ręka ugrzęzła mu w popiele, a zjawa zwinęła się w niebieską trąbkę i ukłuła go elektrycznością. Niezbyt boleśnie, ale ukłuła. Zjawa nie chciała, żeby człowiek zabijał książki. Kroni nie obraził się na nią. - Wybac - powiedział - ale książki umarły. Zjawa się uspokoiła.

Kroni wygrzebał ze sterty popiołu trzy opalone na brzegach kartki i włożył je do kieszeni. Będzie przynajmniej jakiś dowód, że znalazł bibliotekę.

Inny na jego miejscu wcale by się nie martwił, bo czyż można porównywać jakieś tam książki z prawdziwymi łupami? Ale Kroni szedł bezmyślnie przed siebie, oddalając się od biblioteki, i nie widział wcale rozrzuconych dokoła skarbów. Przecież nigdy by tutaj nie dotarł, gdyby nie uwierzył w książkę o Mieście na Górze. A książki nie ma. Zjawa wyprzedziła go, lekko potrącając. Kroni zdrygnął się, ale się nie przestraszył, bo to jednak było coś realnego. Wymacał w kieszeni kawałek kaszy. Ostatni, malutki kawałek... Nie był jednak wcale głodny, za to chętnie napiłby się wody. Podał kasek zjawie.

- Masz - powiedział. - Dojedz. Zjawa wchłonęła kaszę.

- Żebyś przynajmniej umiała gadać! - powiedział Kroni. - A może była jeszcze jedna biblioteka? - zapytał, choć sam wiedział, że innej biblioteki zapewne nie było. - Zmęczyłem się - dodał. - Nie wiesz przypadkiem, jak się stąd wydostać?

Kiedy było już po wszystkim, podniecenie nie od razu opadło i Kroni wracał do rzeczywistości drobnymi skokami, jakby przebijał ciałem kolejne papierowe przegrody.

Skrzynka z każdym krokiem robiła się coraz cięższa.

Zjawa znów płynęła przodem, ale po kilku minutach zatrzymała się przy ścianie i zaczęła się do niej wlewać, jak woda przesączająca się przez szparę.

Kiedy Kroni doszedł do tego miejsca, rzeczywiście zobaczył pęknięcie. Było szerokie na jakieś pięć palców, a w jego głębi niebiesciła się zjawa.

- Hej! - krzyknął Kroni przyciskając hełm do szpary. - Dokąd? Ja tędy nie przejdę.

Ale błękitny obraz roztopił się już w ciemności.

I znów mały człowieczek znalazł się sam w ogromnej ciemności. Słaby promień dawno nie ładowanej latarki, żółty i migotliwy, gubił się w zagraconym korytarzu i sprawiał, że mrok stawał się jeszcze gęstszy. Człowiek był straszliwie zmęczony i oddałby teraz wszystkie swoje skarby za widok białych lampek pod stropem tunelu technicznego. Nie wierzył już, że kiedykolwiek je zobaczy, dlatego że przez cały dzień schodził bez przerwy w dół i tak bardzo się oddalił od znajomych okolic, że nie zdoła odszukać drogi powrotnej. A jeśli chciałby wrócić po własnych śladach, to nie pokona piętrzących się tam przeszkód. Nie wdrapie się na górę przez otwór po kwadratowej płycie, boi się wrócić do celi, w której leży nieboszczyk, żeby przedostać się na drugą stronę kamiennej ściany. Do człowiekowi w takim wypadku pozostaje? Musi po prostu iść naprzód.

Rozbolały go plecy, zdrętwiały mięśnie nóg, postanowił więc odpocząć. Minęło tyle czasu, że godzina mniej czy więcej nie grała teraz żadnej roli. I tak już się mocno spóźnił. W korytarzu nie chciał przystawać, bo w każdej chwili mogły się tam zaplatać sznur albo zjawa, której tym razem Kroni może się nie spodobać. Trzeba znaleźć jakiś pokój. Z całymi drzwiami.

Odpowiedni pokój wyszukał po jakichś stu krokach. Sprawdził, drzwi się dobrze zamykają, potem rozejrzał się po kątach, czy ktoś się tam nie ukrywa. W pokoju stał stół i kilka krzeseł. Pod stołem leżał jakiś płaski przedmiot. Kroni nie od razu się zorientował, że to pistolet.

Zamknął drzwi i usiadł na krześle. Krzesło skrzypnęło, ale wytrzymało jego ciężar. Było bardzo wygodne i bardzo by mu się przydało w domu. Potem Kroni zsunął się na podłogę, bo na krześle ból pleców nie ustępował. Wystarczyło jednak rozciągnąć się na ciepłej podłodze, żeby zaczął dokuczać upał i pragnienie. I im dłużej tak leżał w bezruchu, tym bardziej chciało mu się pić.

Postanowił trochę się zdrzemnąć, ale nic z tego nie wyszło, bo ustach tak mu wyschło, że język się w nich nie mieścił. Musiał bez przerwy się uspokajać, zmuszać do myślenia o czymś innym, a przed oczyma wciąż widział strumyk i w uszach rozbrzmiewał szmer wody spływającej do hełmu.

Kto tu był ostatni? - zastanawiał się Kroni. - Kto siedział na krześle i przed wyjściem wrzucił pistolet pod stół? Nie wstając, wyciągnął rękę i podniósł broń. Pistolet był niewielki, zgrabna rękojeść świetnie pasowała do dłoni. Kroni

nigdy nie trzymał w ręku pistoletu, ale oczywiście wiedział, jak działa. Każdy chłopak to wie. Pistolet ma kwartałowy. Kroni raz widział, jak kwartałowy zastrzelił bandytę. Ten człowiek przybiegł z innego piętra, bo gonili go agenci. A kwartałowy go zastrzelił.

Kroni wyciągnął rękę z pistoletem, wycelował w kąt pokoju nacisnął spust. Nie spodziewał się, że pistolet wystrzeli, bo przecież poniewierał się tu od tylu lat. Pistolet szarpnął się w rękę, jaskrawy błysk oświetlił pokój, huknęło, a w nos uderzył zjadliwy swąd ognia i kurzu. W pierwszym odruchu chciał pozbyć się pistoletu, wyrzucić go, ale ręka nie chciała rozstawać się z bronią, palce mocno zaciskały się na rękojeści. Kroni wstał i podszedł do ściany. Pocisk przeorał plastikową wykładzinę, rozerwał siatkę, do której była przymocowana, i w znajdującej się za nią skale wybił płytki otwór z nadtopionymi brzegami. Zdumiewająco wielka siła tkwiła w malutkiej, poręcznej maszynie, siła drzemiąca od tylu lat, by obudzić się na pierwszy rozkaz człowieka.

Kroni bał się włożyć pistolet do kieszeni, bo nie wiedział, czy przypadkiem sam nie wystrzeli... Wołał już wsunąć nóż za pas i trzymać w jednym ręku pistolet, a w drugim swoją skrzynkę. Przed wyruszeniem w dalszą drogę rozejrzył się jeszcze, czy przypadkiem nie ma gdzieś naboju do pistoletu. Obszedł stół dookoła, odsuwając stojące przy nim krzesła. Przywykł do posługiwania się latarką, więc głowa odruchowo ustawiała mu się tak, że latarka świeciła w odpowiednim kierunku, zgodnym z ruchami jego oczu.

Stół miał wysuwane szuflady. Widział takie tylko raz, w komisariacie policji, kiedy dwa lata temu wszystkich rurarzy spędzili tam na rewizję, szukając czegoś zakazanego. Dwa magazynki z nabojami odnalazł w środkowej szufladzie. W dolnej były papiery i książka planów. Pomyślał, że jeśli są to plany miasta, zwłaszcza stare plany, to ta książka jest bardzo cenna, więc zabrał ją. Wziął również pojedyncze kartki. Dziwny fart. W bibliotece było wiele tysięcy książek i wszystkie zginęły. Tutaj była tylko jedna - i ocalała!

Wychodząc z pokoju Kroni jeszcze raz omiół ściany promieniem latarki i zerknął na ślad kuli. Wtedy zupełnie przypadkowo zobaczył obraz.

Obraz wisiał na ścianie. Był przekrzywiony od uderzenia pocisku. To był niewielki, kolorowy obraz. Kroni zbliżył się i oświetlił go całą mocą latarki.

Obraz przedstawiał Miasto.

To miasto, o którym mówił inżynier Razi, w które uwierzył rurarz Kroni, uwierzył tak dalece, że poszedł szukać biblioteki.

Teraz jego podróż dobiegła końca. Nie była bezcelowa. Miała znacznie więcej sensu niż te ślady przeszłości, na które trafiał po drodze i za które można było kupić mnóstwo kaszy, nową kurtkę albo coś jeszcze innego.

Jeszcze wczoraj Kroni był zupełnie innym człowiekiem. Rurarzem, nie lepszym i nie gorszym od pozostałych, rurarzem, który co prawda uczestniczył w Biesiadach i słyszał o Rzeczach Zakazanych. Dziś jednak wiedział więcej niż inni mieszkańcy miasta. Wiedział, jak wygląda Miasto i zamierzał pokazać to Miasto innym.

Zdjął obraz ze ściany.

Szybko ruszył korytarzem przed siebie, jakby wiedział, dokąd ma iść.

Wkrótce natrafił na szyb windy. Ten szyb był jednak pusty i głęboki. Rurarz rozejrzył się. Niedaleko szybu zawsze jest drabina lub schody awaryjne.

Znalazły się i schody. Były wyrąbane w skale. Po kilku krokach okazało się, że są zawałone na poziomie tego samego piętra, gdzie była ruchoma płyta w posadzce. Kroni jednak uznał, że zawał da się usunąć. Odszukał stalowy pręt i wkrótce podważył nim kawał betonowej płyty. Ledwie zdążył uskoczyć w bok. Betonowy gruz i pył spłynął schodami i Kroni ruszył dalej. Wszystko mu się udawało, plecy nie bolały, nawet kurcz nie łapał go już w nogi. Minął następne dwa poziomy i wówczas zobaczył w oddali słabe światło.

Do światła było jeszcze bardzo daleko. W tunelu, na którego końcu Kroni zobaczył lampę, kursowała kiedyś kolejka. Tory zachowały się prawie na całej długości tunelu, ale gorsze było to, że został w nim również cały pociąg pustych wagoników, porozbijanych i spiętrzonych. Trzeba się więc było przeciskać przez płataninę poskręcane żelastwa, w pewnym momencie nawet pełznąć pod samym stropem, bo innej drogi nie było. Kiedy Kroni pokonał i tę przeszkodę, okazało się, że światło padało z okrągłego otworu w ścianie, który płonął jak otwarte drzewiczki pieca.

Było tak gorąco, że przeciągnął ręką po twarzy, sprawdzając, czy mu nie popękała skóra na policzkach. Mimo żaru doszedł do czerwonego koła, z którego dobiegał nierówny, pyrkocący hałas.

Niemal prawidłowy otwór na poziomie jego głowy był zamknięty czarną, opaloną kratą. Pod nim wznosił się kamienny mur z jaśniejszymi smugami zaprawy. Osłaniając rękawem twarz Kroni zajrzał do środka, ale musiał natychmiast odskoczyć niczego nie zobaczywszy, bo skwar był nie do wytrzymania. Wciągnął pełne płuca powietrza, zmrużył oczy i zerknął jeszcze raz. Tym razem zdołał dojrzeć ogromną pustą przestrzeń, na której dnie burzyła się, falowała, sapała, ryczała i wzdychała ognista, rozpalona lawa. Odblask ognia przebiegał po ścianach, które wznosiły się ku górze i tam na niewyobrażalnej wysokości łączyły ze sobą. Tam również unosiły się kłęby szarego dymu i znikaly jak w kominie. Gdzieś w ścianach pieczary znajdowały się otwory - wloty do tuneli i wejścia do korytarzy. Niegdyś tu również było miasto, ale część jego zapadła się lub na odwrót - jezory ognistej lawy przebiły, przewierciły ściany i roztopiły je. Skala katastrofy wzbudzała podziw i zabobonny szacunek dla Otchłani, przed którą nie było ucieczki ani zmiłowania.

Dłużej nad krawędzią Otchłani nie mógł już stać, bo obawiał się, że zapali się na nim ubranie lub wypłyną mu oczy.

Ruszył tunelem z powrotem, precyzyjnie się przez kłębowisko wagonetek i odnalazł schody. Po kilku nawrotach schody się kończyły. Tym razem zawał był solidny i nie można było nawet marzyć o jego usunięciu. Kroni zszedł na niższy poziom i trafił w nie kończący się labirynt pustych tuneli, przejść, sal i zrujnowanych pokoi. W pewnym momencie dostrzegł przemykającego się pod ścianą szczura i strzelił w jego stronę, mszcząc się za strach, w jaki wpędziła go szczurza zgraja. Nawet nie sprawdzał, czy trafił, i pospieszył dalej, gnany tylko jednym pragnieniem - jak najszybciej dostać się na górę. W godzinę później napotkał kałużę zatechłej, cuchnącej wody i nareszcie się napił. Zrobiło się nieco chłodniej. Po dalszej godzinie znalazł kabel, biegnący wąskim szybem do góry. Kabel był pod prądem, a więc na, górze znajdowały się peryferie miasta, a na dole poziomy elektrowni...

ROZDZIAŁ 2

ZNAK ROZPOZNAWCZY INŻYNIERA LEMENIA

Kroni wyszedł z windy i przez chwilę zastanawiał się, co robić. Nie wiedział, czy iść do domu i schować zdobycz, czy też zameldować się u majstra, bo przecież zaginął bez wieści rurarz i mogą go szukać... Potem zrozumiał, że i tak będzie musiał nakłamać, że zabłądził albo że napadły go szczury. Zawłoką go do komisariatu, Będą przesłuchiwać, może nawet bić. W takiej sytuacji lepiej, jeśli nic przy nim nie znajdą. I do domu też nie warto zaglądać. Trzeba iść prosto na Biesiadę, która już się zaczęła. Tam odda wszystko Inżynierowi, opowie o tym, co widział, i razem z nim zastanowi się, robić dalej. Zawsze dobrze jest wiedzieć, dokąd pójść i komu zawierzyć. Dawniej, kiedy nie chodził na Biesiady, żył zupełnie sam. Jak wielu, wielu innych.

Kroni szedł słabo oświetlonymi ulicami w stronę domu, w którym odbywała się Biesiada. Był bardzo zmęczony i zapachy ulicy, ciężki, uprzykrzony odór zatechłych mieszkań, chlorowanej wody, pomyj i przypalonej kaszy, odgłosy bab-skich klótni, wrzask dzieciarni, przekleństwa - całe to zwyczajne życie, o którym tak marzył błądząc ciemnymi tunelami, wydało mu się nędzne i żalodne. Aż dziw, że jeszcze niedawno tak się do niego garnał... Nie czuł nawet głodu, tylko tępy ból w żołądku. Kamienne stopnie prowadziły w górę między ścianami z gruzu spojonego słabą zaprawą. Za tą wąską szczeliną zaczynał się ślepy tunel. Kroni zatrzymał się i sprawdził, czy ktoś za nim nie idzie, potem przełożył skrzynkę do lewej ręki.

Trzy razy zapukał do drzwi. Odczekał chwilę i stuknął jeszcze dwa razy.

Obdarta dziewczynina ze skołtunioną głową uchyliła drzwi na dwa palce i zapytała:

- Czego?

- Ja do majstra dźwigowego Kreda - powiedział Kroni. - Z zębami.

- Coś późno dzisiaj przychodzisz, wujaszku - powiedziała dziewczynka. - Co mi przyniosłeś?

- Nic dla ciebie nie mam - odparł Kroni. - Nawet kaszę oddałem.

- Komu oddałeś kaszę?

- Zjawie, która przesyła ci pozdrowienia.

Dziewczynina pisnęła z przerażenia. Kroni odsunął ją i wszedł do niskiego, wąskiego korytarzyka. Zrobił pięć kroków i pchnął drzwi znajdujące się z prawej strony.

Biesiada toczyła się w najlepsze.

Inżynier Razi zobaczył Kroniego, ale nie przerwał swojej mowy. Reszta odwracała się i niektórzy witali go kiwnięciem głowy. Kroni cichutko usiadł obok chłopaczka ze szkoły górniczej, który zawsze go unikał, bo ten czyściutki inżynierski synek bał się ubrudzić o rurarza. Rurarz nie obrażał się, ale nie współczuł chłopakowi. Niech się przyzwyczajają!

- Powtarzają nam... - ciągnął tymczasem Razi, a Kroni postarał się skupić, uważnie chłonąc jego słowa, chociaż wiedział, że jego nowiny są o wiele ważniejsze od słów samego inżyniera Raziego. To była przyjemna, dobra wiadomość, więc Kroni nie spieszył się. Gdzie ma się spieszyć, skoro jest wśród swoich, a na kolanach ma skrzynkę ze skarbem?

- Ciągłe nas przekonują - jakby zza ściany dobiegł głos inżyniera - że taki porządek obowiązuje z dawien dawna. Przekonują nas, że nikt inny, jak sam Bóg Red i inni bogowie przykazali jednym ludziom żyć w wiecznym mroku i brudzie, w ciągłym lęku przed utratą kawałka kaszy, przykazali umierać od chorób i patrzeć na to, jak umierają ich dzieci. A zresztą czy tak wiele znów dzieci żyje w naszych katakumbach? Z każdym rokiem jest ich coraz mniej.

W pokoju było około piętnastu osób. Kroni znał tych wszystkich ludzi, a przynajmniej widywał ich już wcześniej. Jedyna lampa osłonięta czarnym kloszem wisiała bezpośrednio nad wąską głową Raziego i dlatego jego obrzmiała twarz wydawała się ostra, z gruba ciosana, energiczna. Kroni nie wiedział, czy Razi umyślnie stanął pod lampą...

Kiedy po raz pierwszy rozmawiał z Razim, starał się na niego nie patrzeć. Bał się myśleć, że prawdziwy inżynier, który mieszka na górnym poziomie i ubiera się tak czysto, może siedzieć obok rurarza. Inżynier był wrogiem Obyczaju i każdy z zebranej tu piętnastki mógł pójść do komisariatu, powiedzieć o tym i jeśli mu uwierzą - a dlaczego niby mieliby mu nie uwierzyć? - dostać nowy pokój lub nawet przenieść się o piętro wyżej. Tak się jednak nie stało i Kroni wiedział, że on pierwszy skoczy w obronie swojego inżyniera. Dlatego, że w mieście jest stu, a może więcej inżynierów, ale Razi jest tylko jeden.

Razi właściwie miał dobrą twarz, tyle że małą. Kroni nigdy nie widział takiego malutkiego inżyniera. Inżynierowie dobrze jedzą i nigdy nie miewają wrzodów. Nie kaszlą i nie ślepną. Dlatego inżynierowie są zawsze wyżsi i silniej zbudowani niż rurarze, tkacze czy górnicy. Ale inżynier Razi był cherlawy jak tkacz. Miał przezroczystą skórę, przez którą przeświecały mu niebieskie żyły. Wcześniej wyłysiał i dlatego nie można było poznać, ile ma lat. Mówił zawsze cicho, cedził słowo za słowem, jakby każdy wyraz najpierw powtarzał w duchu. Czasami jednak rozgadywał się i wtedy jego głos stawał się wyraźny i donośny, stawał się głosem zupełnie innego człowieka, dużego i silnego, ręce wydawały się dłuższe, a palce podkreślały każde słowo, stawały kropki na końcu zdań tub wznosiły się gwałtownie do góry jak wykrzykniki.

- Dzieci i tak jest za dużo - powiedział górnik, przypominający bryłę węgla, bo był tak samo czarny i bezkształtny. - Tylko ciągle umierają.

Inżynier nie słuchał go jednak.

- Ciągłe nam powtarzają, że ludzie stworzeni są do życia w ciemności. Po cóż więc im oczy.

- Żeby widzieć - odpowiedział ktoś siedzący w głębokim cieniu. - Co zobaczymy, jak nie będzie oczu?

- A w ciemności nasze oczy nie widzą - powiedział inżynier. - Szczury obywają się bez oczu, glisty obywają się bez oczu, a my nie możemy.

- Zjawy też nie mają oczu - powiedział Kroni.

- No, zjawy nie mają tu nic do rzeczy, Kroni. Zjawy zostały wymyślone po to, żeby ludzie nie wtykali niepotrzebnie nosa do pustych korytarzy.

- Zjawy są - powiedział Kroni. - Jedną nawet niedawno karmiłem...

Ludzie wybuchnęli śmiechem. Nawet inżynier Razi się uśmiechnął. Dziewczynka wsunęła do pokoju swoją rozczochraną głowę i zapytała ze złością:

- Chcecie, żeby na ulicy usłyszeli?

- Czym ją karmiłeś? - zapytał górnik.

- Czym? Oczywiście kaszą - powiedział Kroni i zamilkł. I tak mu przecież nie uwierzą!

- Kaszą! - dławił się śmiechem młodziczka uczeń szkoły górniczej.

A Kroni pomyślał, że korytarze i tunele, w których spędził cały dzień, znajdują się tuż obok. Każdy może tam dotrzeć. To nic trudnego. Inna rzecz, że nie wiadomo, czy uda mu się przeżyć. Ale dostać się można, tyle tylko, że nikt po prostu się tym nie interesuje.

- Uspokójcie się - powiedział Razi. - A więc mówię dalej. Dlaczego niektórzy mają skórę ciemniejszą, a inni jaśniejszą, dlaczego jedni mają oczy jasne, a drudzy ciemne, dlaczego wreszcie moje włosy, dopóki je miałem, były jasne, a Kroni ma ciemne? Komu w ciemności potrzebne są te wszystkie barwy i odcienie. Powiadacie, że Bóg dał ludziom oczy, żeby widzieli, a w ciemności widzieć nie potrafią. To znaczy, że Bóg również wymyślił lampy elektryczne i kaganki oliwne? Wymyślił i od razu dał ludziom?

- Ogień przyszedł z Otchłani - powiedział fryzjer Wegi, który był bardzo wykształcony, umiał czytać, uczył się w szkole na urzędnika, ale jakoś nim nie został.

- A przedtem? - zapytał inżynier. - Czy przedtem ludzie łazili po ciemku korytarzami i wpadali na siebie? Nie! Twierdzą, że dawniej ludzie żyli w innym miejscu. To było dawno, tak dawno, że wszyscy o tym zapomnieli. Mieszkamy w domach wyрубanych w skale, chodzimy ulicami przerobionymi z jaskiń. Ale co było przedtem? Przed pojawieniem się miasta? Gdzie ludzie mieszkali dawniej?

Kroni już o tym słyszał. Przez wiele lat wędrówek korytarzami i tunelami technicznymi sam doszedł do tego, o czym mówił inżynier. Wiedział, że miasto było kiedyś o wiele większe niż dzisiaj. Że więcej w nim było ludzi i rozmaitych rzeczy.

- Przypatrzcie się, jak źle działa w naszym mieście system zaopatrzenia. Rurarz powie wam, że ciągle trzeba wymieniać rury i kable. Że z każdym dniem coraz trudniej jest znaleźć części zamienne i że stale wysyłamy specjalne grupy do porzuconych poziomów, aby zdobyć materiały i urządzenia, które ktoś dawno schował albo po prostu zostawił. A co to znaczy? Po pierwsze to, że miasto kiedyś było o wiele większe. A po drugie - rzeczy, których nam brakuje i których nie potrafimy robić, na przykład kable i ich izolacje, zostały wyprodukowane albo poza miastem, albo sekret ich wytwarzania został dawno utracony.

- Słusznie - powiedział górnik. - W zeszłym miesiącu przebiliśmy się do sektoru, o którym nikt nie wiedział. Inżynier od razu wezwał agentów, którzy nas stamtąd wygnali. Dziwiliśmy się wtedy, skąd za kopalnią wzięła się ulica.

- Twierdzą, że ludzie dawniej żyli w innym miejscu. Wiele lat temu przyszli tutaj i zbudowali miasto. Było ich więcej niż dzisiaj i żyło im się o wiele lepiej. Człowiek nie może jednak mieszkać stale w takim miejscu, jak nasze miasto. Ludzie stopniowo wymierają. Ludzie muszą więc wrócić do siebie. Dokąd?

- Do Miasta na Górze - powiedział Kroni.

- Tak. Wierzę, że dawniej było Miasto na Górze. Tam, gdzie jest jasno, gdzie nie ma wąskich i ciemnych korytarzy, lecz rozległe przestrzenie, gdzie strop wisi o tysiące metrów nad głową.

- Oj! - pisnęła z zachwytu dziewczynka, która podsłuchiwała.

- Przyprowadziłem wam dzisiaj człowieka uczonego, szanownego Ral-Roddi, który przeczytał wiele książek i który wie o wiele więcej niż wszyscy czyści razem wzięci. Ral-Roddi obliczył, kiedy się tu znaleźliśmy i wie, gdzie się znajdowało wcześniej nasze miasto i jak wyglądało.

Tego starca Kroni przedtem nie zauważył, bo siedział w ciemności za plecami Raziego, a twarz miał tak szarą, że zlewała się ze ścianą.

Razi usiadł, a starzec wyszedł z gromady i pochylił się nad stołem, opierając się o jego blat. Oczy miał tak głęboko zapadnięte i ukryte pod gęstymi brwiami, że wyglądały jak czarne jamy.

- Dawno nie rozmawiałem z ludźmi - powiedział starzec.

Wszyscy obecni w pokoju wstrzymali oddech. Do inżyniera Raziego już się przyzwyczaili, uznali go niemal za swego. Z inżynierem można się było nie zgadzać, a nawet spierać.

A w starcu było coś ostatecznego. To, co on powie, okaże się prawdą, w którą trzeba będzie uwierzyć czy się chce, czy nie.

- Ludzie odnaleźli mnie i jestem wdzięczny Josowi za to, że przed śmiercią mogę jeszcze raz powiedzieć prawdę.

Słowa starca były ciężkie i niemal dotykalne. Można je było wziąć w rękę i zważyć.

- Człowiek urodził się tam.

Starzec oderwał rękę od stołu i unióś ją ku górze. Wszyscy popatrzyli w tym samym kierunku.

- Okłamują was, mówiąc, że świat został stworzony przez Boga Reda i że taki był zawsze. Świat był inny. Gdyby wejść na ostatnie poziomy i przebić ziemię, to można dotrzeć do kolebki ludzkości. Gnieździmy się jak szczury w podziemiach świata. Prawdziwy świat jest tysiąckrotnie większy od naszego. Aby dotrzeć do jego stropu, trzeba wdrapywać się cały dzień po drabinie. W tamtym, górnym świecie nigdy nie bywa ciemno, bo rozżarzony ogień wisi na jego stropie. Ale to nie jest ciężki ogień... Tamten ogień jest bezcielesny i jaskrawy - i dlatego tam strop zawsze błyszczy złotem.

Starzec opuścił rękę i rozkasłał się. Wszyscy milczeli.

- Ale dlaczego tamten świat, ogromny i piękny, został przez ludzi porzucony? Dlatego, że ludzie okazali się niegodni go. Klócili się i walczyli ze sobą. Zabijali kobiety i dzieci, grabili słabych. I słabi uciekali przed władzą silnych. Wówczas silni zrozumieli, że powinni wpędzić ludzi do klatek bez wyjścia, a słabi będą im posłuszni. Silni zeszli w dół, pod ziemię i zabrali ze sobą wszystkich pozostałych. Ludzie mieszkają teraz pod ziemią i zapomnieli o tym, że istnieje inny świat, że jest jasność i drzewa, i rzeki wyłożone górnym światłem. Tak rzekłem, bo wiem.

Starzec opadł wolno na krzesło i jakby roztopił się w cieniu. Tylko jego oddech, głęboki jak sapanie maszyny, wypełnił pokój.

- A może tam jest gorąco? - zapytał nagle górnik. - Upalnie jak w dolnych kopalniach. Może ludzie nie mogli tam żyć, boby się spalili?

- Nie - powiedział starzec głosem dobiegającym z wszystkich kątów pokoju. - Ja wiem, a dziadek mojego dziadka jeszcze pamiętał, jak to było.

- A co to są drzewa? - zapytał uczeń szkoły górniczej.

- To ogromne suche porosty - powiedział starzec. - Wyrastają na wiele łokci i osłaniają przed jaskrawym światłem ludzi, kiedy nadejdzie ich czas odpoczynku.

- To są niezupełnie porosty - powiedział cicho Kroni, który miał w skrzynce Obraz. - Drzewa wyglądają jak słupy i rozszerzają się u góry.

- Milcz! - zbeszał go Razi. - Znów fantazjujesz. Inżynier nie chciał, żeby starzec się obraził.
- Nie fantazjuję - powiedział Kroni. - I strop tam też nie jest złocisty, tylko niebieski z białymi plamami.
- Kroni ma dzisiaj dobry dzień - powiedział wesoło Trukoz, kancelista z fabryki tkackiej. - To nie rurarz, tylko

bajarz.

Starzec nic nie powiedział, bo przywykł do tego, że ludzie mu nie wierzą.

A Kroni nie spieszył się z pokazywaniem Obrazu. Pokaże go tylko inżynierowi. Tylko jemu, a potem zaraz zdecydują, co robić dalej. Są sprawy wspólne, dotyczące wszystkich, ale są też sprawy własne, osobiste, którymi nie należy się dzielić z innymi, bo to może być niebezpieczne. Ludzie z trudem wierzą nowinom. Kroni wierzył łatwo i dlatego wszyscy uważali go za trochę naiwnego. Nawet Razi.

Wstał bardzo chudy mężczyzna z żółtymi oczami, pełnymi tłumionej wściekłości. Podobno służył kiedyś w policji, skąd go wyrzucono za długi język. Teraz latał miski i garneczki w warsztacie na trzynastym poziomie.

- Tracimy na próżno czas! - krzyknął. - Ciągłe tracimy czas, gadamy tylko, gadamy i gadamy. Niedługo się z tym gadaniem zestarzejemy. Dajcie mi bombę, to wysadzę w powietrze całe to więzienie!

- Poczekaj... - próbował go powstrzymać Razi.

- Już drugi rok. I Mroki czeka, I Brodacz też. I na co czekamy? Na nowe bajki o Górnym Mieście? O złotym stropie? Gdzieś mam cały ten złoty strop. Daj mi tylko broń, to wystrzelam wszystkich czystych. I wtedy wszyscy będą syci.

- Jeszcze wcześniej zastrzelą ciebie - powiedział kancelista. - Tyle razy ci mówiłem, że jeszcze nie czas...

Wszyscy zaczęli krzyczeć naraz i nikt już nikogo nie słuchał. Kroni ogłuchł ze zmęczenia.

- Uspokójcie się - uspokajał ich inżynier Razi. - Myślicie, że mało było przed wami gorących głów, ludzi, którzy chwytali kamień lub kij i biegli zaprowadzić sprawiedliwość? Byli i tacy!

- Byli - zadudnił w ciemności głos starca. - Ja też do nich należałem. Ale to było dawno, bardzo dawno. Szliśmy szybami wind, a oni rzucali z góry granaty z gazem. Potem wrzucili przywódców buntu do Otchłani. Spuszczali ich tam na stalowych linach, żeby dłużej słyszeć ich krzyki...

Chudy usiadł, jakby ktoś wypuścił z niego powietrze.

- Nie mamy broni - powiedział Razi. - Nie jesteśmy też pewni, że ludzie pójdą za nami. Czy poprze nas wielu mieszkańców choćby najbiedniejszych poziomów? Czy wielu za nami pójdzie?

- Nie - powiedział Kroni. - Nawet w naszym kwartale mało kto pójdzie.

- Można posłać pewnych ludzi, żeby dobrali się do Dyrektorów.

- Zabijają ich i co dalej? Będą nowi Dyrektorzy.

- Ich też się zabije - upierał się chudy.

- Powinniśmy uczyć ludzi, tłumaczyć im, że tak dalej żyć nie można. Musimy gromadzić broń...

- Broń można zdobyć - powiedział Kroni. - Prawdziwą broń, wojskową.

- Kroni znów fantazjuje - roześmiał się kancelista. Kroni stracił cierpliwość.

- Mówisz, że fantazjuję? Nie wierzysz mi?

- Bardzo bym chciał - powiedział kancelista.

- I nikt inny też mi nie wierzy?

- Uspokój się, Kroni - powiedział Razi. Ciągłe wyskakuje z tym swoim "uspokój się, jeszcze za wcześniej"... - Uspokój się!

Kroni wyszarpnął pistolet z kieszeni.

- Wiem, gdzie jest broń, gdzie leżą skrzynie z nabojami! Przyzwyczailiście się do tego, że rurarz jest niewykształcony, że jest głupi, że można się po nim spodziewać tylko bajek! No to posłuchajcie mojej bajki...

Wykrzyknął to jednym tchem i nagle zobaczył siebie oczami innych. Obdarty, brudny mężczyzna wymachuje pistoletem w mrocznym pokoju. Ludzie odskoczyli od niego, potracili głowy, może nawet nie pojęli, co trzyma w ręku, ale przestraszyli się krzyku i gwałtownych gestów.

- Ja też wiem... - dodał cicho. Inżynier Razi stał już przy nim. Wyciągnął rękę i powiedział:

- Daj. To nie jest zabawka.

- Wiem - odparł Kroni.

- Niech powie, gdzie jest broń - odezwał się chudy. - To pistolet wojskowy. Widziałem taki.

Razi zastanawiał się przez chwilę, po czym uniósł rękę.

- Poczekajcie - powiedział. - Musimy porozmawiać. Nie chcę powiedzieć, że wam nie ufam. Ale broń to bardzo poważna sprawa. Nie mogę ryzykować, a nuż wśród nas znajduje się człowiek słaby i Władza dowie się o tym. Skład broni może zdecydować o wszystkim. Może zmienić losy miasta. Pozwólcie mi przejść z rurarzem do drugiego pokoju. Niech opowie tylko mnie jednemu.

Chwył Kroniego za łokieć miękkimi palcami i zaprowadził za przegrodkę. Zapalił lampkę. Kroni nigdy jeszcze tu nie wchodził.

Nic dziwnego, to była spiżarnia gospodarza domu. Razi siadł na skrzynce i podsunął Kroniemu drugą.

- Byłeś dziś na dole? - zapytał.

- Tak. Nie chciałem z początku mówić, ale tak jakoś wyszło.

- Nie ma teraz czego żałować - powiedział Razi - bo wszyscy i tak już wiedzą.

Do komórki wszedł starzec.

- Ja mogę - powiedział. - Władze uważają, że dawno umarłem. A ja mogę się przydać.

- Naturalnie - powiedział inżynier. - Mów, Kroni. Tylko krótko.

- Może zaczekamy, aż wszyscy się rozejdą?

- Nie. Ludzie będą czekać, co im powiemy.

Kroni postawił skrzynkę na stole i otworzył ją. Na samym wierzchu leżał Obraz.

- Tam był niebieski strop - powiedział Kroni. Starzec pochylił się nad obrazkiem tak nisko, że siwe kosmyki niemal dotykały wysokich domów i zielonych drzew.

- To może być umowne - powiedział starzec. - Malarzowi wydawało się, że niebieski lepiej pasuje do białych domów. - Na pewno umowne.

- A czy to jest narysowane? - zapytał inżynier. - Wydaje mi się, że to zostało skopiowane z natury jakimś mechanicznym sposobem.

- Nawet jeśli tak było - zaproponował starzec - to potem pomalowali.

- To znaczy, że drzewa mogły nie być zielone? Te tutaj, na brązowych słupach.

- To nie są drzewa - powiedział starzec - tylko ozdoby. Ale na obrazku jest prawdziwe miasto. To właśnie Miasto na Górze. W nim ludzie mieszkali dawno, dawno temu.

Starzec gładził obrazek drżącą ręką, a Kroni chciał go powstrzymać, bo ręka była brudna, prawie czarna i mogła zasmarować wizerunek. Wydawało się, że starzec wpadł w trans, bo powtarzał niczym zaklęcie: "Dwie setki kroków do skały i długie podejście od brzegu rzeki. A potem lasem idź na zachód...". Te jego słowa jakoś dziwnie zapadały w pamięć.

- Znalazłeś bibliotekę? - zapytał inżynier Razi.

- Znalazłem bibliotekę, ale tam jest bardzo gorąco. Książki się rozpadają. Jedną jednak przyniosłem... Wyjął książkę.

- To wszystko, co zdołałem stamtąd przynieść. Razi szybko przerzucał kartki.

- To jest stara książka - powiedział starzec. - Prawdziwa stara książka. Wydrukowana na górze...

- Bardzo interesujące - powiedział Razi. - Tu są plany sektorów. Trzeba je dokładnie obejrzeć. Ale mów dalej.

- Byłem w Mieście Przodków i w porzuconych sektorach. Zjawy pokazała mi drogę do miejsca, gdzie dawniej ludzie nie docierali.

- Znow ta zjawa!... - skrzywił się Razi.

- No dobra - powiedział Kroni. - Wiem, że zjaw nie ma, ale ja ją karmiłem kaszą. Broń leży niedaleko biblioteki.

Kroni próbował wytłumaczyć, ale szybko się zaplątał. Razi słuchał go przez jakieś dwie minuty, a potem powiedział:

- To za bardzo skomplikowane. I szczury, i nieboszczyk, i Ognista Otchłań...

- Tam były sektory. Słyszałem o tym - powiedział starzec. - Cześć miasta zapadła się w otchłań...

Za przepierzeniem rozległ się głośny łoskot, jakby ktoś przewrócił cały rząd krzesel, potem zduszony wrzask. Wrzask ucichł, a zamiast niego zaczął narastać rumor, głośne przekleństwa i krzyk:

- Lampę!

Brzęk, kłaśnięcie. Głos:

- Nie ruszać się. Będziemy strzelać!

Ktoś już wdarł się za przepierzenie i zapytał krótko:

- Tutaj? Jest tu kto?

Razi już ciągnął Kroniego za rękę w głąb pomieszczenia, przewracając po drodze skrzynki. Za nimi został tupot i trzask.

Razi, padając przed siebie, pociągnął Kroniego w jakąś, wąską szczelinę, skrzynka zaczepiła się o coś i wydawało się, że ktoś ją trzyma. Biegli przez wąskie kamienne przejście, potem stoczyli się po ciemnych i śliskich schodach, odliczając zębami i łokciami każdy stopień, aż wreszcie znaleźli się w zaułku, za rogiem wielkiego domu pokrytego arkuszami zardzewiałej blachy.

- Leć do domu - szepnął Razi. - Jutro o tej samej porze koło sklepiku Mosilego.

- Czekaj - powiedział Kroni. - Ja...

- Do jutra. Leć. - Inżynier przemknął pod słabą lampą uliczną i zniknął między domami.

Kroni został na miejscu. Rozumiał, że powinien uciekać, znaleźć się jak najdalej stąd, bo pogoń w każdej chwili mogła odnaleźć przejście, którym uciekali z domu. Nieszczęście jednak polegało na tym, że Kroni nie wiedział, dokąd ma uciekać. Nie zdążył powiedzieć Raziemu, że spóźnił się na koniec zmiany, że już go szukają, że nie może wracać do domu, bo w domu już na pewno czeka na niego kwartałowy.

Los w ciągu niewielu minut wywracał jego życie do góry nogami, nicował i stawiał wszystko na głowie. Przeżył najgorszą samotność, kiedy walczył ze szczurzą zgrają, prawie zaprzyjaźnił się z istotą, w której istnienie nie wierzył żaden rozumny człowiek, wrócił do ludzi i poczuł, że coś wśród nich znaczy. I zaraz potem został sam, absolutnie sam. Teraz musi znaleźć jakąś kryjówkę i doczekać w niej jutra. A jutro inżynier Razi już coś wymyśli.

Na dworze było cicho i spokojnie. Mieszkańcy sektora już nie hałasowali, dzieci zasnęły, a gospodynie przestały się kłócić. Wkrótce zgasną górne lampy i wówczas zaułkami będą przemykać jedynie złodzieje i policjanci, a zwykły człowiek nie będzie tam miał nic do roboty.

Kroni wziął skrzynkę i wyszedł na ulicę. Latarnie, które zawsze wydawały mu się takie blade, teraz świeciły wprost oślepiająco. A czy ta obława była przypadkowa? Czy ktoś jeszcze zdążył im uciec?

Starał się iść wolno, jak zmęczony rurarz wracający z obchodu, chociaż sam nie potrafiłby powiedzieć, czy naprawdę jest zmęczony. Był po drugiej stronie zmęczenia.

- Stój - odezwał się głos za plecami.

Głos był cichy i brzmiała w nim pewność, że Kroni nie ucieknie. Kroni rzeczywiście zdołał przezwyciężyć chęć ucieczki, pragnienie, aby skoczyć w bok, pędzić wąskimi zaułkami, ukryć się gdzieś w kącie...

Kroni stał i błagał Boga, żeby to byli bandyci. Wiedział, że bandyci nie napadają na rurarzy. Co można znaleźć w skrzynce rurarza? Ale bandyci nie mówią "stój" tak pewnym tonem, jakby wszyscy musieli ich słuchać.

- Twarzą do ściany - powiedział ten sam głos. - Oprzyj się rękami.

Kroni nie chciał wypuszczać skrzynki z ręki, więc podniósł ją do góry.

- Skrzynkę na ziemię.

Kroni usłuchał. Stał teraz w niewygodnej pozycji, z nogami odstawionymi od ściany i opartymi o nią rękami. Dzięki temu zobaczył, jak do skrzynki stojącej na ziemi sięgnęła ręka. Na rękawie były złote naszywki policjanta.

Miał rację. Bandyci nie napadają na rurarzy.

Zaprowadzili go do komisariatu. Kwartałowy Ratni, gruba świnia z małym łebkiem, na jego widok pokręcił z wyrzutem głową, bo zawsze udawał surowego, mrukliwego, ale sprawiedliwego ojca całego kwartału.

- Aj, aj - powiedział. - Rurarz Kroni! A co ty robiłeś w tak paskudnym towarzystwie? Widzę, że moja żona miała jednak rację, kiedy już dziś rano prosiła, żebym cię ukarał. Ukarałbym cię i w ten sposób uratował od ciężkiej zbrodni.

- Co z nim zrobić? - zapytał policjant.

- Niech na razie posiedzi w marnie - odparł Ratni. - Potem go zabiorą...

Policjant pchnął Kroniego w plecy i rzucił na kamienną posadzkę celi pełnej jęków, westchnień, stłumionych głosów. Rozległ się krzyk. Jakiś dziwnie znajomy, ale niemożliwy do rozpoznania głos krzyczał rozpaczliwie:

- To pomyłka! Wypuście mnie natychmiast! Złożę skargę!

Krata zamknęła się ze zgrzytem. Kroki policjanta ucichły za jaskrawym prostokątem drzwi prowadzących do dyżurki.

- Kto tu jest? - zapytał Kroni, unosząc się na kłęczki.

- A ty kim jesteś?

- To ty, chudy? - wyszeptał Kroni. - To ja, rurarz.

- Nie znam żadnego rurarza - odpowiedział głos chudego. I zaraz potem rozległ się głuchy głos, dobiegający jakby z pieczary:

- Słusznie, tutaj nikt nikogo nie zna. Dziwne, że was tego nie nauczyli!...

To mówił starzec, Kroni go rozpoznał. A więc stary też wpadł. Stary miał rację. "Jeśli któryś z was wpadnie, uczył inżynier Razi, to pamiętajcie, że znaleźliście się tu przypadkiem, że nic nie wiecie o żadnej Biesiadzie. To leży w waszym interesie. Szczera skrucha zawsze potęguje winę. Przyznajcie się, że jesteście złodziejem, to potrzymają was z tydzień i wypędzą na ulicę, bo niby dłaczego mieliby za darmo karmić jakiegoś tam złodzieja... A jak powiecie, że byliście na Biesiadzie, natychmiast znajdziecie się w dolnej kopalni, gdzie człowiek wytrzymuje najwyżej miesiąc... Może nawet zresztą nie doprowadzą was do kopalni, tylko wykończą na miejscu".

- Ja nikogo nie znam - powiedział Kroni.

- Słusznie. Oni tu z pewnością wsadzili swojego ptaszka. Nie widzimy go, ale on pilnie słucha - powiedział starzec. - Śpijcie spokojnie, młodzi ludzie. Do rana nikogo nie wezmą, bo nie zapominajcie, że policjant też człowiek. Ma żonę i dzieci, i również chciałby pomieszkać trochę w domu. Premia, którą dostanie za schwytanie paru nierobów, planujących ogrobianie tunelu technicznego, nie starczy mu nawet na tydzień przyzwoitego życia...

Nikt mu nie odpowiedział, ale Kroni zrozumiał to, co zrozumieli również wszyscy pozostali: zebrał się po to, żeby obrabować tunel techniczny. W jaki sposób rabuje się taki tunel? Wyciąga się rury i kable?

- Ja tam nic nie wiem - rozległ się młody głos. To był uczeń szkoły górniczej. - Szedłem do znajomej dziewczyny i zmyliłem drogę. Zapytałem o nią w pierwszym z brzegu domu i w tym momencie wpadli tam policjanci. Czekają na mnie w domu. Mój tatuś jest szefem departamentu. Wszyscy tu mogą potwierdzić, że dopiero co przyszedłem.

Nikt mu nie odpowiedział.

- On szedł do mnie - odezwała się po minucie ta rozczochrana dziewczynka, która otwierała drzwi. - On mnie kocha! Zachichotała, a potem rozbeczała się na głos.

- Cicho bądź - powiedział sennym głosem starzec. - Przeszkadzasz mi spać.

Kroni uznał, że też powinien się przespać. Wiedział już, jak ma się zachować. Kładąc się na podłodze, powiedział półgłosem, wiedząc, że wszyscy go słyszą:

- A ja jestem rurarzem. Szedłem ulicą i nagle mnie zatrzymali. Sam nie wiem, dlaczego. Obława była, czy co?

- Ja też nie wiem - powiedział starzec. - Nikt nie wie.

Było bardzo duszno i znów poczuł pragnienie, ale Kroni nie chciał nikogo wołać. Niech lepiej zostawia go w spokoju. Choć na krótko. Inżynier nie odezwał się. Może go nie złapali?

Otworzyły się drzwi celi i w jaskrawym prostokacie światła ukazała się sylwetka policjanta, przecięta cieniem kraty.

- Kto tu jest rurarzem? - zapytał policjant. Kroni nie odpowiedział. Już zaczął drzemać i nie chciało mu się ruszać.

- Rurarzu Kroni, wyjdź!

Latarka zaczęła szperać wśród twarzy.

- Hej, kwartałowy - zawołał policjant. - Pokaż mi swojego rurarza, bo coś kępuje się wyjść.

Ratni zachichotał i jego grube cielsko zasłoniło drzwi. Wtedy Kroni wstał z ziemi i powiedział:

- Ja jestem rurarzem. Zasnąłem. - Przepraszam, panie policjancie.

- To nie jest zwyczajny rurarz - powiedział Ratni. - Dawno już zwróciłem na niego baczną uwagę. Jeśli sprawdzicie liczbę czarnych gałek, Jakie powiesiłem przy jego imieniu w rejestrze, to przekonacie się, jak głęboko go podejrzewałem. I miałem rację. Miałem rację?

Kroni pomyślał, że kiedy drzemał w celi, kwartałowy wysypał do rejestru cały swój zapas czarnych gałek.

- Jasne, kwartałowy, miałeś rację - powiedział policjant. - Odsunął się na bok, żeby Kroni mógł przejść i wtedy okazało się, że jest wysoki, jednego wzrostu z rurarzem, tyle że węższy w ramionach. Miał za to pięknie domytą błękitną skórę i długą, wąską twarz z małutkimi, miękkimi ustami. Czasami dzieci czystych idą do policji, żeby zachować Obyczaj.

- No i wpadłeś, rurarzu - powiedział policjant wesoło i pokazał białe, mocne zęby.

- Nic nie rozumiem - powiedział Kroni. - Szedłem ulicą, wracałem do domu...

- Będziesz się musiał jeszcze trochę przespacerować - powiedział policjant. - Razem ze skrzynką. A w skrzynce masz takie rzeczy, których nawet kwartałowy nigdy na oczy nie widział. Rozmaite cudenka...

- Jeśli chodzi o skrzynkę, to wszystko znalazłem w tunelu. Napadły na mnie szczyry...

- Pospiesz się - uciał policjant. - I niechaj uszy pospółstwa będą na wieki zamknięte dla świętych tajemnic. Priż!

Drugi policjant, stojący przy stole z ręką opartą o skrzynkę rurarza, wyprężył się na baczność.

- Rozkaz, panie Spell!

- Idziemy. Zawiadomiłeś?

- Tak jest!

I zęcnie uderzywszy Kroniego kantem dłoni w szyję, oficer policji pan Spell wyrzucił w ten sposób więźnia za drzwi i wyszedł ze swym pomocnikiem panem Priżem na dwór, a kwartałowy Ratni biegł za nimi i usiłował wetknąć rejestr policyjny z mnóstwem czarnych gałek przy imieniu Kroniego.

Nie uszli daleko. Niemal naprzeciwko komisariatu kwartałowego były zamaskowane drzwi w skale. Rurarz wiedział o ich istnieniu i nawet był kiedyś w szybie specjalnej windy, kiedy coś się niej uszkodziło. Ale na ogół zwyc-

zajnych rurarzy tam nie wpuszczali. Tajna policja miała własne służby remontowe. Spel otworzył drzwi windy kluczem, który miał zawieszony na szyi. Tej windy używano, kiedy trzeba było pilnie przerzucić policjantów z poziomu na poziom.

Spel nie patrząc nacisnął trzeci guzik od góry.

Jednak tam będę, chociaż nie z własnej woli, pomyślał Kroni.

Policjant jakby odczytał jego myśli, bo powiedział:

- Nigdy w życiu byś nie trafił na górne poziomy, gdyby nie moc tajnej policji. Więc podziękuj jej za tę wycieczkę, ty śmierdzący rurarzu! Kroni powiedział:

- Dziękuję pokornie.

Dostał od policjanta Priża w łeb.

Winda pędziła do góry szybko i prawie nie skrzypiała. Drzwi do niej również otworzyły się bez zgrzytu, zawsze obecnego w innych dźwigach. Przy wyjściu czekał na nich jeszcze jeden policjant. Ubrany w czysty mundur i lśniące buty. Policjant uklonił się panu Spelowi, Priż wykreślił Kroniemu ręce i wszyscy razem szybko, niemal biegiem ruszyli pustą ulicą. Ulica miała posadzkę z kwadratowych płyt, białych i niebieskich, była zamieciona, a może nawet umyta i drzwi domów ciemniały na tle gładkich, jasnych fasad, wystających daleko ze skały. Strop ulicy też był wysoki, dwukrotnie wyższy niż na dole i pomalowany na niebiesko. Kroni zdążył pomyśleć, że chyba rację miał on, a nie starzec. Strop w Górnym Mieście też musiał być niebieski, a nie złoty.

Kroniego zaprowadzono do trzeciego domu od windy. Płoneło w nim rześiste światło, jaśniejsze nawet niż w komisariacie kwartałowym, a lampy były tam osłonięte matowymi kloszami. Inna rzecz, że jeden czy dwa klosze były pęknięte i sklezione... Wprawny rurarz zawsze zauważy uszkodzenie.

Oprowadzono go do białego, pustego pomieszczenia i kazano czekać. Pan Spel zniknął za białymi drzwiami, a kiedy wrócił uśmiechał się szeroko i niemal przyjaźnie.

- No, idź, rurarzu - powiedział. - Będzie łaźnia.

Kroni źle go rozumiał. Skulił się, bo myślał, że będą bili. Ale następny pokój był gorący i wilgotny, z długą i niską ławką pod ścianą. W przeciwnym końcu znajdowały się rury z lejkowatymi wylotami, zawieszono pod sufitem. Rury przepelnione były, Kroni zauważył to natychmiast po wejściu do środka, gorącą wodą. Spojrzał niepewnie na Spela. Oficer był zły, ale wesoły, a w dodatku jakby trochę znajomy. Nie to, co inni.

- Rozbieraj się - powiedział Spel. - Będziesz się mył. Co ci powiedziałem? Myślałeś, że będziemy bili? Nie licz na to. Jesteś zbyt ważny! Może nawet sam nie wiesz, jak bardzo ważny. No, rozbieraj się, ile razy mam ci powtarzać?

I palnął Kroniego w ucho. To była normalna rozmowa policjanta z rurarzem. Palnął go bez złości, ale boleśnie.

Kroni potrząsnął głową i posłusznie zaczął się rozbierać.

- Zdejmuj wszystko - powiedział Spel. - Widziałeś kiedyś prysznic?

- Co?

- Ach, ty śmierdziu! Zobacz, ile masz robactwa!

- Wcale nie jestem taki brudny, wasza miłość - powiedział Kroni.

- Tak uważasz? Sam bym się chętnie umył... Jak człowiek od was wróci, to potem przez tydzień musi się drapać.

Kiedy Kroni się zebrał, popchnął go w stronę rur. Popchnął ostrożnie, koniuszkiem pałki. Rurarz poślizgnął się na mokrej podłodze, ale zdołał utrzymać równowagę.

- Strach pomyśleć, że bywają tacy brudni ludzie - powiedział Spel wesoło. - Aż dziw bierze, że was Otchłań nie pochłonie!

Kroni czuł się nieswojo, stojąc nago przed policjantem. W dodatku w takim świetle! Spel, krzywiąc się i demonstracyjnie trzymając z dala od niego, zapędził rurarza do kabiny i włączył wodę, która trysnęła ostrymi, kłującymi strużkami, jak z przerdzewiałej rury.

Oficer cofnął się i zaciągnął plastikową zasłonkę.

- Jeśli będzie za gorąco - powiedział - przekręć prawy kran w lewo.

- Jest akurat - odpowiedział Kroni. Woda zmywała, zeszkrobywała z ciała warstwę brudu i kurzu. - A mydła nie ma? - To już bezczelność - powiedział Spel, a jego głos z trudem przebił się przez szum wody. - Ten rurarz myśli, że został zaproszony na posiedzenie Rady Dyrektorów.

Kawałek mydła uderzył w ścianę i ześlizgnął się na podłogę. Kroni podniósł go. Gorąca woda splukiwała zmęczenie. Otworzył usta i napił się. Woda była czysta i słodkawa, o wiele lepsza niż w basenie.

Nie pamiętał już, kiedy ostatni raz mył głowę...

- Długo jeszcze? - zapytał Spel. - Mam na ciebie czekać?

- Teraz dobrze byłoby się ostrzyć - powiedział Kroni.

- Wyłączam wodę - warknął Spel. - Znudziło mi się. Twoje łachy już przynieśli.

- Jakie łachy?

- Twoje łachy przepuścili przez komorę dezynfekcyjną. Możesz więc uznać, że przebierzesz się w czyste.

Spel spełnił swoją groźbę i wyłączył wodę. Dobrze jeszcze, że Kroni zdążył zmyć mydło. Oficer rzucił mu przez cały pokój zwinięty ręcznik. Kawał tkaniny, który wystarczyłby jakiejś kobiecie na sukienkę.

Kurtka, spodnie, przepaska biodrowa i buciory Kroniego leżały na ławce. Wszystko było naprawdę czyste, pachnące parą, ale przez to jeszcze bardziej biedne i żałosne w tym jasnym pokoju.

- Całkiem nieźle wyglądasz - powiedział Spel. - Powinieneś służyć w tajnej policji, a nie spiskować.

- Wcale nie spiskuję, panie - powiedział pokornie Kroni. - Jestem biednym rurarzem. Ubierał się bez pośpiechu.

Jego łachmany były jak cudze.

- Patrzcie, wdział swoje szmaty i nie ma człowieka - powiedział Spel ze szczerym zdziwieniem w głosie. - Rurarz i koniec.

- Jakby ciebie ubrać w te szmaty, też byś stał się rurarzem - powiedział Kroni.

- Nie będę bił - roześmiał się Spel, widząc, że ręka Kroniego uniosła się do góry, osłaniając głowę przed nieuniknionym ciosem. - Dziwny z ciebie facet. Wiesz, że będą bić, a jednak pyskujesz.

- Ja zawsze tak. Mówią o mnie, że fantazjuję.

- Kto tak o tobie mówi? - zapytał niewinnie Spel.

- A... - Kroni zamilkł.

- Nie chcesz, to nie mów - machnął ręką Spel. - I bez ciebie wiemy, że mówią tak o tobie na Biesiadach. Dlatego, że jesteś szczególnie niebezpiecznym zbrodniarzem. Chcesz nas wszystkich wysadzić w powietrze i innych do tego namawiasz.

- Ja?

- Ty, szczurze! Idziemy!

Spel wepchnął Kroniego do poczekalni i zatrzymał się przed wielkimi i wysokimi dwuskrzydłowymi drzwiami.

- Można? - zapytał, zaglądając do środka.

- Wprowadź - odpowiedział niski głos i Kroni wyobraził sobie grubego mężczyznę, podobnego do kwartałowego Ratniego, ale z dużą głową i brwiami starca.

Za rozległym, wielkości pokoju Kroniego, gładkim stołem siedział niziutki, ale bardzo szeroki mężczyzna. Miał wypukłe czoło, silnie wytrzeszczone niebieskie oczy bez rzęs i gładkie włosy z przedziałkiem pośrodku. Od tego mężczyzny tchnęło Obyczajem. Ubrany był w czarny mundur, skromny jak toga kapłana.

- No, jesteśmy - powiedział serdecznie. - Rurarz Kroni. Cieszę się. Bardzo się cieszę. A ja nazywam się Mekil, przewiskiem Glizda. Głupie, prawda? Obrażliwe, ale głupie.

- Głupie - zgodził się Kroni.

- Widzę, że jesteś naiwny, a przez to bezczelny - powiedział Mekil. - Wiesz, kto ja jestem?

- Pan Mekil przewiskiem Glizda - powiedział Kroni. Spel rąbnął go pięścią w plecy.

- Ciągłe mnie biją - poskarżył się Kroni. - Co tylko powiem, od razu mnie biją.

- Jacy oni? - Głos Mekila zrobił się jeszcze serdeczniejszy.

- Jego miłość pan policjant Spel.

- Czemu się na niego skarżysz? Nikt ci nie mówił, że pan Glizda nie zna litości?

- Nigdy pana wcześniej nie spotkałem, panie Mekil - powiedział Kroni.

- Jesteś bystry. Gdybyś teraz nazwał mnie Glizda, kazałbym Spelowi cię zatłuc.

- Tak jest, panie Glizda. - Jakiś diabeł go podkusił, a przecież gdyby nie to słowo, jakoś by mu się upiekło.

Spel stłukł go pałką i pięścią równocześnie. Walił jak wściekły. Kroni zwinął się, zakrywając głowę rękami.

- Dość - powiedział Mekil. - Podejdz do biurka. Kroni wyprostował się z trudem. Przed oczami latały mu czerwone plamy.

- Nie powinieneś tak się starać, Spel. Wierzę, że jesteś dobrym chłopcem i że daleko zajdziesz. Ale ten Kroni mi się podoba.

- Mnie też, panie Mekil - powiedział Spel. - Powinno się go uczyć.

- Święta racja, mój chłopcze, święta racja! On przecież nie ze złej woli, tylko z ciemnoty dostał się w łapy agitatorów, wrogów i heretyków, którzy nie wierzą we wszechmogącego Boga Reda i w błękitne zjawy....

W tym miejscu Mekil jakby zawałał się i spojrzał wyczekująco na Kroniego. Rurarz jak głupi połknął haczyk.

- Zjaw nie ma - powiedział.

- Słusznie! - ucieszył się Mekil-Glizda. - Ja również tak myślę, więc możemy się dogadać. Broń też nam obu się przyda.

- Jaka broń? - zdziwił się Kroni.

- Ta, którą znalazłeś dziś rano i o której zapomniałeś zameldować majstrowi. W ogóle zdenerwowałeś swojego majstra i narobiłeś mu kłopotu. Ten naiwniak uważał, że robi dobrze, ukrywając przed nami, że nie wróciłeś ze zmiany. Posłał rurarzy, żeby cię szukali, a nas nie zawiadomił. Musieliśmy go więc ukarać. To bardzo przykre. Majster siedzi w ciemnicy, a jego dzieci głodują.

Glizda był szczerze zmartwiony. O mało się nie rozplakał.

- Wypuście go - powiedział Kroni.

- A będziesz się przyzwoicie zachowywał?

- Będę. On nie jest winien, że się zgubiłem.

- Każdy, kto ma jakiś sekret, jest winien. Każdy, kto nie wykaże posłuszeństwa, jest winien. Skąd to znamy?

- Z Księgi Praw - odpowiedział Kroni.

- A więc majster jest winien i nic na to nie możemy poradzić. Jasne?

Kroni milczał, bo niby co miał powiedzieć, w jaki sposób pomóc majstrowi?

- A teraz opowiedz nam, młodzieńcze, kto posłał cię na poszukiwanie biblioteki i co tam znalazłeś?

- Przecież ja całkiem przypadkowo... - zaczął rurarz.

- Poczekaj. Interesuje mnie również, jakiego koloru jest niebo w Mieście na Górze. Jestem bardzo ciekawy, mój chłopcze.

Kroni słuchał i zastanawiał się. To znaczy, że na Biesiadzie był człowiek Mekila albo ktoś już zdążył wszystko opowiedzieć. Ale o inżynierze Razim na razie nic nie mówili, nie pytali o niego. Może go po prostu nie złapali?

- Byłem w podziemiu - powiedział. Nie miał czego ukrywać, bo do tego przyznał się przy wszystkich. - Zabłądziłem i napadło mnie stado szczurów.

- Oj, to okropne - powiedział Glizda. - Stado szczurów! Jakoś dawniej nikogo nie atakowały, i to w dodatku całym stadem.

- A na mnie napadły. Uciekałem przed nimi i zabłądziłem. Błąkałem się prawie przez cały dzień i wydostałem się na zewnątrz dopiero wieczorem. I kiedy szedłem do domu..

- Nie zameldowałeś się na służbie? Poszedłeś prosto do domu? Nigdy nie uwierzę, żeby dobry rurarz poszedł do domu i nie zameldował się przedtem majstrowi. Mów dalej, mój chłopcze.

- A więc zabłądziłem pod ziemią - wymamrotał Kroni. - Wydostałem się dopiero pod wieczór. I kiedy szedłem...

- Dość tego - powiedział Glizda zmęczonym głosem. - Okropnie jesteś nudny i tępy. Najmniejszego śladu wyobraźni. Ja bym na twoim miejscu wymyślił skomplikowaną historię, którą musielibyśmy długo rozplątywać.

Przechylił się przez stół i nacisnął guzik na szarym pulpicie. Nastąpiła krótka pauza. Kroni rozejrzał się ukradkiem. Do tej pory jego uwagę pochłaniał całkowicie sam Glizda, a teraz mógł zobaczyć, jak wygląda jego jaskinia.

Gabinet był prawie pusty. Ściany miał gładkie, jasnobrązowe, ale rurarz zauważył zacieki w kątach. Widocznie tu również któraś rura była nie w porządku. Ścianę za stołem zasłaniała portiera i Kroni był prawie pewien, że za nią znajdują się drzwi. W takim pokoju jedne drzwi to za mało!

Glizda podszedł do portierki i odsłonił ją gwałtownym ruchem. Kroni pomylił się. Tam nie było drzwi, tylko wielkie okno, za którym widać było dużą, niską pieczarę. W pieczarze wznosiły się jakieś stalowe konstrukcje, leżały narzędzia i płonął otwarty ogień. Do żelaznego krzesła był przywiązany chudy, a właściwie to, co z niego zostało. Pokrzwawiony kadłub otwierał bezdźwięcznie usta i drgał spazmatycznie. Pod krzesłem palił się ogień, więc Kroniego zaczęło mdlić. Wydało mu się, że czuje swąd palonego mięsa, chociaż szyba w oknie była gruba i szczelna...

Glizda zasunął portierę, ale Kroni nie mógł oderwać od niej oczu.

- Tam jest sala tortur - powiedział Glizda. - Ty również w niej się znajdziesz... A na razie chciałbym porozmawiać z tobą spokojnie, bez kata.

Drugie drzwi znajdowały się zupełnie gdzie indziej, niż się Kroni spodziewał. Glizda nacisnął guzik i część ściany odjechała w bok.

- Nie bój się - powiedział Mekil. - Chodźmy. A ty, Spel... Zresztą chodź i ty, bo ten rurarz może na mnie napaść. Nic na tym nie zyska, ale będzie mi przykro.

Następny pokój był niewielki, ale też jasno oświetlony. Na środku stał niski stół, obok niego jeszcze jeden mniejszy i kilka krzeseł. Na pierwszym niskim stole stały jakieś naczynia, na drugim - skrzynka Kroniego, wyjęte z niej przedmioty i oddzielnie przedmioty znalezione w jego kieszeniach. Kroni zdumiał się na widok takiego bogactwa. Po prostu o wielu rzeczach już zapomniał.

Glizda wskazał palcem Obraz.

- Skąd to wziąłeś? - zapytał. - I co to jest?

- Znalazłem przypadkiem, kiedy uciekałem przed szczurami.

- Znowu kłamstwo i oszustwo. No dobra, co tu jest narysowane?

- To jest Miasto na Górze - powiedział Kroni.

- Co to znaczy?

- Dawniej ludzie mieszkali na górze - wyjaśnił Kroni. - Tam, gdzie jest jasno i gdzie strop znajduje się o wiele wyżej niż tutaj. Rosną tam drzewa. Tu właśnie widać te rzeczy...

- A potem? - Mekil jakby się zainteresował.

- A potem czyści, tacy jak wasza miłość, zmusili ludzi, żeby zeszli do podziemi, tutaj, bo chcieli, żeby ci ludzie na nich pracowali. Jeśli jest wiele pustego miejsca, to każdy może odejść.

- I ty wierzysz, że tak właśnie było? - zapytał Mekil przechylając głowę i przyglądając się Kroniemu takim wzrokiem, jakby go widział po raz pierwszy.

- Wierzę - powiedział Kroni. - Tu jest Obraz.

- To jest wymysł malarza - mruknął Glizda. - Tylko wymysł. Miasta na Górze nie ma i nie było, bo być go nie może. Ale to nie twoja sprawa. Teraz, rurarzu, opowiedz mi o tym.

Glizda pstryknął palcem w magazynek pistoletu. Zapasowy magazynek, który został w kieszeni Kroniego.

- Nie mam pojęcia, co to jest - powiedział Kroni. - Nigdy czegoś podobnego nie widziałem, wasza miłość.

Mekil myślał na głos, jakby ani Kroniego, ani Spela nie było w pokoju.

- Magazynek do pistoletu wojskowego, stary model. Rurarz jest głupi, ale niezupełnie. Wierzę, że tam była broń. Dlaczego niby tam ma nie być broni? Kiedy ewakuowali dolne sektory, był taki popłoch, że coś musieli tam zostawić... To jasne, że nawet taki głupi rurarz weźmie najpierw pistolet, a dopiero potem zapasowy magazynek do niego. Może zapomnieć o zapasowym magazynku i wziąć pistolet, ale nie może zapomnieć o pistolecie, a zabrać magazynek. No więc co on zrobił z pistoletem?...

Nie zwracał się z tym pytaniem wprost do Kroniego, więc rurarz nie odpowiedział. Glizda dotknął jego ręki miłąką śliską dłonią.

- Źle słyszysz? Gdzie jest pistolet?

Popatrzył Kroniemu prosto w oczy, a ten zamknął powieki, chociaż wiedział, że nie powinien tego robić. Glizda roześmiał się nie rozklejając warg.

Rurarz otworzył oczy. Nikt go nie bił. Glizda siedział już przy stoliku i nad czymś się zastanawiał, nie patrząc na niego. I w tym momencie Kroni mocno się zdziwił. Oficer policji Spel wyciągnął rękę i za plecami Mekila wziął coś ze stołu. Wziął i schował do kieszeni. Co to mogło być?

Policjant uderzył go pałką w ramię, ale to było słabe uderzenie. Umysłnie słabe, jakby Spel nie chciał bić rurarza.

- Nie żałuj go - mruknął Glizda.

W tym momencie Kroni zrozumiał, co to za przedmiot policjant ściągnął ze stołu. To był znak rozpoznawczy tego mężczyzny, który umarł w podziemiu.

Spel powiedział do Kroniego:

- No, trzymaj się, bydlaku!

Zamachnął się, ale cios znowu nie był zbyt silny. Kroni na wszelki wypadek wrzasnął.

- Nie zabij go - ostrzegł Glizda. - Coś tu jeszcze powinno leżeć. Zapomniałem co... - Przyglądał się uważnie kabłom, pudełkom, narzędziom zebranym przez Kroniego w podziemiu. Uniósł Obraz, potrząsnął pękiem kluczy...

Kroni poczuł, że Spel znieruchomiał z napięcia.

Rurarz nie wierzył Gliździe. Nie uwierzył, żeby taki wielki pan, taki chytry człowiek zapomniał o małym przedmiocie, który zniknął ze stołu. Znaki rozpoznawcze powinny natychmiast po śmierci ich właścicieli znaleźć się w kwartale. Jeśli ktoś ma przy sobie cudzy znak, to znaczy, że zabił tego człowieka albo znalazł jego zwłoki. Glizda nie mógł zapomnieć o znaczku. Ale przecież zapomniał!

- A więc - powiedział Glizda - jeśli obiecasz, że będziesz zachowywał się przyzwoicie, to nie będziemy cię dzisiaj torturować. Wszyscy są już zmęczeni. Kaci też muszą czasem spać. Prawda?

- Prawda - odparł Kroni z ulgą.

- Oj, widzę, że żarty się ciebie trzymają! - zdziwił się Glizda. - A może naprawdę myślisz, że pozwolimy ci odpocząć, nie zapytawszy najpierw, kto zaciągnął cię na Biesiadę i kto posłał szukać broni?

- Słowo honoru, że nie szukałem broni.

- Tylko?

- Zabłądziłem.

- Wierzę, że nie szukałeś broni. Tym gorzej dla ciebie, bo będziemy musieli się dowiedzieć, czego szukałeś. Ale jak będziesz o tym opowiadał, to przypadkiem nie zapomnij wspomnieć, komu oddałeś pistolet. A może to były dwa pistolety? Zrozum, odpowiadam za porządek i spokój w naszym wiecznym mieście, więc nie mogę dopuścić do tego, żeby broń znalazła się w rękach ludzi, którzy mogą mieć złe zamiary. Odprowadź go, Spel. Starszy kat ma listę pytań... No, zwyczajnie. Tylko nie na śmierć. Pamiętaj, na twoją odpowiedzialność! Potem musi przecież pójść na dół i pokazać, gdzie jest bron. To bardzo ważne.

- Aha. byłbym zapomniiał - dopędził ich jego głos już przy drzwiach. - Słuchaj, Spel, nie pamiętasz przypadkiem, jakiego przedmiotu, brakuje wśród rzeczy zakwestionowanych u zbrodniarza stanu, rurarza Kroniego?

- Nie wiem, Mekil - powiedział Spel beztrąsko. - Przecież nie opróżniałem mu kieszeni.

- No jasne, jasne! Wybacz mi, mój chłopcze - powiedział tonem skarconego dziecka Glizda.

Żeby dotrzeć do izby tortur, musieli najpierw minąć długi korytarz. Kroni starał się o niczym nie myśleć i nie przywoływać w pamięci katowni i ciała chudego. Myślał, że jeśli nie wytrzyma bólu i powie coś o broni, to na pewno go nie oszczędzą. Znajdą broń i bez niego. Trzeba więc wytrzymać. Zaciśnąc zęby i cierpieć, a jutro coś się wymyśli... Spel szedł tuż za nim.

- Słuchaj uważnie i nie odwracaj się - powiedział nagle pospiesznym szeptem. - Rób tak, jak ci powiem, ale Gliździe o tym ani słowa. Mnie zgubisz i siebie też nie uratujesz. Kiedy wejdiesz do izby tortur i zobaczysz wszystko, co tam jest, natychmiast padnij na kolana i krzycz, że wszystko powiesz, że pokażesz broń.

- Ale ja nic nie powiem.

- Wcale nie musisz tego robić. To już mój kłopot. Tylko udaj śmiertelnie przerażonego. On będzie cię obserwował. Zresztą przstraszyć cię nie jest trudno...

- Nietrudno - zgodził się Kroni. - A co zrobiłeś...

- Zamknij się!

Konwojent otworzył niskie drzwi. Z izby dobiegł słodkawy odór spalenizny.

Spel pchnął Kroniego czymś ostrym w plecy. Rurarzowi wydało się nawet, że to był kindżał.

Kroni wpadł do katowni. Chudego tam już nie było. Zamiast szyby między izbą a gabinetem Glizdy połyskiwało głębokie, ciemne lustro.

Jak on mnie zobaczy? - zdążył pomyśleć Kroni i znów poczuł pchnięcie w plecy

Wcale nie musiał udawać przerażenia.

Kaci zbliżali się do niego z dwóch stron i długie, mokre postronki wlokły się za nimi po plamistej posadzce. Narzędzia tortur patrzyły groźnie ze ścian.

- Nie! - krzyknął Kroni. - Nie! Zostawcie mnie w spokoju!

Kaci zbliżali się bez pośpiechu, bo dokąd niby mieli się spieszyć? Kroni runął na kolana. Zresztą i tak nie mógł ustać na nogach.

- Wszystko powiem! - mamrotał pod nosem, chociaż wydawało mu się, że ogłuszająco krzyczy. - Wszystko wam powiem!

Zrobiło się ciemno, rurarz poleciał w jakąś przepaść, zapadł się w Ognistą Otchłań. Ciemność wirowała, niczym ogniki wewnątrz zjawy, a Kroni usiłował złapać się za coś stałego, nieruchomego i z daleka, jakby przez grubą warstwę kamienia usłyszał znajomy głos:

- Gotów.

Inny głos, dudniący, odbijający się od ścian przepaści, zapytał:

- Przyjdzie do siebie?

A pierwszy głos odpowiedział:

- Nie ma co na to liczyć. Za daleko odszedł.

Głęboko, myślał Kroni, bardzo głęboko i daleko odleciałem.

- Jeśli się nie ocknie - powiedział dudniący głos - odnieście go do celi.

- Załamał się - powiedział pierwszy głos. - Rano będzie mięciutki.

Tak, będę mięciutki jak pajęczyna, chciał przytaknąć Kroni, ale nastąpiła zupełna ciemność. I nic więcej.

- Muszę go zobaczyć - powiedział odległy głos.

- On nadal jest jeszcze wyłączony - odpowiedział inny. - Dopiero co sprawdzałem. Pan dyrektor Mekil bardzo się tym niepokoi.

- Wiem, przychodzę tu na rozkaz jego łaskawości. Znasz mnie przecież.

- Jak mógłbym nie znać!

Oba głosy są znajome. A kto to jest pan dyrektor Mekil? To przecież Glizda! No jasne, to ten śmieszny robał... Zgrzyt. Pewnie ktoś otwiera kratę tunelu technicznego, pomyślał Kroni i przypomniał sobie, że jest rurarzem. Nieważne, jak się nazywa, ważne jest, że pracuje jako rurarz.

Głos rozległ się nad samym uchem:

- Kroni, słyszysz mnie?

No tak, pomyślał. Już wiem. Nazywam się Kroni. Właśnie tak, a nie inaczej. Rurarz Kroni. Bardzo szkoda rurarza Kroniego. Dlaczego? Bo wpadł i oni go zabijają.

- Kroni! To ja, Spel.

Coś zimnego musnęło jego nos i eksplodowało gryzącym, obrzydliwym smrodem. Chcą go udusić! Szarpnął się, ale nie zdołał się wyrwać.

- Spokojnie - powiedział Spel. - Wytrzymaj chwilę. Zaraz przyjdiesz do siebie.

Kroni otworzył oczy. Spel zabrał wilgotną szmatę. Rurarz rozkasłał się.

- Co się sta...? - spróbował zapytać, ale znowu złapał go atak kaszlu.

- Milcz - wyszeptał Spel. I zaraz powiedział bardzo głośno.

- Bredzisz, przyjacielu, ale szybko doprowadzimy cię do porządku...

Kroni milczał. Pamięć mu wróciła. Spel nachylił się do samego ucha.

- On tu ma rurę podsłuchową.

Spel wyjął z górnej kieszeni munduru znaczek identyfikacyjny. Kroni z góry wiedział, że go wyciągnie. I stosunek Spela do niego zmienił się w tej właśnie chwili, kiedy policjant zobaczył ten znaczek. Dlaczego go ukradł? Coś jeszcze chodziło mu po głowie, coś, co łączyło policjanta z tym nieboszczykiem. Ale co to było?

- Gdzie go znalazłeś? - wyszeptał Spel. - Zabiłeś go? Kroni pokręcił przecząco głową i od tego w głowie przetoczyła się fala bólu.

- Był martwy?

- Nie.

- Panie - zawołał zza drzwi strażnik. - Czy on się ocknął? Jego miłość kazał natychmiast zawiadomić.

- Nie ocknął się - powiedział Spel i dłonią zakrył Kroniemu oczy. - Całkiem zdechły. Bredzi.

- Żadnego ducha w tych bydłakach - powiedział z przekonaniem strażnik za drzwiami.

- Idę - wyszeptał Spel. - Leż i nie otwieraj oczu. Nikt nie może wiedzieć, że oprzytomniałeś. Niedługo wrócę. Jak tylko Mekil sobie stąd pójdzie.

Kroniemu trudno było leżeć z zamkniętymi oczami, bo w głowie wirowało powoli ciężkie koło, spychające go stopniowo w przepaść... Zasnął niezauważalnie dla siebie i tak mocno, że Spel musiał długo kopać go i tarmosić.

- Starczy! - warknął Kroni, podnosząc się z podłogi. - Nie umiesz obyć się bez bicia?

- A czy ty jesteś człowiekiem, żebym cię miał oszczędzać. Wiemy jak was, wszarzy, zwabiają na Biesiady. "Ach, wszyscy ludzie są równi i rurarz nie jest winien, że został rurarzem. To dyrektorzy są winni". A wy się cieszyacie i dlatego na waszych garbach, na waszych śmierdzących garbach jakiś inżynierek chce wyjechać do góry. Tak że nie ciesz się za bardzo. Byłeś śmierdzącym rurarzem i do końca nim zostaniesz. I będzie cię tłukł każdy, komu przyjdzie na to ochota.

- Mam gdzie twoje słowa - powiedział Kroni. - Komu wierzę, w co wierzę i komu garb podstawiam, to tylko moja sprawa.

- Mówić to ty potrafisz - roześmiał się Spel. - Nauczyl cię. No dobra, oprzytomniałeś?

- Tak.

- Wstawaj.

Kroni podniósł się z klęczek. Nogi miał miękkie, a mózg bulgotał mu w głowie jak rzadkie blocko.

- Stoję. Widzisz?

- Idziemy.

- Dokąd?

- Nie bój się, gorzej nie będzie.

- A niby dlaczego miałbym ci wierzyć?

- Przecież widziałeś, jaki jest Glizda. On cię stąd nie wypuści żywcem.

- A ty puścisz?

- Jeszcze nie wiem.

- To ja się stąd nie ruszam.

- Jak uważasz. Ja w każdym razie idę.

- A Gliździe powiem, że wzięłeś znaczek, a potem kazałeś mi... Ani się Kroni obejrzał, kiedy Spel wykręcił mu rękę do tyłu, tak że rurarz musiał zgiąć się w pół, uderzył go kolanem w podbródek i popchnął w stronę drzwi.

- Myślisz, że będę się z tobą cackał? W każdej chwili ktoś tu może wejść. Ze mną będzie źle, a z tobą zrobią koniec.

- Dobra - powiedział Kroni. - Puść, sam pójdę.

- Nie, ten numer nie przejdzie. Nie wierzysz mi, a ja do ciebie też nie mam za grosz zaufania. W razie czego powiem, że prowadzę cię na przesłuchanie.

Koło drzwi poniewierał się martwy strażnik. Był uduszony: twarz sina, głowa przekręcona w bok.

- To twoja robota? - zapytał Kroni. Śmierć, tym bardziej taka, wydała mu się tak odrażająca, że zaczęło kręcić mu się w głowie. Aż dziw, że zachował wrażliwość w świecie, gdzie śmierć była powszechniejsza niż życie.

- Nie - odparł Spel. - Ty go udusiłeś. Skręciłeś mu kark i uciekłeś. I teraz, choćbyś nie wiem co powiedział Gliździe, nikt ci nie uwierzy. Przecież nie ja go zadusiłem. Niby po co miałbym to zrobić?

- A potem załatwisz mnie tak samo, jak tego tutaj?

- Wszystko jest możliwe... No, ruszaj się!

Znaleźli się na przestronnej ulicy. Ulica była piękna i jasna nawet w nocy. Z przeciwka szedł sprzątac, który odwrócił się, opuścił głowę, żeby nie zobaczyć przypadkiem czegoś, czego nie należało zauważyć.

Spel wpełznął Kroniego w wąski przesmyk między dwoma domami i doprowadził do ukrytych tam drzwi. Za drzwiami były schody wykute w skałę. Takie wąskie, że dwaj ludzie nie mogliby się na nich wyminąć. Stopnie schodów ułożone były spiralnie. Jeden zakręt, drugi...

Spel zamknął drzwi na zasuwkę i puścił Kroniego.

- Możesz uznać, że jesteś uratowany - powiedział. - Tutaj nikt nie powinien cię szukać.

- Jestem u ciebie w domu?

- Nie. Do mnie mogą zajrzeć. Glizda jest do tego zdolny.

- Może - zgodził się Kroni. - Wie, że wzięłeś znaczek identyfikacyjny.

- Jesteś pewien?

- Tak.

- Zachowałem się jak idiota - mruknął Spel - ale jak tylko zobaczyłem nazwisko, to nie umiałem się powstrzymać.

Gdzie zetknąłeś się z Lenieniem?

- Z kim?

- Nie udawaj!

Spel zapalił światło. Pokój był niewielki, ale czegoś podobnego Kroni jeszcze w życiu nie widział. Nawet nie podejrzewał, że pokój może być tak urządony. Ściany były obciążone tkaniną w kwiaty i rozmaite wzory. Gdyby ją rozkroić na sukienki, to wystarczyłoby dla kobiet z całego kwartału. Gruby materiał ze sterczącymi włoskami pokrywał podłogę. Najwspanialsze jednak były siedzenia.

- Siadaj - powiedział Spel.

Kroni nie śmiał usłuchać, bo siedzenia też były pokryte tkaniną.

- Siadaj! - warknął Spel. - Ile razy mam ci powtarzać?...

Policjant wyszedł. Było bardzo cicho. Zasłona, za którą zniknął, leciutko się kołysała. Po chwili, dobiegły zza niej przytłumione głosy.

Jeśli kiedykolwiek uda mi się stąd wyrwać i opowiedzieć o tym ludziom, to nikt mi nie uwierzy, pomyślał Kroni. Komu zresztą miałbym opowiadać? Inżynier z pewnością był w takich domach, bo urodził się na górnych poziomach. A inni uznają to za bajkę. Przez trzydzieści lat Kroni żył tak samo, jak wszyscy. Przez ostatni dzień zobaczył więcej niż przez ubiegłe trzydzieści lat.

Zasłona uchyliła się i do pokoju weszła wysoka dziewczyna.

Dziewczyna była piękna i nie dawała się z nikim porównać. Takiej też jeszcze nigdy w życiu nie widział. Kobiety z dołu nie bywają młode i piękne. Granica, oddzielająca dzieciństwo - kościste, krzykliwe i wiecznie głodne, od starości - wężlastych rąk obciążonych pomarszczoną skórą, przenikliwych głosów, palców powykręcanych od wiecznego prania w zimnej wodzie i ciężkiej roboty, blizn i siniaków, kiedy mąż miał skłonność do bicia - ta granica na dole była zupełnie niewidoczna.

Dziewczynki rosły, potem nieoczekiwanie przenosiły się do sąsiedniej komórki, a jak miały szczęście, to do komórki o poziom wyżej i stawały się starymi kobietami. Były zawsze brudne i oberwane, bo żyły w ciemności, a człowiekowi należało się malutki kawałek mydła na czterdzieści dni.

Kroni widywał przelotnie żony majstrów, córki i siostry handlarzy. Ale czy to nie miał szczęścia, czy też specjalnie się im nie przyglądał, w każdym razie nie było wśród nich takiej, którą chciałby zobaczyć jeszcze raz. Naturalnie wiedział, że minie jeszcze rok, a może trzy, kiedy przyjdzie kwartałowy albo majster i powie: powinieneś sobie wziąć kobietę, rurarzu. Ale rurarzowi nie tak łatwo znaleźć sobie kobietę, bo rurarz jest biedny i brudny. Dziewczyna miała na sobie długą suknię, sięgającą za kolana (u nich na dole sukienki są krótkie, bo w ten sposób wychodzi dużo mniej materiału). Miała długie włosy (na dole wszyscy strzygli się krótko, bo długich włosów nie da się przyzwoicie umyć ani wytępić z nich robactwa). Jej rękę ozdabiała błyszcząca złota bransoletka. I o ile naprawdę była złota, to tyle złota naraz Kroni nigdy przedtem nie widział (dziewczyny na dole nosiły malutkie miedziane błyskotki, które spryciarze robili ze starych gilz albo z miedzi kradzionej w kopalni). Dziewczyna miała na nogach białe sandały. I to też było dziwne, bo kobiety na dole chodziły boso i nogi im puchły od wilgoci i reumatyzmu. Oczywiście pani Ratni miała sandały, ale zakładała je tylko wówczas, kiedy szła w gości na górę, do nowych krewniaków albo do sąsiedniego kwartałowego. Trzewiki były luksusem i należały się tylko mężczyznom, którzy musieli dużo chodzić. Dziewczyna miała gładką skórę - kobiety na dole miały twarze pokryte krostami i strupami...

Kroni wyprzeżył się i zneruchomiał. Dziwna rzecz, najpierw zobaczył jej ubranie, a dopiero potem dojrzał twarz. To była promienna twarz, twarz niezwykła, mądra i piękna, tak piękna, że gdyby nawet należała do Dziewicy Otchłani, której widok oznaczał niechybną śmierć, Kroni zgodziłby się ha śmierć, byleby tylko wolno mu było przedtem na nią popatrzeć.

Głos dziewczyny był głęboki i spokojny. Z pewnością w ogóle nie potrafiła wrzeszczeć. A gdzie niby miała wrzeszczeć. Nad basenem kwartałowym? Dziewczyna była smutna i nie od razu zauważyła rurarza - patrzyła na niego oczami błyszczącymi od łez.

- Wiedziałaś - powiedziała jakby do siebie. - Wiedziałaś, że on umarł. To dziwne, że ja żyję, ty żyjesz...

- Gero - powiedział Spel - to jest ten rurarz, który był z Lemeniem.

- Tak? - dziewczyna jakby zbudziła się z głębokiego snu. - Jak ci się udało?

- Kazałem mu się kajać i ukradkiem wstrzyknąłem mu drętwą wodę. Wyszło tak, że zemdlął na widok narzędzi tortur. Nawet Glizda w to uwierzył.

- Uwierzył? Glizda nikomu nie wierzy.

- Wszystko zrobiłem bardzo zrećnie.

- I co on ci jeszcze opowiedział? - Dziewczyna nie patrzyła na rurarza.

- Sama go zapytaj.

Gera usiadła w drugim fotelu. Kroni nadal stał.

- Opowiedz mi o Lemeniu. O tym, komu zabrałeś znaczek. I wtedy Kroni sobie przypomniał.

- Pani jest Gera Spel? - zapytał.

- Dopiero teraz się domyślił. Ciemniak! - uśmiechnął się policjant.

Gera zaczęła kasłać, wyjęła z szerokiego rękawa chusteczkę i przyłożyła ją do warg.

- To znaczy, że on wspominał o mojej siostrze? - zapytał Spel.

- Wspominał.

- Jeśli mówił, to znaczy jeszcze żyje - powiedział Spel. - Słyszysz, siostrze?

- Nie, on potem umarł - sprostował Kroni. - Umierał, a ja przyniosłem mu wody. Opowiedział mi o pani, a potem umarł.

- Kiedy to było?

- Wczoraj. Oczywiście wczoraj.

- Gdzie?

Gera wstała z fotela i podeszła bliźniutko do rurarza. Pachniała czymś bardzo przyjemnym. Pewnie mydłem. Oczywiście miała niebieskie, a na chusteczce, którą wciąż jeszcze trzymała przy ustach, wystąpiły czerwone plamy.

- Głęboko, na samym dole.

- W porzuconych sektorach?

- Obok Ognistej Otchłani. Przy mieście Przodków.

- Byłeś tam? - zdziwił się Spel. - Kłamiesz.

- A Glizda mi uwierzył.

- On żył jeszcze wczoraj? - zapytała Gera takim tonem, jakby nie mogła w to uwierzyć.

- Umierał - powiedział rurarz. - Napoiłem go wodą.

- Co ci powiedział?

- Pokazał mi dalszą drogę.

- Dokąd?
- Dalej, gdzie są zjawy. Zjawy pomogły mi odnaleźć bibliotekę.
- Mówił o mnie?
- Mówił.
- Dlaczego umarł? - zapytał Spel. - Zabiłeś go?
- Nikogo nie zabijałem.
- Kłamię - zwrócił się Spel do siostry. - Dopiero co zabił strażnika.
- Nieprawda! - oburzył się Kroni. - Strażnika zabił Spel. Udusił go, a ja nikogo nie zabiłem.
- Ten śmierdziel zarzuca kłamstwo szlachetnie urodzonemu oficerowi policji - powiedział Spel, gapiąc się w sufit.
- Będę chyba musiał odprowadzić go do izby tortur.
- Poczekaj, bracie - powiedziała Gera. - A dlaczego on umarł?
- Był bardzo wychudzony i chory. Nie byliście nigdy na dolnych poziomach i nie wiecie, że tam nie da się przeżyć nawet jednego dnia.
- A wiesz, kiedy on stąd odszedł? - zapytała Gera.
- Nie.
- Więcej niż trzy dziesiątki dni temu.
- Dlaczego mu nie pomogliście?
- Dyrektorzy uznali, że powinien umrzeć, bo pogwałcił prawo - powiedział Spel, wykrzywiając boleśnie swe małe usteczka.
- Był inżynierem - dodała Gera. - Nie należał do brudnych, nikt by mu nie zrobił krzywdy, gdyby nie Glizda. Glizda bał się Lemenia i dlatego zastraszył całą Radę. Ty tego zresztą nie potrafisz zrozumieć.
- Nie potrafię, wasza łaskawość? - zdziwił się Kroni. - Przecież mnie tu wszyscy uważają za głównego spiskowca.
- Nie chwal się, rurarzu! - rzucił pogardliwie Spel. - Jesteś tylko brudnym bydlęciem i bydlęciem zostaniesz.
- Kroni postanowił się z nim nie spierać. On też chciałby mieszkać w takim jasnym pokoju, tak dobrze się ubierać i tak przyjemnie pachnieć. To było prawdziwe życie i trudno się było gniewać tych ludzi za to, że rurarz wydaje się im niemal gorszy od zwierzęcia.
- Tak, jesteśmy bydlakami - powiedział - ale to dlatego, że trzymają nas w zamknięciu. Jesteśmy brudni, śmierdzący i zawszeni. Nie warto tracić czasu na rozmowę z nami. Nie czytaliśmy żadnych książek, nawet ich nie widzieliśmy i gdyby nas wpuścić twojego pięknego pokoju, pani, zdarlibyśmy ze ścian cały ten materiał i pocięlibyśmy go na sukienki dla swoich żon, które bijemy i które traktujemy gorzej niż zwierzęta. Ale zawinili tu wasi ojcowie i dziadkowie. To oni odebrali nam Miasto na Górze, gdzie jest jasno, gdzie płyną wielkie rzeki i gdzie można się codziennie myć. Tam nie różnilibyśmy się zupełnie od was.
- Głupstwa gadasz - powiedziała piękna Gera Spel. - Mieliliśmy różnych przodków. Wasi przodkowie byli jak robactwo rojące w mokrej glinie. Nie możemy być jednakowi.
- Chwileczkę! - zawołał nagle Spel, wyskakując ze swego fotela. - Jak, powiadasz, nazywa się ten twój inżynier, który wbił wam do łba te wszystkie myśli?
- Inżynier... Po co ci potrzebna ta informacja, policjancie? Nie złapałeś go i nigdy nie złapiesz.
- Razi - podpowiedziała Gera. - Oczywiście, to musi być ten dziwak Razi. Pamiętasz go? Bywał tu z Lemeniem.
- Znasz Razięgo, rurarzu?
- Kroni nie odpowiedział.
- Już wiem, komu on dał swój pistolet! - wykrzyknął Spel. - Glizda wiele by dał za tę wiadomość.
- Zapomnij o swoim Gliździe - ofuknęła go Gera. - Zachowujesz się jak wahadło zegara. Zawsze byłeś taki. Biegałeś do ojca wypraszałeś słodycze za to, że donosiłeś na mnie i naszą zmarłą matkę, a potem wracałeś do nas i mówiłeś, że ojciec o wszystkim wie.
- Nie przypominaj mi grzechów dzieciństwa, siostrzyczko uśmiechnął się Spel. - Chcesz, żebym opowiedział rurarzowi o twoich? On i tak za dużo wie. Kiedy wszyscy rurarze staną się tacy jak on, będziemy musieli zabrać się do czyszczenia wychodków. A dla twoich rączek taka praca jest szkodliwa.
- Kiedy Glizda mnie przesładował, kiedy ojciec zupełnie o mnie zapomniał, czy pomogłeś mi choć raz? Uratowałeś mnie? Nic podobnego, wolałeś troszczyć się o swoją bezcenną skórę.
- A kto wyciągnął Lemenia i pomógł mu uciec?
- Pomogłeś, bo Lemeń też coś wiedział na twój temat.
- I tego też uratowałem. I też tu przyprowadziłem. - Usteczka Spela znów boleśnie się wykrzywiły.
- Wasza łaskawość - wtrącił się do ich kłótni Kroni. - Jeśli stanie się tak, jak my chcemy, to nigdy już nie będzie brudnych i ułomnych ludzi.
- Ach, daj spokój! - machnęła ręką Gera. - Zawsze ktoś tam zostanie na górze. Wy jesteście zgnili od zewnątrz, a my od środka. Na tym polega cała różnica.
- Spel milczał z zaciętym wyrazem twarzy. Był wściekły i nie mógł oderwać wzroku od czerwonych plam na chusteczce siostry.
- Tak, jesteśmy zgnili - powtórzył Kroni z uporem. - Ale jak tylko znajdziemy drogę na górę, natychmiast wszystko się zmieni. Jestem tego pewien.
- Jaką znów drogę na górę?
- Gera znów się rozkaślała i mężczyźni czekali, aż się uspokoi. Nie wiedzieli, jak pomóc i kiedy Spel wreszcie zrobił krok w jej stronę, dziewczyna wyciągnęła przed siebie rękę, aby się zbliżyć.
- Chcemy dojść tam, gdzie zawsze jest jasno. Gdzie strop wisi wysoko i gdzie rosną drzewa - powiedział w końcu Kroni.
- Gdzie on się nasłuchiwał takich głupstw? - zapytała Gera cicho i zaczęła nerwowo szarpać chusteczkę.
- Ma obrazek - powiedział Spel. - To jakiś fantastyczny malunek. Kiedy szukał broni...
- Szukałem biblioteki - przerwał mu Kroni. - Szukałem biblioteki, żeby znaleźć tam książki o Mieście na Górze. Wierzę w Miasto na Górze. Słuchałem też uczzonego człowieka, bardzo starego człowieka, który przez całe życie uczył ludzi o tym mieście. Do tej pory trzymali go w ciemnicy...

- Zwariowany Ral-Roddi - powiedział Spel do siostry, która skinęła potakująco głową, jakby niczego innego nie spodziewała się usłyszeć. - Dawno już umarł.

- Nie, on żyje.

- Jeszcze jeden punkt dla Glizdy - powiedział Spel. - Jeśli przyjdę do niego z takimi informacjami, to z pewnością mi wybaczy. I Lemenia, i ukradziony znaczek identyfikacyjny. Powiem mu, że troszczyłem się o honor własnej siostry.

- Glizda nigdy nikomu nie wybacza. Przecież doskonale o tym wiesz - powiedziała Gera. - A jeśli chodzi o mój honor, to dawno go utraciłam. Mów dalej, rurarzu.

Kroniemu zrobiło się smutno. Zrozumiał nagle, że Gera nie wie, jak on się nazywa, że jest dla niej tylko bezimiennym rurarzem i że takim dla niej na zawsze zostanie. Że jego imię wcale jej nie interesuje.

- Co tu mówić? - odezwał się wreszcie. - Jest obraz, który został u Glizdy. Jest miasto. I jeśli nawet mnie zabiją, i inżyniera Raziego zabiją tak samo jak twojego Lemenia, pani, to i tak znajdą się inni ludzie... Najważniejsze, to uciec stąd, dopóki wszyscy nie wymrzną. Ty, pani, też bardzo źle czujesz się pod ziemią.

- Co powiedziałeś? - Gera drgnęła tak gwałtownie, jakby Kroni dotknął jej brudną ręką.

- Jestem rurarzem, pani. Czuję wilgoć w powietrzu i wiem, ile wody jest w każdym pokoju, choćby mi ktoś zawiązał przedtem oczy. Gdyby zerwać tę piękną tkaninę i zdjąć dywan z podłogi, zobaczylibyśmy tam plamy wilgoci i naloty pleśni. Pani kaszle tak samo, jak kaszłą kobiety na dole. Jest pani zrobiona z takiego samego ciała, co i one. Choć jest pani bardzo piękna, piękniejsza od wszystkich kobiet w mieście, to umrze pani, jeśli nie wydobędzie się na górę.

- No i bardzo dobrze! - powiedziała Gera i uśmiechnęła się, patrząc prosto w oczy rurarza, jakby go zobaczyła po raz pierwszy. - Jak się nazywasz, rurarzu? - zapytała.

- Kroni. Mój ojciec też był rurarzem.

- Złapaliśmy go na ulicy - powiedział Spel. - Miał przy sobie wiele niebezpiecznych przedmiotów. Nawet magazynek z nabojami do pistoletu.

- Glizda mógł go specjalnie wkręcić na Biesiadę. Tym bardziej jeśli śledził Raziego i wiedział o jego przyjaźni z Lemeniem. A przez Lemenia chciał się dostać do nas.

- Nie sądzę - powiedział Spel, poklepując się po biodrze, na którym miał kaburę. - Agent Glizdy w naszym domu długo się nie uchowa.

Kroni milczał. Słowa dziewczyny bardzo go dotknęły. Co innego, gdyby to Spel oskarżył go o zdradę, bo mężczyzna przecież powinien być podejrzliwy. Łatwoierni nie mają czego na tym świecie szukać. Ale dziewczyna nie powinna go tak traktować.

- Nie słuchaj jej, Kroni - roześmiał się nagle Spel. - My tutaj wszyscy mamy już trochę nie po kolei w głowie. Ona nie wie, jaki byłeś brudny, kiedy wepchnąłem cię pod prysznic. Żaden agent nie mógł się tak uświnić. Rurarze gromadzą ten brud całymi latami.

I chociaż nie było niczego pochlebnego w tych słowach policjanta, Kroni nie mógł powstrzymać się od uśmiechu i powiedział:

- Teraz już jestem prawie czysty i mogę zostać agentem.

- Teraz Glizda już cię nie weźmie. Za dużo wiesz. Jeśli im pokażesz, gdzie jest broń, zabiją cię obok tej broni. A jeśli nie pokażesz, broń znajdą bez ciebie, a ciebie uduszą tutaj.

- Kroni - powiedziała Gera cicho, bez wrogości w głosie, jakby przepraszająco. - Niedawno dowiedziałeś się wielu takich rzeczy, których istnienia przedtem nawet nie podejrzewałeś, o których twoi sąsiedzi i inni rurarze nie wiedzą. I nie dowiedzą się nigdy, bo nie wolno udostępniać wiedzy wszystkim. Wiedza wzbudza niepokój, niepokój z kolei rodzi wrogość i poczucie niezaspokojenia. Tak twierdzą ludzie uczeni. Wiele się dowiedziałeś, ale twoja głowa nie była na to przygotowana. Wyobraziłeś sobie, że jesteś wszechwiedzący. Inżynier Razi, który powinien być o wiele rozsądniejszy, nie pohamował cię, lecz na odwrót, jeszcze bardziej rozpalił twoją ciekawość i niepokój, co jest z jego strony wielkim przestępstwem wobec Obyczaju. Zrozum, że istnieje wiedza dla wszystkich, wiedza dla inżynierów i wiedza dla czystych. Jest także wiedza wyższego rzędu - wiedza dla Dyrektorów. Na tym stopniowaniu wiedzy opiera się cały Obyczaj.

- Oskarżyłaś mnie, pani, o to, że powtarzani cudze słowa, że mówię słowami inżyniera Raziego. Ty zaś powtarzasz słowa swojego nauczyciela.

- Naturalnie - zgodziła się dziewczyna. - Wszyscy powtarzamy słowa swoich nauczycieli, ale moi nauczyciele wiedzieli więcej niż Razi.

- Dlaczego? - zapytał Kroni. - Razi mówił, że jest Miasto na Górze. I Miasto na Górze jest. Starzec mówił, że szlachetni zapędzili ludzi pod ziemię, żeby łatwiej nimi rządzić. I to jest też pewnie prawda. Inżynier ma swoją prawdę, a twój nauczyciel, Pani, ma swoją. Inżynier i ja...

Kroni zauważył, że rodzeństwo popatrzyło na siebie porozumiewawczo.

- Inżynier i ja - powtórzył wcale tym nie spieszony - nie wierzymy, że ten Obyczaj jest słuszny i dobry. Nauczyciel pani chciał, aby Obyczaj był zawsze, ponieważ został on stworzony dla was. Spel poczekał, aż Kroni się wygada i powiedział:

- My tu sobie rozmawiamy, a rurarza wszędzie już szukają. Musimy zastanowić się, jak by tu go się pozbyć.

- Nie - powiedziała Gera. - Przecież nie opowiedział jeszcze wszystkiego o Lemeniu.

- A wy nie opowiedzieliście mi o Mieście na Górze! - powiedział Kroni. - Wiecie przecież o jego istnieniu. Wszyscy czyści o nim wiedzą, ale ukrywają tę wiedzę przed resztą ludzi.

- On jeszcze stawia warunki! - warknął Spel.

- Opowiedz o Lemeniu. Wszystko, co o nim wiesz - poprosiła Gera. - Dla mnie to jest bardzo ważne. Myślałam, że dawno już umarł. Obiecuję ci za to opowiedzieć o Mieście na Górze.

Kroni postarał się przypomnieć sobie dokładnie całą rozmowę z Lemeniem, przywołać każde jego słowo. To nie było łatwe, bo nie przypuszczał, że kiedykolwiek będzie musiał komuś powtarzać słowa umierającego.

- I to wszystko? - zapytała Gera z rozczarowaniem w głosie. - Nie prosił, żebyś mi coś przekazał?

- Powiedział tylko: "Jeśli zobaczysz Gerę Spel" i umarł.

- Możesz jednak przysięgnąć na Otchłań, że dałeś mu wody?

- Przysięgam na Ognistą Otchłań i na Boga Reda. Dałem mu wody i chciałem ulżyć. Chciałem go nakarmić, ale on już nie przyjmował pożywienia. On też mi pomógł.

W pokoju zrobiło się cicho. Spel zerknął na zegarek.

- Posłuchaj teraz o Mieście - powiedziała Gera.

- Może damy sobie z tym spokój, siostrze? - zapytał Spel.

- Obiecałam! - wykrzyknęła Gera. - Kiedy skończę, możecie zająć się swoimi męskimi sprawami. To, co ci powiem, jest wielką tajemnicą. Mogą ją znać tylko Dyrektorzy, naczelni Kapłani i dzieci Dyrektorów. Nawet inżynierowie o tym nie wiedzą.

Spel wyciągnął nogi w błyszczących, calusieńkich trzewikach i zaczął gapić się w sufit.

- Kroni, to Miasto było - powiedziała Gera. - Ale było bardzo dawno temu. Było też jeszcze jedno Miasto na Górze, w którym też mieszkali ludzie.

O drugim Mieście rurarz jeszcze nie słyszał. Górny Świat wyobrażał sobie jako ogromną, jasną pieczarę, w której środku wznosiło się jedyne Miasto.

- Te miasta były ze sobą skłócone. Mieszkało w nich mnóstwo ludzi, ale ludzie z naszego Miasta byli spokojni, mieli pod dostatkiem jedzenia i wody, i przestrzegali Obyczaju. A mieszkańcy drugiego Miasta Obyczaju nie znali i mieli za mało jedzenia... Dlatego napadli na nasze Miasto. To była długa, straszliwa wojna. Od dymu i trucizn powietrze w Mieście zupełnie się popsuło. Wtedy Dyrektorzy zrozumieli, że na Górze już żyć nie można, postanowili więc uratować ludzi. Przeszli na dolne poziomy i ludzi uratowali. A mieszkańcy drugiego Miasta umarli.

- Miasta nie ma? - zapytał zgnębiony Kroni.

- Miasta nie ma. To wcale nie jest kłamstwo. Opowiem ci jeszcze więcej.

Spel kiwał nogą i gapił się na czubek buta. Nudził się, słuchał tego wszystkiego jak uprzykrzonej lekcji.

- Ale przecież minęło tyle lat! - Kroni rozpaczliwie nie chciał tracić nadziei. - Może tam powietrze już się poprawiło?

- Byli śmiałkowie, którzy wspinali się na powierzchnię. To też wiadomo. Z początku nawet sami Dyrektorzy wysłali gońców, żeby sprawdzili, jak tam jest. Gońcy jednak wracali i mówili, że nie można tam żyć i niedługo potem umierali zwaleni chorobą, która nie ma nazwy. Podobno ostatni człowiek wyszedł na Górę wiele lat temu. I też wrócił, żeby umrzeć. A później droga na Górę została zapomniana. Teraz rozumiesz, dlaczego nasz Obyczaj jest taki, a nie inny? Gdyby go nie było, gdyby Dyrektorzy nie troszczyli się o ludzi, nie karmili ich, nie dawali im pracy, wody i ciepła, wszyscy dawno by już wymarli. Nasz świat nie wszystkim wydaje się dobry, ale jest lepszy niż świat na Górze. Każdy przecież ma pokój, pracę i pod dostatkiem kaszy.

- I po Mieście nie zostało nawet śladu? - powtórzył Kroni z rozpaczą w głosie.

- Miasta nie ma - odparła dziewczyna, chociaż właściwie rurarz nie oczekiwał od niej odpowiedzi na swoje pytanie. - A im mniej ludzi wie o tym, że kiedyś było, tym lepiej. Dopóki nie wiedziałeś o Mieście, byłeś spokojny i zadowolony. Kiedy się o nim dowiedziałeś, poczułeś się nieszczęśliwy i w dodatku skazałeś się na śmierć.

- Lemeń usiłował się wydostać na powierzchnię - powiedział Spel. - Właśnie dlatego Glizda się nim zainteresował. Lemeń rozmawiał z ludźmi i wszystkim rozповідаł, że trzeba szukać Miasta. Był inżynierem i to inżynierem potrzebnym do podtrzymania Obyczaju, więc nie można go było od razu usunąć. Sam Dyrektor Kalgar wytłumaczył mu wszystko, powiedział całą prawdę. Ale Lemeń szukał drogi na Górę i mówił o tym innym inżynierom.

- Pan Lemeń był na Górze?

- Głupi jesteś, rurarzu. Miasta nie ma i drogi do niego też nie ma! - powiedział Spel. - Lemeń szukał drogi i zrozumiał, że nie można wydostać się na powierzchnię. Miał chyba szczęście, bo ci, którzy wychodzili, umierali potem w straszliwych męczarniach. Mięso odchodziło im od kości i wypadały wszystkie włosy. Ta choroba nie atakuje od razu. Człowiek jest jeszcze niby zupełnie zdrowy i normalnie chodzi. Może tak chodzić przez cały dzień, a potem nagle zaczyna rozpadać się na kawałki. To prawda.

- Wiedział, gdzie tej drogi szukać? - zapytał Kroni. Odpowiedzi nie było.

- Dlaczego nie chcecie mi odpowiedzieć?

- Bo to nie na twój rozum - mruknął Spel. Było cicho. Gdzieś w murze zabulgotała woda. Kroni na słuch określił średnicę rury i panujące w niej ciśnienie.

- No to co robimy? - zapytał Spel siostrę.

- Powinieneś lepiej wiedzieć - odparła Gera. - Jesteś policjantem.

- Wyprowadzę go stąd i zastrzelę. Powiem, że ukrywał się w zaułku, a ja go znalazłem.

- A czy nie można go nie zabijać? - zapytała dziewczyna.

Kroni słuchał ich i odnosił wrażenie, że rozmowa wcale go nie dotyczy. Zresztą rodzeństwo rozmawiało tak, jakby go nie było w pokoju.

- A co ja z nim zrobię?

- Przecież Lemeń przeżył tyle dni w podziemiu, prawda?

- Jesteś jednak głupia, jak każda kobieta! - zirytował się Spel. - Lemeń nikogo nie mógł wydać. To był inżynier, prawie czysty.

Dopiero teraz Kroni zorientował się, z czego zrobiony jest włochaty dywan na podłodze pokoju Gery. To były sznurze skórki.

- A jeśli twój rurarz wpadnie, to od razu powie o wszystkim Glizdzie. Siebie nie uratuje, a nas zgubi. Glizda już od dawna usiłuje dobrać się do naszej rodziny. Nie tyle do mnie czy do ciebie, ale do naszego ojca. Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo ten rurarz może mu się przydać?

- Niczego się ode mnie nie dowiedzą - powiedział Kroni.

- Mówisz tak, bo nie masz o niczym pojęcia. Glizda wycisnie cię wszystko, co tylko będzie chciał, a ty umrzesz w męczarniach. Lepiej zginąć na miejscu od mojej kuli niż w izbie tortur.

- Niby dlaczego Glizda ma mnie złapać?

- A gdzie się ukryjesz? Będzie szukał cię tak długo, aż znajdzie chociażby twoje zwłoki. Czy ty myślisz, że Glizda pozwoli, żeby broń dostała się w ręce spiskowców, że będzie spał spokojnie, dopóki nie schwyta twojego inżyniera Raziego i innych podżegaczy? Jesteś jego kluczem do tak wielkiej tajemnicy, że tylko po żeby cię złapać, może zorganizować obławę w pustych tunelach, nawet przy Domach Przodków.

- Ale nie należy mnie zabijać, bo inaczej podejrzenie padnie na ciebie, panie. Jak mogłem przedostać się na ten poziom? Tylko dzięki twojej pomocy.

- Wrócimy pod norę Glizdy.

- A co będzie, jak po drodze nas złapią? Przecież sam mówisz, Glizda chce się z tobą policzyć. Będzie miał powód.

- A co ty proponujesz? - zapytał Spel rzeczowym tonem.

- Zachowujecie się tak, jakbyście omawiali wyprawę po grzyby jaskiniowe - powiedziała Gera. - Mężczyźni na zawsze pozostają dziećmi, a w naszej rodzinie znacznie dłużej niż w innych.

- Wiem, co można zrobić - powiedział Kroni. - Skoro i tak mam zginąć, to pokaż mi, jak wyjść na Górę.

- Nie - zaproponował Spel. - Lemeń nie dał rady, a ty jesteś niego znacznie głupszy.

- Może jestem głupszy - zgodził się Kroni - ale o wiele silniejszy. Jestem w dodatku rurarzem. Potrafię prześlizgnąć się tam, gdzie nie przedostanie się nikt z was. Całe życie spędziłem w tunelach. W ciągu jednego dnia znalazłem bibliotekę i broń. Zobaczyłem Otchłań i wróciłem. Kiedy wyjdę na Górę, to obiecuję już tu nie wracać. Nie potrzebuję wracać, bo wolę umrzeć tam. Myślę, że znacie drogę na Górę, z której chciał skorzystać Lemeń.

- Znamy ją - powiedziała Gera - i pokazaliśmy ją Lemeniowi. Ale tej drogi już nie ma.

- Dajcie mi nóż - powiedział Kroni. - Zabiję się nim, kiedy mnie znajdą.

Spel spojrział pytająco na Gerę.

- Niech idzie - powiedziała dziewczyna. - Lemeń też chciał się wydostać. Wypuść rurarza w imię pamięci Lemenia... i dlatego, że cię o to proszę.

- Rzykujemy - mruknął Spel.

- Wcale nie więcej, niż gdybyśmy go zabili.

ROZDZIAŁ 3

NAMIOTY NA WZGÓRZU

- Słyszałeś - zapytała Natasza - jak w nocy coś się tłukło na dworze?

W namiocie było ciepło, sucho i pachniało ozonem. Podstawka z przymocowaną do niej brązową figurką woliutko wirowała i figurka zdawała się poruszać rękami, robić dziwne miny w zmieniającym się świetle lamp.

- Dość - powiedział Takasi i nacisnął guzik, powstrzymując w ten sposób powolny ruch podstawki. Szczęknięta kamera i zdjęcia z cichym, urywanym szelestem zaczęły wysypywać się z automatu, padając na równiutki stosik wykonanych przedtem odbitek.

- Bardzo dobrze - mruknął Takasi, biorąc leżącą na wierzchu odbitkę i podając ją Nataszy. - Nie uważasz, że jest ładniejsza niż w rzeczywistości?

Natasza porównała zdjęcie z oryginałem, ale jakoś nie potrafiła znaleźć różnicy.

- To nie było coś - powiedział Takasi, przystępując do dalszych skomplikowanych manipulacji lampami, które oświetlały stolik zdjęciowy - tylko tygrys. Nie wiem, jak mu się udało przedostać przez ogrodzenie.

- Zwariowałaś - oburzyła się Natasza - albo chcesz mnie nabrać.

- Widziałem ślady - powiedział Takasi. - Kruminsz też je widział.

- Nie pójde do wykopu - oświadczyła Natasza. - Ładni mi mężczyźni, którzy nie umieją poradzić sobie z parszywym tygrysem.

- Jeśli ten tygrys jest parszywy, to nie musisz się go bać - powiedział Takasi.

Natasza przyglądała się z wielką przyjemnością precyzyjnym, szybkim, pozornie niedbałym ruchom Japończyka.

- Kiedy on mnie zje - zauważyła - to i tak będzie mi wszystko jedno. Kiroczka Tkaczenko widziała zjawę.

- A niby dlaczego miałyby jej nie widzieć? - zdziwił się Takasi. - W takim miejscu powinno roić się od duchów.

- Zjawa jest błękitna - ciągnęła Natasza - i dość szybko chodzi.

- A nie gryzie? - zapytał Takasi poważnym tonem.

- Nie zdążyła Kiroczki ugryźć, bo Kiroczka poleciała wołać na pomoc Kruminsza.

- Myślę - powiedział Takasi, zdejmując ze stolika brązową figurkę i mocując na jej miejscu szklane naczynie na pięciu krótkich nóżkach - że w nocy zjawy tego miasta nabierają odwagi. Kiedyś nagromadziło się tutaj tak wiele cierpień i śmierci, że każde paskudztwo może pławić się w polu cierpienia, jak w ciepłym basenie. Jeśli, rzecz jasna, takie pole w ogóle istnieje.

- Czy ty mówisz to poważnie? Bo nigdy nie potrafię się zorientować, czy mówisz serio, czy żartujesz...

- Zawsze rozmawiam serio z szacowną doktorantką samego profesora Lewandowskiego.

- Czuję, że stracę do ciebie serce, Taks - powiedziała Natasza.

- Lepiej teraz niż później, kiedy już spędzimy ze sobą w zgodzie dziesięć lat i będziemy mieli dziesięcioro dzieci.

- Dla ciebie nie ma nic świętego! - oburzyła się Natasza. - Idę do wykopu. Znienawidziłabym cię, ale nie jesteś godzien mojej nienawiści.

- Życzę powodzenia - powiedział Takasi i ponownie uruchomił podstawkę.

Po zakończeniu pracy zerknął na błonę osłaniającą drzwi. Błona była matowa, ale jej barwa świadczyła o tym, że od gór znów nadleciał jesienny wiatr, przyniósł ze sobą sine, groźne chmury, które przepływają nad miastem strasząc ulewą, lecz wylewają wodę niżej, nad doliną. Takasi narzucił kurtkę, rozerwał błonę i wyszedł z namiotu. Błona natychmiast ponownie zasunęła otwór, zabezpieczając wewnątrz namiotu i sprzęt laboratoryjny przed kurzem.

Pozostałe namioty stały rzędem na pożółklej trawie wzgórze i przypominały jabłka wystające do połowy z wody.

Wiatr z gór nadlatywał w porywach, niosąc ze sobą tumany kurzu. Takasi opuścił okulary i pomyślał, że wszystko na świecie kryje w sobie równocześnie dobro i zło. Archeolodzy przez całe lato marzyli o deszczu, a teraz, kiedy deszcze miały się lada dzień rozpadać, chcieliby, żeby jesień jeszcze nie nadchodziła. Wykop przekształcił się w rude trzęsawisko i będzie po sezonie. Tropiciele przeniosą się na Wyspy Południowe, a reszta będzie musiała segregować i pakować znaleziska, a potem przewozić je na statek. Robota prozaiczna i nudna. A poza tym Natasza wróci do domu.

Od namiotów odchodziły rozjeżdżone gaśnienicami drogi. Jedna z nich niebawem nikła w zaroślach, znów pojawiała się jasną smuzką na nagiej ziemi i ostatecznie ginęła wśród zrudziałych wzgórz, z których niczym igły morskich jeżów sterczały zardzewiałe kratownice i belki - pozostałości domów.

Takasi postanowił przejść się do wykopu piechotą. Wczoraj przez cały dzień nie wychodził z laboratorium, a kilometrowy spacerek dobrze zrobi każdemu.

- Wybierasz się do wykopu, Taks - zapytał Stanczo Kirow, który siedział na piasku przed łazikiem, obłożony częściami zamiennymi i narzędziami, i tak oplatany różnobarwnymi kabelkami, jakby wpadł w pajęczynę. Kirow przywiózł tutaj nowe modele łazików i właśnie je wypróbował. Maszyny były bardzo nowoczesne i pomysłowe, ale często się psuły, za co Stanczo wymyślał im i karcił jak niesforne dzieci, ciągle rozbierał na części i wpadał w rozpacz z powodu ich złośliwości.

- Tak - odparł Takasi.

- Poczekaj pół godzinki, to cię podrzucę.

- Dziękuję. Wolę się trochę przejść.

Kirow ogromnie się zdziwił, gdyż był przekonany, że maszyny buduje się specjalnie po to, aby nikt nie musiał chodzić pieszo. Chodzenie, powtarzał ciągle, cofa człowieka do czasów pierwotnych. Nie po to człowiek został królem stworzenia, żeby nadwierać sobie nogi.

- Ja bym na twoim miejscu zaczekał - powiedział Kirów. - I pomógł mi dobrać się do tej zawlecзки. Takasi nie miał pojęcia, o jaką zawleczkę mu chodzi, ale był święcie przekonany, że Kirow wcześniej czy później sam się do niej doberze i że to zwycięstwo nad oporną materią sprawi mu niewysłowioną rozkosz. Nie zamierzał więc go tej rozkoszy pozbawiać. Stanczo tymczasem zapomniał o istnieniu Takasiego i wgrzył się w silnik łazika.

Ze wzgórza Takasi zbiegł, wysoko podrzucając kolana, żeby rozruszać wszystkie mięśnie nóg. Na dole zerknął na pasmo generatorów pola ochronnego, które niskimi piramidkami sterczały z gruntu. Generator w tym sektorze, przez który przedostał się tygrys, nie różnił się niczym od pozostałych. Ślady zwierzęcia już zasypał piasek niesiony wiatrem. Kiedy Takasi przecinał linię pola ochronnego, poczuł na rękach i twarzy lekkie muśnięcie, zwiewne jak dotknięcie jedwabiu. Gdzieś w obozie, na pulpicie sterowniczym pola, mignęło zielone światelko, rejestrując wyjście człowieka ze strefy chronionej.

Krzewy, których gęstwina zaczynała się o jakieś sto metrów za wzgórzem, były szorstkie i kolczaste. W dodatku gnieździły się w nich złe osy. Zarośla kryły pod sobą dzielnice mieszkalne, do których archeolodzy jeszcze nieprędko się dobiorą. Czasami wiatr wydmuchiwał z krzaków różne drobne przedmioty - monety, pociski, skorupy naczyń - więc codziennie któryś z doktorantów musiał przespacerować się drogą na pustkowiu, żeby pozbierać te drobiazgi do pudełka. Potem pudełko trafiało na półkę w magazynie, gdzie takich pudełek zebrało się już kilkadziesiąt. Ich kolej też przyjdzie znacznie później. Dopiero na Ziemi.

Pośrodku pustego wygonu znajdował się ogromny lej. W czasie deszczów gromadziła się w nim woda, zamieniając go w okrągłe jezioro. Pod koniec pory suchej woda zupełnie wyparowała, ale kurz nie zasypywał leja, gdyż był otoczony wysokim wałem ziemi, na którym rosły gęste, proste dzidy trzciny. Na dnie leja aż do samej jesieni utrzymywała się warstwa błota, w której zagrzebywały się ryby i ślimaki. Takasi przedarł się przez trzciny, żeby sprawdzić, czy twarda skorupa na bagnie wystarczająco już podeschła, ponieważ zamierzał wybrać się jutro z Nataszą na polowanie.

Polować na ryby zamierzali za pomocą łopat i to miała być zemsta za to, że ryby nie chciały brać przez całe lato, kiedy wody w leju było pod dostatkiem. Ale jeśli skorupa okaże się jeszcze za słaba, to z polowania przyjdzie zrezygnować, bo bagno na środku miało ze trzy metry głębokości.

Takasi przystanął na wale. Skorupa była pokryta siatką promienistych pęknięć. Ktoś go uprzedził i już sprawdził wytrzymałość skorupy. Ślady biegly od brzegu i urywały się przy ciemnej plamie rzadkiego blocka. Było tam niezbyt głęboko, ale śmiałek z pewnością musiał zapaść się w trzęsawisku po pas. Dobrze mu tak, pomyślał Takasi, bo pomysł polowania na śnięte ryby należał do niego i rozgłosił go wszem i wobec przy kolacji. Okazuje się, że wśród członków wyprawy znalazł się podstępny rywal, który postanowił wyprzedzić Takasiego i Nataszę, ale drogo za to zapłacił. Nic dziwnego, że nikomu się do tego nie przyznał.

Droga doprowadziła do centrum miasta. Takasi szedł wolno i przyglądał się ruinom, jakby widział je po raz pierwszy w życiu. W żaden sposób nie potrafił się z nimi oswoić. W poskręcanych kratownicach i bryłach betonu, porośniętych trawą i wygładzonych przez dwieście lat grubą warstwą kurzu, krył się pierwotny koszmar nieubłaganej, powszechnej śmierci. W ciągu dwustu lat zawały się sterczące z gruzów ostre niegdyś ściany domów z pustymi oczodołami okien, zrównały się z ziemią leje, wygasła zabójcza promieniotwórczość i planeta pozornie zaleczyła najgłębsze rany. Wyżyły niektóre ryby w oceanach, poukrywały się, przystosowały lub zmieniły jakieś tam owady i zwierzęta. Świat planety był o wiele uboższy niż być powinien, ale jednak istniał. Wypełniały się stopniowo nisze ekologiczne, z wolna wytwarzała się nowa homeostaza. Ewolucja, rozbita w proch przez wojnę atomową, ale popędzana przez promieniotwórczość, zebrała ocalałe strzępy życia i mimo wszystko rozwijała się dalej. Na planecie nie było tylko naczelnych. Można przypuścić, że jeśli wszystko zostanie po staremu, rozum w końcu znów się tu odrodzi. Nie wiadomo jednak, kto będzie jego nosicielem. Z pewnością nie człowiek, gdyż nie sposób stworzyć go powtórnie, chyba że ewolucja zaczęłaby się od początku.

Ludzie wytłukli się tu nawzajem w długotrwałej wojnie na wyniszczenie. W wojnie, która się rozrastała i rozpełzała, pochłaniając coraz to nowe regiony i kontynenty, aż w swym ostatnim stadium dopadła i tych, którzy w niej nie brali udziału, bo nie można było oddychać zatrutym powietrzem, pić zatrutej wody i zbierać zatrutych owoców z drzew.

Gdzieś tam, w jaskiniach i na odległych wyspach, ukrywali się jeszcze ludzie. Ich życie mierzone było na miesiące, a może nawet na lata. Ale samotnicy i odosobnione grupki zostały skazane na zagładę, bo ludzie ci byli bezpłodni i bezsilni wobec wrogiemu, zatrutemu światu.

Człowiek w trakcie swej ewolucji dowiódł, że jest najsprytniejszym, najwytrzymalszym i najgroźniejszym ze zwierząt, ale jako gatunek nie zdołał przetrwać sprowadzonej przez siebie katastrofy, bo był zwierzęciem społecznym. Kiedy społeczeństwo się rozpadło, musiał wyginąć.

Takasi włókł się krok za krokiem przez bezmiar ruin i wzgórz, które kryły pamięć wieków poprzedzających upadek. Czuł się jak bardzo stara i bardzo mądra istota, która potrafiła zrozumieć przyczyny, ale nie mogła zapobiec skutkom ani odwrócić biegu historii.

Archeolodzy są z reguły optymistami. Grzebią się w pradawnych grobowcach i badają ślady pogorzeli. Są świadkami końca człowieka, miasta, plemienia. Ale zawsze lub prawie zawsze umieją odnaleźć nitkę wybiegającą z nicości w przyszłość i wyczuwają okrutną logikę historii. A tutaj nie było żadnej kontynuacji.

Z przeciwną sunął łazik. Jeden z doświadczalnych modeli Kirowa. Łazik kuśtykał na pięciu nogach, a szóstą podkulił pod brzuch. Kiroczka Tkaczenko, popędzając maszynę, ucieszyła się bardzo na widok Takasiego, który był idealnym rozmówcą, a właśnie rozmówcy, nawet niekoniecznie idealnego, najbardziej jej w tym momencie brakowało.

- Jak sądzisz, Taks - zapytała ze swej ruchomej ambony - czy technicy wysyłają te swoje doświadczalne modele wozów drabiniastych geofizykom lub astronomom? Nie, bo geofizycy głowy by im pourywali, a potem zrzucili te łaziki do najbliższej przepaści. A my musimy się tym złomem posługiwać.

- Ci technicy mają rację, Kiroczko - odparł Takasi. - Oni wiedzą przecież, że archeolodzy to ludzie subtelni i delikatni, że cierpliwość jest jedną z ich podstawowych cnót. Technicy bardzo dbają o swoje maszyny doświadczalne i tylko dlatego je nam przysyłają.

- Wszystko wiesz i na wszystko masz zawsze gotową odpowiedź - powiedziała zniechęconym tonem Kiroczka. - Aż czasami nie chce się człowiekowi z tobą rozmawiać. Nie mam najmniejszej ochoty być subtelnym i cierpliwym archeologiem! Dlatego wracam na swój statek, na swoje stare stanowisko trzeciego mechanika. Tam wszystko jest jasne i proste.

- Chyba to jest dobre rozwiązanie - zgodził się Takasi i ruszył dalej swoją drogą.

Coraz bardziej niepokoił go amator ryb, który wlaźł nocą w trzęsawisko i nikomu o tym nie powiedział. Postanowił więc w drodze powrotnej rzucić okiem na jego ślady. Przecież, kiedy ten kłusownik gramolił się z błota, musiał dźwigać na sobie całe tony dowodów rzeczowych i rozpryski, placki, grudki gliny powinny wyraźnie oznaczyć jego drogę aż do samego namiotu.

Ukazał się wykop. To mogło być stanowisko archeologiczne na każdej planecie, nawet na Ziemi, gdyby nie jego tło - martwy las przerdzewiałego żelastwa i betonu. Na Ziemi archeolodzy, na szczęście, nie rozkopują wieku atomowego. Archeolodzy kopią neolit, kopią brąz, żelazo, ale gdzieś w okolicach piętnastego wieku ich działalność się kończy.

Takasi minął osłonę zabezpieczającą wykop przed inwazją drobnych żyłatek oraz kurzem, i usiadł na pustym pojemniku obok transportera. Na chwilę wyjrzało słońce. Takasi widział, jak plama jasnego światła przesuwająca się po falach jeziora, rozciągającego się między miastem a łańcuchem wzgórz i jak, niczym teatralny reflektor, oświetla po kolei coraz bliższe żelazne szkielety miasta. Potem słońce zalało swoim blaskiem labirynt wykopu i ludzie po kolei podnosili głowy, usiłując odgadnąć, czy na długo się rozpogodziło. Dostrzegali jednak tylko malutkie błękitne okienko w ciemnych zwałach chmur i wracali do swojej roboty.

Takasi odnalazł Nataszę. Jej wykop był głębszy od sąsiednich, bo dziewczyna szukała początków miasta, ale interesująca ją warstwa kulturowa była mocno przemieszana nie tylko przez znacznie późniejszą sieć miejskiej infrastruktury, lecz także przez tunel metra, w którym szukali schronienia i zginęli nieliczni mieszkańcy miasta. Natasza w białej chustce na głowie stała obok automatu wybierającego ziemię. Nie ufała mu i w każdej chwili gotowa była odpędzić go na bok. W rękę trzymała pędzel. Takasi zapragnął zejść na dół i dzielić jej radość w momencie, kiedy dziewczyna znajdzie prawdziwy skarb. Bo przecież praca egzoarcheologa dlatego jest tak trudna i pasjonująca zarazem, że nigdy nie wiadomo, co znajdzie się za pięć minut. Na Ziemi znaleziska zawsze można do pewnego stopnia przewidzieć, bo zawsze istnieje określone prawdopodobieństwo ich występowania. A co tu jest prawdopodobne? Co można przewidzieć przy badaniach śladów obcej cywilizacji?

Takasi zjechał do wykopu, wznosząc przy tym tumany kurzu i narażając się na gniewny monolog Petersona, który dosłownie na sekundę przed tym oczyścił z przyschniętej ziemi brązowe zwierciadło i przeglądał się w nim, podziwiając własny szczęśliwy uśmiech. Później niezbyt zreźnicie przeskoczył przez minikoparkę, wygryzając pracowicie słup fundamentowy, obiecał Kruminszowi, który próbował zgadnąć, co kryje się za stalowym włazem, podskoczyć w wolnej chwili do tropicieli po szperacz i wreszcie dotarł do Nataszy.

Nic się tam przez ten czas nie zmieniło. Natasza nadal stała, zaciskając w piąstce pędzel, a automat wykopywał brudę wokół przerdzewiałego naczynia.

- Już się dzisiaj widzieliśmy - powiedziała Natasza nie patrząc w jego stronę.

- Przyszedłem sfotografować twój skarb - wyjaśnił Takasi.

- Jeszcze go nie ma - powiedziała Natasza.

- Poczekam - uspokoił ją Takasi.

- Po co? Nie masz nic innego do roboty?

- Człowiek zawsze ma coś do roboty - zapewnił Takasi.

- No to po co przyszedłeś przeszkadzać w pracy innym?

- Nie przyszedłem przeszkadzać, tylko zachwycić się tobą.

- Próżniak! - wykrzyknęła Natasza i leciutko się zaczerwieniła. - Dlaczego się ze mnie nabijasz?

- Nataszko - powiedział dobitnie Takasi. - Nigdy się z ciebie nie nabijam i nigdy się z ciebie nie śmieję! Nawet wówczas, kiedy mnie rozśmieszasz. A ty, podobnie jak wiele innych młodych dziewcząt, wolisz niedomówienia od prawdy. Miło ci jest słyszeć, że taki przystojny, silny i utalentowany mężczyzna jak ja, przyszedł tylko po to, aby się tobą pozachwycić. Aż zaróżowiłaś się z zadowolenia. Aż palce zaróżowiły ci się z zadowolenia. Dlaczego więc udajesz, że jesteś na mnie oburzona?

Wówczas Natasza obróciła się ku niemu i uniosła pędzel jak miecz.

- Posłuchaj, Takasi-san! - powiedziała. - Dopóki nie poznałam ciebie, byłam święcie przekonana, że Japończycy są ludźmi delikatnymi, że jest to naród o tak pradawnej i wyrafinowanej kulturze, że dobre wychowanie weszło im w krew. Ale bardzo mnie pod tym względem rozczarowałeś.

- To niezmiernie smutne, Nataszo - zmartwił się Takasi. - Naprawdę nie chciałem cię rozczarowywać. Zresztą pomyliłaś brak wychowania ze szczerością. Kiedy przychodzę, żeby się zachwycić tobą, nie potrafię tego ukryć. I nie będę ukrywał, bo zjawia się natychmiast ktoś inny i zakręci ci w głowie półsłówkami, tak miłymi niewinnemu dziewczęcemu sercu.

- Każdy! - wykrzyknęła z irytacją Natasza. - Byleby nie ten smarkacz ze spotworniałymi mięśniami, który źłopie mleko skondensowane jak cielak i zamiast zająć się samokształceniem, w wolnych chwilach dźwiga kamienie. Mężczyzna nie powinien tak dbać o własną urodę.

- Jedni zbierają znaczki - powiedział Takasi - a inni okazy motyli. Inni jeszcze budują perpetuum mobile. Ja natomiast jestem ciekaw, co mogę zrobić z siebie samego.

- I tak nie staniesz się silniejszy od konia - parsknęła Natasza. - A ja cię wkrótce znienawidzę.

- Znowu niedomówienie - powiedział ze smutkiem w głosie Takasi. - Zamiast powiedzieć prawdę...

- Jaką prawdę? - zapytała szybko Natasza.

- Że wkrótce mnie pokochasz. Nie masz innego wyjścia. Jestem przystojny, mądry i utalentowany. Mam bardzo miłych starszusków, którzy mieszkają na Hokkaido i czekają, kiedy ich syn przywiezie do domu piękną i posłuszną żonę...

- Odejdź!

W tym momencie rozległ się ostry trzask, a odłamki zardzewiałego naczynia wypadły ze swego odwiecznego siedliska i rozsypały się po dnie wykopu. Pozostawiony bez nadzoru, automat zachował się zbyt energicznie.

- Wszystko przez ciebie! - krzyknęła Natasza. - Oczywiście ty jesteś temu winien! Takie wspaniałe naczynie! I po co cię tu przyniosło?!

- Przepraszam - powiedział Takasi, podciągnął się na rękach wyskoczył z wykopu. - Przynieść ci klej? - zapytał już z góry.

- Niczego od ciebie nie potrzebuję!

Takasi poszedł wąskimi groblami, oddzielającymi od siebie poszczególne wykopy. Wcale nie był tak pewny siebie, jak to się wydawało Nataszy. Mało tego, był teraz na siebie wściekły i zgadzał się z dziewczyną, że bardziej próżnego i bezczelnego faceta nie ma w całej ich ekipie.

Zawisła nad nim małutka awionetka. Kiroczka Tkaczenko wyjrzała z niej i awionetka groźnie się przechyliła.

- Taks - powiedziała Kiroczka. - Stanczo dał mi tę maszynkę, a Kruminsz powiedział, żebym ją oddała tobie, bo obiecałeś mi skoczyć do tropicieli po szperacz. Mnie szperacza te skapiradła nie dadzą.

Awionetka opadła na groblę i Kiroczka wyciągnęła rękę, żeby Takasi pomógł jej wsiąść.

- Kiroczka, czym ty farbujesz włosy? - zapytał Takasi. - Skąd bierzesz tyle złota? Bardzo ci te twoje loki ciążyą na głowie?

- Taks, jesteś bardzo kochany - powiedziała Kiroczka, przyglądając odruchowo swoje rzeczywiście wspaniałe rude włosy - ale zadajesz mi to pytanie co dwie godziny. Jeszcze ci się nie znudziło?

- Nie - odparł Takasi, gramoląc się do kabiny awionetki. - Pytanie jest bardzo dla ciebie miłe i dlatego je zadaję.

- Taks, jesteś w złym humorze - zauważyła Kiroczka. - Pewnie pokłóciłeś się z Nataszą albo ona ci nawymyślała. Nie martw się, do wieczora na pewno się pogodzicie.

- Dziękuję - powiedział Takasi i poderwał awionetkę.

Wiatr wzmógł się i zbijał maszynę z kursu. Wykop, wyglądający z góry jak laboratoryjny labirynt z zabłąkanymi w nim myszkami, odpłynął do tyłu. Awionetka leciała teraz nad wielkim jeziorem i kierowała się w stronę brzegu, na którym tropiciele zamierzali badać schron przeciwlotniczy. Ich namiot był doskonale widoczny, ale Takasi nie poleciał wprost do niego, tylko wylądował na wysepce, żeby sprawdzić, czy przypadkiem żółwie nie zabierają się już do składania jaj. Wysepka była pokryta gruboziarnistym białym piaskiem i archeolodzy latem korzystali z tej pięknej plaży. Żółwich śladów jeszcze nie było. Potem Takasi zatoczył koło nad kadłubem zatopionego statku. Już dawno miał zamiar, jeśli tylko czas na to pozwoli, zejść na statek i odnaleźć tam dziennik pokładowy z ostatnim wpisem kapitana. Wreszcie przemknął lotem koszącym nad stadem ryb, obserwując, jak ławica wchodzi do ujścia rzeki.

Ogromny rudobrody mężczyzna, Günther Jantz, stał na brzegu i patrzył, jak awionetka zniża się nad namiotem.

- Taks - powiedział. - Jesteś strasznie ciekawski.

- Nie jestem ciekawski, tylko żądny wiedzy - odparł Takasi.

- Kruminsz przysłał cię do nas po szperacz, ponieważ sądzi, że nikt prócz ciebie nie zdoła go od nas wycygnąć. Ty się jednak zupełnie nie spieszysz. Lecisz najpierw na wyspę, żeby nazbierać żółwich jaj, potem długo krążysz nad zatopioną barką, wyobrażasz sobie, jak jej kapitan wydawał gromkie rozkazy, i wreszcie, kiedy już nie masz nic innego do roboty, udajesz się nad ujście rzeki.

- A ty, Güntherze, jesteś zbyt przenikliwy i logiczny, jak na mój gust - powiedział Takasi. - Ale nawet ty nie domyśliłeś się, że obserwowałem ławicę ryb. Jeśli ryby wyruszyły na tarło, to urządzimy na nie wielkie polowanie.

- Urządzimy - zgodził się Günther - jeśli tylko ekolog pozwoli.

- Ekologiem jestem tu ja - odezwał się stojący przy wejściu do namiotu Maks Biely - i na żadne masowe morderstwo się nie zgodzę. Tutaj trzeba urządzić wylęgarnie, a nie polowania. To dotyczy również żółwi, Taks.

- Jeśli zachowamy umiar - nie zgodził się z nimi Takasi - to możemy odegrać rolę doboru naturalnego, ponieważ Maks stęsknił się za świeżymi rybami.

- Przyleciałeś po szperacz? - zapytał Maks. - Jest nam bardzo potrzebny.

- Właśnie dlatego Kruminsz mnie przysłał - zauważył skromnie Takasi.

- Nie - powiedział Maks. - Nic z tego nie wyjdzie.

- Dobra. - Takasi westchnął jak człowiek, który musi wbrew swej woli zastosować środki ostateczne. - Czuję się jak Dżyngis-chan, kiedy stwierdził, że bramy twierdzy są zamknięte. Mogę zachować się okrutnie i bezwzględnie.

- No to zaczynaj, Dżyngis-chanie - powiedział Günther i wyciągnął rękę, żeby jednym palcem rozgnieść Takasiego.

Japończyk musiał uciec się do dżu-dżitsu i po chwili masywny tropiciel leżał na żwirze. Potem Takasi obrócił się do Maksa i wygłosił krótki monolog:

- Nie zapominajcie o tym, że ja lepiej niż wszyscy tropiciele razem wzięci mogę wyregulować szperacz. Fakt, że przez trzy dni nie potrafiliście znaleźć wejścia do schronu, świadczy o waszej bezsilności w zetknięciu z najnowocześniejszym sprzętem! Jeśli więc będziecie nadal upierać się przy swoich błędach i nie skorzystacie z mojej wspaniałomyślnej pomocy, gorzko tego pożałujecie. Kto w zeszłym tygodniu śleczął przez całą noc, zapominając o zmęczeniu i walcząc ze snem, bo tropiciele potrzebowali pilnie, na rano, jakichś zdjęć? Kto konserwował, dusząc się od odoru chemikałów, rozsypujące się w pył papiery?...

- Wystarczy - powiedział Maks. - Nienawidzimy szantażystów, ale ponieważ nie możemy sobie z nimi poradzić, bo szantażyści są sprytni i bezlitośni, ustępujemy im z bólem serca. Chodź do jaskini. Będziesz regulował ten przeklęty aparat.

- Tropiciele nie lubią przyznawać się do słabości, będącej udziałem zwyczajnych ludzi - zakonkludował Takasi i wszedł do namiotu.

Kiedy Takasi wrócił do Kruminsza i oddał mu szperacz, zbliżała się już pora obiadu. Japończyk chciał jeszcze coś zrobić w laboratorium, więc wziął awionetkę, żeby szybciej dotrzeć do obozu.

W drodze powrotnej zatrzymał się przy leju. Po pięciu minutach znalazł ślady człowieka ciągnące się od grzęzawiska. Błoto wyschło, ale było ciemniejsze od ziemi i dlatego ślady były doskonale widoczne. Takasi wszedł na wał

otaczający lej, przedał się przez trzcinę, wymazaną gliną i połamaną tam, gdzie przeszedł nocą tajemniczy kłusownik, i wydostał się na pustkowie.

Tam mocno się zdziwił. Siady prowadziły nie do obozu, tylko skręcały w kierunku miasta.

- Idiotyzm! - wykrzyknął Takasi i ruszył dalej po śladach.

Siady były małe, o wiele mniejsze od jego własnych odcisków stóp i należały chyba do którejs z dziewcząt. Nie szły równo, ale kluczyły i miejscami urywały się, jakby człowiek był pijany albo śmiertelnie zmęczony.

Trop ominął niewielkie wzgórze, z którego sterczały rdzawe zębiska, i skręcił za pęknięty na pół betonowy blok.

Takasi poczuł niepokój. Coś tu było nie w porządku. Od tego momentu posuwał się wolno i ostrożnie, bezszelestnie stawiając stopy i po każdym kroku nad słuchując. Człowiek kąpiący się nocą w błocie zachowywał się najwyraźniej nienormalnie.

Wkrótce Takasi stracił trop. Widocznie przez ten czas, kiedy człowiek błądził bez celu po gruzach, błoto zupełnie wyschło... Jednak po paru krokach zobaczył odcisk stopy w warstwie kurzu.

W ruinach miasta gwizdał wiatr, chmury przemykały niziutko nad głową i były takie ciemne, że z pewnością w dolinie za obozem szalała okropna ulewa.

I nagle Takasi zobaczył niewyraźną rudą plamę.

Zamarł. Plama była nieruchoma. Policzył do dziesięciu. Nie miał przy sobie żadnej broni, a to mógł okazać się śpiący tygrys. Plama przypominała kolorem właśnie tygrysa.

Takasi zdjął z ramienia kamerę filmową i zacisnął ją w pięści - zawsze to jakaś broń.

Miał rację. Na niewielkim placu, otoczonym stosami pogruhotanych cegieł leżał tygrys, zdechły tygrys - niesympatyczne zwierzę dużo większe od wilka z długimi, harpunowatymi kłami i rudą sierścią pokrytą nierównymi smugami trochę ciemniejszej barwy. Maks uważał, że tygrysy były mutantami jakichś zdziczałych Zwierząt domowych. Anatomicznie nie miały nic wspólnego z tygrysami.

Tygrys leżał w kałuży czarnej, zapiekłej krwi i w chmurze brzęczących nad nim much.

Takasi rozejrzył się.

Tygrys nie był sam. Pod resztką kamiennej ściany leżał zwinięty w kłębek małe, wynędzniały człowieczek o przeraźliwie bladej, podrapanej i brudnej twarzy, uwiecznionej grzywą sztywnych, szpakowatych włosów. Człowieczek miał na sobie podartą kurtkę i brunatne, zachlapane zaschlą gliną spodnie. Na nogach ledwie trzymały się strzępy trzewików, przypominające raczej bryły gliny. Między człowieczkiem a tygrysem leżał na ziemi wymazany zaschniętą krwią kindżał.

Takasi podszedł, pochylił się i odsunął z twarzy nieznajomego splątane włosy. Człowiek oddychał, ale był nieprzytomny.

Takasi nieźle się namordował, zanim dociągnął człowieka do drogi. Poszłoby mu to o wiele łatwiej, gdyby uratowany nie odzyskał przytomności. Takasi przegapił ten moment, ponieważ niósł człowieka, przerzuciwszy go przez ramię. Człowiek ocknął się, wyobraził sobie pewnie, że go niosą do jaskini, żeby tam zeżreć z bebechami, i dlatego niewiele myśląc, wgrzył się w szyję Japończyka.

Zaskoczony tym Takasi zrzucił człowieka z ramion na kamienie. Nieznajomy jęknął, ale natychmiast poderwał się na równe nogi i zaczął uciekać. Takasi nie od razu pobiegł za nim. Przeciągnął ręką po szyi i zobaczył, że dłoń ma całą we krwi.

- Hej! - zawołał do człowieka. - Zaczekaj!

Człowiek musiał go usłyszeć. Biegł wolno, potykając się, a raz nawet upadł i z trudem się podniósł. Wreszcie zobaczył jakąś szczelinę w betonowej płycie i spróbował się w nią wcisnąć, ale szczelina była za wąska. Takasi zatrzymał się. Człowiek usiłował właśnie wdrapać się na wzgórze, czepiając się rzadkiej trawy i wystającego z ziemi żelastwa, ale zwały śmiecia obsunęły się, człowiek na brzuchu zjechał na dół i znieruchomiał.

Takasi podszedł do niego. Człowiek leżał u podnóża zbocza. Był na pół zasypany ziemią i gruzem i znowu stracił przytomność. Tym razem, pamiętając o jego konfliktowym charakterze, Takasi chwycił go pod pachy i zaczął ciągnąć drogą, potykając się o porozrucane wszędzie cegły.

Zaczął padać deszcz. Padał niezdecydowanie, rzadkimi, ciężkimi kroplami, które tonęły w kurzu lub klaskały o beton. Plecy Takasiego przemokły od jego własnej krwi. W takim właśnie stanie odnalazł go Stanczo Kirow, który postanowił przegonić po gruzach naprawionego właśnie łazika.

Stanczo z początku pomyślał, że Takasi ciągnie kogoś ze swoich i bardzo się zdziwił, bo wszyscy zjechali się już do obozu na obiad. Ale potem, zbliżywszy się do niego, zrozumiał, że to zupełnie obcy człowiek. Ponieważ nie potrafił wzorem Takasiego odkładać na przyszłość rozwiązywania zagadek, zaczął zadawać pytania, zamiast zeskokczyć z łazika i pomóc.

- Kto to jest? - zapytał. - Ktoś z innej wyprawy badawczej? Takasi położył ostrożnie człowieka na ziemi i powiedział:

- Z pewnością tubylec. Musimy zapewnić mu pomoc lekarską. A potem skocz w tamte gruzy i zabierz martwego tygrysa. Kiroczka, jeśli mnie pamięć nie myli, błagała cię o tygrysią skórę.

- Zabijeś go? - zdziwił się Stanczo.

Takasi pokazał ręką, żeby Stanczo chwycił człowieka za nogi, a potem razem położyli nieznajomego na siedzeniu łazika.

- Nie, to nie ja - powiedział Takasi. - Upolował go ten mocz.

- Niemożliwe! - powiedział Stanczo. - Ja tam bym na tygrysa z gołymi rękami nie poszedł.

- Miał nóż.

Stanczo uruchomił silnik i łazik popłynął nad porośniętymi zielskim gruzami.

- Z nożem też bym nie poszedł - powiedział Stanczo.

- On nie miał innego wyjścia - wyjaśnił Takasi. Pomilczał chwilę, patrząc na człowieka rozciągniętego na tylnym siedzeniu i dodał: - Mnie też usiłował załatwić tak samo, jak tego tygrysa.

Umożliwił Stanczowi obejrzenie swojej szyi.

- Wariat! - wykrzyknął Stanczo, dodając gazu. - Nie mam pojęcia, na czym ci się głowa jeszcze trzyma.

- Głowa trzyma się na mięśniach. Wyhodowałem je umyślnie na tę okazję. Wszyscy jeszcze jedli obiad i nikt nie wyszedł na spotkanie łazika.

- Bez paniki - powiedział Takasi, widząc, że Stanczo chce poderwać na nogi cały obóz. - Lepiej zajrzyj do środka i wywołaj Anitę.

Położyli człowieka na łóżku w namiocie Sołomki, w szpitaliku, który na szczęście jeszcze nikomu dotąd się nie przydał. Kirow popędził do stołówki, a Takasi zdjął kurtkę i koszulę. Koszula na plecach była sztywna od krwi. Szyja szczypała.

- Mam nadzieję, że nie jest pan jadowity? - zapytał Takasi nieznajomego.

Nieznajomy oddychał słabo, ale miarowo.

Do namiotu wpadła Anita Sołomko. Była to postawna kobieta o dużej, nieco jakby zamazanej twarzy, za którą, jak za grecką maską, szalały wielkie namiętności. Doktor Sołomko przez całe życie pragnęła zostać archeologiem, ale doszła do wniosku, że przyniesie więcej pożytku ludziom, gdy zostanie lekarzem. Od tej pory była rozdarta między miłością a obowiązkiem. Była rozdarta również na wyprawie, ponieważ roboty lekarskiej starczyło jej tu zaledwie na dwa tygodnie, a w dodatku były to prace czysto laboratoryjne. Przez cały sezon niczego groźniejszego od zadrapań nie miała okazji leczyć, mogła więc całkowicie poświęcić się archeologii. Ale świadomość, że jako lekarka nie przynosi nikomu pożytku, zatruwała jej poza tym zupełnie szczęśliwe i bezchmurne istnienie. Im bezchmurniejsze było życie, tym nieszczęśliwsza stawała się Anita. Ale gdyby ktoś oderwał ją teraz od wykopalisk i zmusił do zajmowania się profilaktyką świnki na Marsie, Anita byłaby jeszcze nieszczęśliwsza, bo z dala od archeologii doktor Sołomko żyć nie mogła. Błędne koło.

Stanczo wytłumaczył jej wszystko po drodze, ale ona, rzecz jasna, niczego nie zrozumiała, bo Stanczo sam niczego nie rozumiał.

- Gdzie jest pacjent? - zapytała od progu i ponieważ najpierw rzucił się jej w oczy zakrwawiony, obnażony do pasa Takasi, trzymający w ręku purpurową koszulę, rzuciła się na niego:

- Zawsze ci mówiłam, Taks, że nadmiar ćwiczeń fizycznych musi się źle skończyć!

Twarz Anity promieniała wewnętrznym światłem. Jej długi medyczny przestój nareszcie się skończył.

Rany boskie! - zdążył pomyśleć Takasi. Przecież ona będzie mnie teraz kurowała co najmniej dwa tygodnie!

- Mam tylko małą ranę - powiedział na głos. - Powierzchnowe zadrapanie...

- Oni zabili tygrysa - wtrącił się nie w porę Stanczo. - Według mnie gołymi rękami.

- Co?! - wykrzyknęła Anita i skoczyła do szafki z lekarstwami. I wówczas zauważyła człowieka na łóżku.

- No tak! - powiedziała potępiającym tonem i unieruchomiła wzrokiem Stancza, który już zamierzał jej coś pokazywać.

W tym momencie przybiegli Kruminsz i Natasza z Kiroczką. Stanczo nie zdołał wywołać lekarki tak, żeby nikt tego nie zauważył.

Kruminsz zobaczył człowieka na łóżku i oczy zamieniły mu się w szparki. Kruminsz potrafił myśleć szybko.

W tej właśnie chwili człowiek odzyskał przytomność.

Otworzył oczy i natychmiast je zmrugał.

- Przygaście światło - powiedziała Sołomko. Sama nie mogła tego zrobić, bo akurat napełniała strzykawkę i zamierzała przystąpić do torturowania Takasiego. Kruminsz zmniejszył światło.

Człowiek znów otworzył oczy i powiedział coś dość spokojnym głosem.

Obawiali się ataku hysterii, przerażenia, próby ucieczki... Przygotowali się na to, a człowiek mówił. Mówił wolno, znużonym głosem. Nagle zamilkł na widok Nataszy.

Kruminsz wzruszył ramionami.

- Niestety - powiedział, starając się utrafić w ten sam ton, który brzmiał w monologu człowieka. - Niestety nie znamy jeszcze twojego języka.

Człowiek patrzył na Nataszę.

Podróż, taka długa, niebezpieczna i żmudna, na szczęście zakończyła się cudem. Znalazł Górnych Ludzi.

Zobaczył Gerę Spel. Co prawda zmienioną, nie tak bezcielesną jak w podziemiu, o smągłej cerze i zaniepokojoną.

Gera Spel powiedziała coś w niezrozumiałym języku Górnych Ludzi. Patrzyła na czarnookiego olbrzyma z potężnymi barami i taką szeroką piersią, że nie dałoby się jej objąć. Gigant uśmiechał się do Gery z zażenowaniem i jakby z poczuciem winy.

Kroniemu zrobiło się smutno. To nie było tamto uczucie, które dopadło go niby cios kamienia, kiedy po wydostaniu się z podziemia po całym dniu wędrówki przekonał się, że Miasta na Górze już nie ma. Wierzył w miraż, w zjawę przeszłości umarłej bardzo już dawno temu. Wtedy to nie był smutek, tylko rozpacz, był koniec drogi, była ostateczna samotność, z której nie ma wyjścia. Potem zetknął się ze strachem. Strach napadł go nocą, kiedy wlokąc się ostatkiem sił szukał miejsca, w którym mógłby się ukryć i wyspać, kiedy wpadł w błoto i omal w nim nie utonął, kiedy rzucił się na niego straszliwy zwierz, a on tylko cudem dosięgnął upuszczonego noża... Nie pamiętał chwili zwycięstwa i nie pamiętał, jak udało mu się wyrwać z pazurów konającego zwierzęcia. Strach był i później, kiedy czarnooki, dziwnie ubrany mężczyzna zaczął go gdzieś ciągnąć - i wreszcie wtedy, kiedy udało mu się wyrwać, ale nie miał już sił uciekać.

Kiedy jednak ocknął się ponownie i zrozumiał, że żyje i leży na czymś miękkim, a otaczający go ludzie są czysti i mają zdrową skórę, są bardzo wysocy i uśmiechają się do niego, rurarza, gdyż mieszkają tam, gdzie jest wielkie światło i nie można sięgnąć stropu, jeśli się nawet zestawi razem wszystkie drabiny świata. Oczywiście, rozumował, miasto zostało zniszczone, więc Górni Ludzie zbudowali sobie inne miasto i żyją wśród drzew.

Tak, wszystko było dobrze. I wtedy weszła Gera Spel. Nie, to nie była prawdziwa Gera Spel, tylko inna, Kobieta z Góry. Przyszła tu z powodu mężczyzny, który przyniósł Kroniego i martwiła się jego raną...

Ponieważ nikt z obecnych nie znał Gery Spel i nie mógł pojąć myśli Kroniego, to wszyscy zgodnie uznali, że jest zmęczony i że powinien odpocząć. Anita Sołomko zostawiła tylko Stancza Kirowa, żeby pomógł jej rozebrać, umyć i porządnie ułożyć pacjenta, a pozostałych bezlitośnie wypędziła.

Ludzie potulnie wyszli, bo po pierwszym szoku nadszedł czas rozmyślań i dyskusji. Ponieważ na pustej planecie, gdzie już przed dwustu laty umarł ostatni człowiek, odnalazł się mężczyzna - wynędzniały i słaby, ale absolutnie realny. To

nie mieściło się w głowie i tego być po prostu nie mogło. Tym ciekawsze jednak było zbadanie, dlaczego się mimo wszystko zdarzyło.

Kroni już usnął, oblepiony plastrami i wypucowany nie do poznania, zasnął między dwoma prześcieradłami, takimi białymi, cienkimi i delikatnymi w dotyku, że każdy Dyrektor z pewnością oddałby połowę swoich bogactw za kawalek owej tkaniny. Śniły mu się dwie Gery Spel, których bronił przed tygrysem, i tak przy tym jęczał i rzucał się we śnie, że dyżurująca przy nim Anita Sołomko dała mu zastrzyk ze środka uspokajającego. Wówczas jego sen stał się głęboki i spokojny. Kroni już zasnął, a w jadalni - wspólnym namiocie, która pełniła również funkcję magazynu podręcznego - dyskutowali zawzięcie archeolodzy i przybyli pod wieczór tropiciele.

Było już ciemno, chmury opadły na szczyty wzgórz i wiatr ostatecznie ucichł, kiedy zgodzili się wreszcie, że na planecie muszą gdzieś ukrywać się resztki jej dawnych mieszkańców. Ludzi jest zapewne niewiele i wegetują gdzieś w jaskiniach lub w górach. Nie mają miast ani większych osiedli, bo te dałyby się zauważyć: na planecie od pół roku siedzą tropiciele i już czwarty miesiąc pracują archeolodzy. Hipoteza nie tłumaczyła trzewików i kurtki mężczyzny. Kurtka była utkana z azbestu na mechanicznym krośnie, a i trzewiki nie wyglądały na zrobione przez swego właściciela. Hipoteza nie tłumaczyła wielu rzeczy, ale lepszej hipotezy nie było.

A w nocy Günther Jantz musiał poddać się skomplikowanej i nieprzyjemnej operacji, którą przeprowadziła Anita Sołomko. Asystował jej Maks Biely.

Güntherowi zrobiono punkcję mózgowego ośrodka mowy i ośrodka pamięci. Anita nigdy przedtem nie wykonywała takiego zabiegu w warunkach polowych i po roku, kiedy sprawozdanie z niego opublikowały "Acta Medicinae Experimentalis", a jednocześnie "Problemy Egzoarcheologii" zamieściły artykuł archeologa A. Sołomko: "Próba ujęcia ewolucji form ceramiki wyblyszczanej z wczesnego okresu Górnego Miasta", nadszedł najszcześniejszy dzień w życiu Anity.

Odpowiednio spreparowany ekstrakt substancji mózgowej Günthera został jeszcze tej nocy zaaplikowany Kroniemu. Ale działanie preparatu powinno ujawnić się dopiero po dwóch dniach.

Na trzeci dzień Kroni obudził się z dziwną świadomością wiedzy. Wiedział coś w pierwszej chwili nieuchwytnego, ale realnego i bardzo ważnego. Pomyślał z początku, rozkoszując się dotknięciem mięciutkiej pościeli, że po prostu dobrze się wyspał, jest syty i co najważniejsze czysty. Szelest kropel na pomarańczowym dachu namiotu oznaczał, że pada deszcz, a nie że pękła przerdzewiała rura albo że puściła jakaś uszczelka. Może przyczyna tego dziwnego uczucia kryła się w uspokajającej trwałości wszystkich przedmiotów w Górnym Mieście, z wyjątkiem co prawda - tu Kroni się uśmiechnął - gospodarstwa Stancza Kirowa, który pewnie już od świtu naprawia grawilot. Pamięć od razu podsunęła mu obraz sympatycznego, opalonego na brąz, błękitnookiego Stancza, rozwiązującego z marsem na czole kolejny nierozwiązywalny problem techniczny. Stancza, którego życzliwość dla ludzi zdawała się nie mieć granic. Do szpitalika zajrzała Anita Sołomko i powiedziała:

- Dzień dobry, Kroni.

- Dzień dobry, Anito - odparł Kroni. - Czas już wstawać?

Anita miała z gruba ciosaną, gładką twarz, na której nigdy nie odbijały się żadne gwałtowniejsze uczucia. Dlatego Kroni nie dostrzegł triumfu, który ogarnął ją na dźwięk jego głosu.

- Może się pan jeszcze trochę powylegiwać - uspokoiła go Anita. - Ale śniadanie zje pan już w jadalni. Jak z żołądkiem, nie sprawia kłopotów?

- Nie - Kroni zaczerwienił się, bo kobieta nie powinna zadawać takich pytań mężczyźnie.

- Nie ma w tym nic dziwnego - powiedziała Anita. - Taka gwałtowna zmiana diety musi wywołać pewne zaburzenia. Niech pan nie zapomni przed wyjściem zażyć tabletkę. No to już sobie pójdę... Może się pan ubierać.

I doktor Sołomko wyszła przed namiot, gdzie chodził z głową pękającą od bólu Günther, który był z góry przekonany, że zabieg się nie udał i wszystkie jego męczarnie poszły na marne. Anita odczekała chwilę. Nie, wcale nie po to, żeby go podręczyć. Po prostu zanim się do Günthera odezwała, spróbowała stłumić w sobie obezwładniające uczucie serdecznej czułości do tego niedźwiedziowatego, niezbyt już młodego mężczyzny. Policzyła w myśli do dwudziestu i powiedziała:

- Günther.

Głos jej drgał i nie zabrzmiał tak zwyczajnie, po koleżeńsku, jak by tego pragnęła.

- Śpi? - zapytał Günther, starając się nie poruszyć głową, żeby nie wywołać nowego ataku bólu.

- Obudził się. Mówi, że żołądek już mu nie dokucza.

- Tak? - powiedział Günther. - W takim razie pójdę na śniadanie.

- Zażyj najpierw to. Środek na ból głowy.

Günther wyciągnął dłoń, wzruszony domyślnością Anity.

Kroni zeskoczył z łóżka i uniosł ręce, żeby głębiej odetchnąć. Bardzo mu się podobał zapach tutejszego powietrza. Na dworze i nawet w namiocie. Lekkie zapachy lekarstw, które się tu unosiły, podkreślały tylko jego świeżość.

Kroni odsunął zasłonkę nad umywalką i włączył chłodną wodę. Umył zęby i uczesał się. Trzeba skrócić włosy tak, jak nosi Takasi, pomyślał. Potem wrócił do pokoju i przed ubraniem się posłał łóżko. Tak, coś jeszcze powinien zrobić. Podeszedł do stolika i znalazł tam karteczkę: "Dla Kroniego. Po jednej tabletki trzy razy dziennie". Przełknął tabletkę, nie popijając wodą. I wtedy nogi zrobiły mu się miękkie, jak z waty. Opadł na łóżko, ściskając w ręku karteczkę. "Dla Kroniego. Po jednej tabletki trzy razy dziennie".

Zmrużył oczy i mocno uszczypnął się w nogę. Znowu przeczytał. "Dla Kroniego. Po jednej tabletki trzy razy dziennie".

Kroni nie umiał czytać. W żadnym języku. Ani w swoim, ani w Górnym. W swoim tylko odrobinę sylabizował, bo nie chodził do szkoły.

Zjawił się tu przedwczoraj i wszystkie próby porozumienia ograniczały się do prymitywnych gestów. Bił się w pierś i mówił: "Kroni". Takasi bił się w pierś i mówił: "Takasi". Obaj śmiali się i powtarzali te imiona, ponieważ imiona dawały nadzieję, że w przyszłości może coś się zmienić, że da się pokonać tę okropną barierę niezrozumienia.

- Gera? - pytał Kroni i pokazywał Nataszę.

- Natasza - odpowiadał Takasi.

Kruminsz szerokim gestem ręki zataczał łuk nad miastem i o coś pytał. Kroni pokazywał w stronę lasu i jaskiń. Potem Kroni zataczał rękami koło i Kruminsz pokazywał gestem strop, po którym krążyło, ukazujące się czasem zza sinawych płam, Jezioro Lekkiej Lawy oświetlające ziemię.

- Jaki tam strop! - pomyślał Kroni z lekkim uczuciem pobłażania dla siebie samego, tego wczorajszego. Strop bywa w jaskiniach. A nad namiotami rozciąga się niebo, nieskończone niebo, po którym płyną chmury i które rozciąga się aż po gwiazdny świat, tam, skąd przybyli archeolodzy, bo na planecie wszyscy już wymarli.

Informacje, które wchłonął Kroni wraz z substancją mózgową Günthera, nie od razu stawały się własnością tych części umysłu rurarza, które akurat brały udział w myśleniu. Nie tłumiły tego, co Kroni wiedział przedtem, lecz dodawały do jego wiedzy i doświadczenia nowe wartości. Mózg jednak był niejako przekonany, że nowa wiedza i nowy język są od początku jego własnością, co nie pozwoliło Kroniemu od razu uświadomić sobie własnej reinkarnacji. Rozmawiał z Anitą, nie czując, że mówi w obcym języku, przeczytał notatkę i posłusznie zażył tabletkę, nie zorientowawszy się z początku, że nie umie czytać. Rozmyślał nad charakterem i wyglądem Stancza, zapominając, że jeszcze niedawno nie potrafił go rozpoznać wśród innych członków wyprawy archeologicznej i że jego imię było dla niego pustym dźwiękiem.

"Dla Kroniego. Po jednej tabletkie trzy razy dziennie". Tak było napisane na kartce i kształt liter był właśnie taki, jaki powinien być. Kroni przypomniał sobie, jak wyglądają litery na dole. Tamte litery były dla niego prawie obce. Tylko z najwyższym trudem mógłby je odczytać, odcyfrować, chociaż za ich rysunkiem krył się znajomy od dzieciństwa, a nie wchłonięty cudownym sposobem język ludzi z Ziemi.

Trzeba iść na śniadanie, bo będą się o niego niepokoić. Kroni włożył kombinezon, uszyty już wczoraj przez Kirczkę i pieczolowicie schował kartkę do kieszeni. Żał mu było rozstawać się z dowodem własnej potęgi, łączności ze światem, wobec którego bezsilny jest nawet sam Glizda i wszyscy Dyrektorzy razem wzięci i, jak mu tam, kwartałowy Ratni, cuchnąca ropucha z pyskiem głodnego pająka.

Wszedł do jadalni i wszyscy, którzy się z nim witali, udawali starannie, że nie jest żadnym tam rurarzem, tylko spóźnionym archeologiem lub tropicielem. Najwidoczniej o wszystkim już wiedzieli.

- Dzień dobry - powiedział. - Gdzie mam usiąść?

- Na swoim miejscu - warknął Kruminsz, nie unosząc głowy znad talerza, gdyż bardzo mu się chciało śmiać, a śmiać się pierwszy nie chciał. Są przecież przy stole ludzie o wiele od niego bardziej niepoważni.

- Masz ochotę na makaron? - zapytał Peterson, który miał zdumiewającą umiejętność przechodzenia ze wszystkimi na "ty" już na drugi dzień znajomości.

- Owszem - powiedział Kroni.

- Jak się spało? - zapytał Takasi.

- Dziękuję, bardzo dobrze.

Peterson przesunął Kroniemu talerz makaronu, mleko i ser.

- Można pomyśleć, że jestem solenizantem - powiedział Kroni. - Wszyscy milczą i łowią każde moje słowo.

Przysunął sobie gwałtownym ruchem szklankę mleka. Szklanka przewróciła się, a mleko znalazło się w talerzu i na spodniach.

- Donnerwetter! - wyrwało mu się.

Wszyscy gruchnęli śmiechem.

Kiedy zrobiło się trochę ciszej, Anita powiedziała spokojnie:

- Günther trochę przesadził ze swoim słownictwem.

- Trzeba było lepiej filtrować! - skarcił ją Stanczo.

- Słusznie - zgodził się z nimi Takasi. - Słuchaj, Kroni, moim zdaniem raczej nie powinieneś wypowiadać na głos słów, które przychodzą ci do głowy w momencie stresu. Rodzice Günthera nie poświęcali zbyt wiele uwagi wychowaniu swojego potomka.

- Nie obrażaj moich rodziców - powiedział Günther niemal poważnie, - Zrobili wszystko, co mogli. Nawet posłali mnie do szkoły!

- Nataszo - powiedział Kroni - podaj mi, z łaski swojej, sól.

- Dlaczego pan tak na mnie patrzył? - zapytała Natasza, kiedy po śniadaniu wyszli z namiotu. - Można było pomyśleć, że pan mnie zna.

- Znam pewną dziewczynę, tam, u nas. Jest bardzo do pani podobna.

- Podoba się panu?

- Ona nie może mi się podobać. Przecież jestem śmierdzącym rurarzem.

- Kim?

- Rurarzem, który naprawia rury i kable w tunelach.

- Kroni - powiedział Kruminsz, wychylając głowę z namiotu. - Jeśli jest pan gotów porozmawiać z nami, to czekamy.

- Naturalnie.

- Ja też zostanę - oświadczyła Natasza.

- Nie będę nikogo popędzał - powiedział Kruminsz - ale nie zapominajcie, że zostało nam tylko parę dni pracy. Albo i mniej. Zaczną się deszcze i po robocie. Ja sam postaram się jeszcze skoczyć do wykopu.

Wszyscy wysłuchali go bez sprzeciwu, jak uparci uczniowie, którzy już dawno postanowili uciec z nudnej lekcji do kina. I zostali. Pojechała na wykop jedynie Anita, ceniąca każdą chwilę swego archeologicznego szczęścia, i Peterson, który dotarł do znakomicie zachowanego pokoju mieszkalnego i nie chciał odkładać do jutra zbadania go.

- Wrócimy do jadalni? - zapytał rurarz.

Konferencja prasowa wyglądała zwyczajnie i powszednio, zupełnie nie tak, jak powinno wyglądać spotkanie dwóch odległych cywilizacji. Jedyna trudność polegała na tym, że Kroni nie wiedział, jak zacząć. Dlatego powiedział:

- Jeśli pozwolicie, to opowiem wam o śmierdzącym rurarzu, o Biesiadzie i wędrowce do Ognistej Otchłani. O tym, czego dowiedziałem się od Spelów, jak poszedłem szukać Miasta na Górze i świetlistej jaskini z błękitnym stropem. A później wy wyjaśnicie mi to, czego jeszcze nie rozumiałem do końca.

Günther, Maks Biely i Kroni wrócili znad wejścia do podziemia o trzy godziny później, niż zamierzali. Zawinił grawilot, który znów się rozkraczył i dlatego trochę potrwało, zanim Stanczo przywiózł ich zwyczajnym łązikiem.

Za to szperacz sprawował się dobrze, bo przecież coś w końcu musiało przyzwocie działać, i udało im się zlokalizować górne, porzucone już poziomy podziemnego miasta.

W drodze powrotnej Günther utyskiwał:

- Powinniśmy już dawno go odnaleźć. Przecież to parę kroków od obozu. Piętnaście kilometrów. Mało tego, wystarczyło zbadać skład chemiczny wody w strumieniu, żeby domyślić się, że coś tu nie gra.

- To nie twoja wina - powiedział Maks. - Z równym powodzeniem mogliśmy badać wszystkie strumyki w okolicy. Ale niepokoi mnie co innego...

Zamilkł, jakby dając w ten sposób swym rozmówcom możliwość rozszyfrowania biegu swoich myśli. Günther nawet nie usiłował tego zrobić, bo od dawna podejrzewał Maksą o pewien rodzaj próżności, która ujawniała się w jego umyślnie beznamiętnym tonie w momentach kryzysowych, kiedy Günther miał ochotę warczeć z wściekłości. Ta pełna poczucia wyższości próżność zabrzmiiała także w tym zdaniu: "To nie twoja wina". Przecież oskarżał nie tylko siebie. I nie tyle siebie, co Maksą, który był jego zwierzchnikiem i decydował, które sektory należy zbadać. Już od dziesięciu lat Günther obrażał się na Maksą, chociaż nie mógł sobie wyobrazić, żeby kiedykolwiek potrafił pracować z kimś innym, żeby mógł rozstać się z tym snobem.

Nie doczekawszy się pomocy od Kroniego i Günthera, Maks zmuszony był kontynuować:

- To jest strefa wysokiej aktywności sejsmicznej. I wyrażenie "żyć na wulkanie" jest najlepszym określeniem sytuacji miasta...

Kroni rozumiał, że z każdą godziną zbliża się chwila, kiedy powie im "do widzenia" i wciśnie się w ciasną szczelinę pod skałą, gdzie zaczynało się zejście do miasta, o którym pragnął zapomnieć. Czas było wracać, a to oznaczało bliskie zetknięcie ze śmiercią, z którą i dawniej nie był w najlepszych stosunkach. Teraz wydawała mu się ona złowieszczym gadem, przybierającym w snach postać łagodnie przemawiającego Glizdy lub starej kobiety znad kwartałowego basenu, której oddał kawaleczek mydła. Zaczynało mu się wydawać, że już nie zdoła oddychać tamtym powietrzem, że będzie wymiotował od tamtych smrodów i zaczął odczuwać wrogość do Günthera siedzącego przy kierownicy łązika za to, że podzielił się z nim swoimi myślami. Kroniemu zrobiło się żal samego siebie. Mózg, nakarmiony nową wiedzą, protestował przeciwko temu, co go czekało i współczucie dla samego siebie przeradzało się zaczęło w poczucie osamotnienia i izolacji, przypominające stan, jakiego może doznawać człowiek wstępujący na szafot i nie chcący wyszukiwać w tłumie twarzy towarzyszy, którzy uniknęły aresztowania - dlatego, że im się udało, że zostają.

Miasto zostało z prawej, bo podjeżdżali do obozu tą samą drogą, którą cztery dni temu włókł się Kroni. Słońce rozpląszczyło się nad lasem i spurpurowiało.

- Jutro będzie wiatr - powiedział Günther.

- Tak - zgodził się Maks.

- Mam teraz z kim rozmawiać po niemiecku - powiedział Günther parkując łązika w długim szeregu maszyn stojących koło wielkiego namiotu, w którym mieścił się warsztat. - Mojego sentymentalizmu nie da się wyrazić w terralingwie. To jest język odpowiedni dla bezdusznego Maksa

Kroili odnalazł Kruminsza w laboratorium Takasiego.

- Wilis - powiedział. - Chciałbym z panem porozmawiać.

- Chce pan rozmawiać tutaj? - zapytał Kruminsz. Takasi sporządzał roztwór konserwujący i w swoim błyszczącym fartuchu i wielkich rękawicach przypominał rzeźnika.

- Tak. Nie mam żadnych tajemnic - odparł Kroni. - Muszę wrócić do miasta.

Kruminsz milczał. Kroniemu byłoby przyjemniej, gdyby powiedział coś w rodzaju: "Nie spiesz się z tym. Powinieneś odpocząć, nabrać sił". Ale Kruminsz nic takiego nie powiedział. Patrzył tylko na Kroniego z głową lekko przechyloną na bok, demonstrując w ten sposób, że słucha z najwyższą uwagą. Takasi zdjął rękawice, przewiesił je przez krawędź wanny i też milczał.

- Wróć do miasta i powiem ludziom, że na Górze można żyć. Że ich przeklęty świat nie zamyka się w kamiennych ścianach i mokrych tunelach. Wyprowadzę ludzi na Górę, choćby nie wiem jak drogo miało mnie to kosztować.

Kruminsz nadal nie odzywał się, jakby czekał na dalszy ciąg. Potem zapytał:

- I do kogoś to pan pójdzie. Kroni?

- Do ludzi. Powiem im...

- Ma pan chyba jakiś konkretniejszy plan - powiedział Kruminsz. - Mam nadzieję, że go pan ma.

- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem - odparł Kroni, czując się jak uczeń, który nie przygotował zadanej lekcji i stoi teraz przed tablicą pokrytą niezrozumiałymi wzorami, a nauczyciel obserwuje go z politowaniem. To było obce uczucie zaczerpnięte z cudzej pamięci, bo Kroni przecież nigdy nie chodził do szkoły.

- Trochę myślałem o tym, jak powinien pan działać dalej - odezwał się Kruminsz. - Naturalnie ma pan rację. Trzeba znaleźć jakąś możliwie bezbolesną metodę przywrócenia planety naszym współplemieńcom. Ale chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że napotka pan opozycję? Ludzie są święcie przekonani, że poza ich podziemnym światem niczego nie ma. Ta bezwładność ich myślenia uczyni z pana dla większości szaleńca i człowieka bardzo niebezpiecznego dla tych, którzy pragną utrzymać status quo. Mam tu na myśli dyrektorów, władców podziemnego miasta. Wydaje się im, że wyjście z podziemia jest równoznaczne z końcem ich władzy i dlatego zrobią wszystko, żeby pana zlikwidować, a nawet zatrzeć pamięć o pana istnieniu. Zakładam nawet, że po jakimś czasie zdecydują się sprawdzić, czy rzeczy istotnie tak się mają, jak pan powiedział. Wyślą na górę zwiadowców i można sobie z łatwością wyobrazić, że za jakieś dwadzieścia lub trzydzieści lat w podziemnym mieście wszystko pozostanie po staremu, za to na powierzchni pojawią się sekretne domy dla silnych, ogrody, w których będą wychowywali swoje dzieci, gdyż podziemny klimat źle wpływa na ich zdrowie. Cała reszta nie będzie o niczym wiedziała, a bunty zostaną stłumione. Powstanie w ogóle trudno jest zorganizować w świecie podzielonym na piętra.

- Ale przecież to nie może trwać wiecznie - powiedział Takasi. - Tak nie może być. Przyjdzie drugi Kroni... Trzeci...

- Problemem wieczności i konieczności nie będziemy się w tej chwili zajmować, bo mamy znacznie pilniejsze sprawy do załatwienia - zauważył Kruminsz. - W historii Ziemi były okresy, kiedy miliony ludzi znajdowały się w gorszych nawet warunkach niż mieszkańcy tego podziemia.

- Nie, to niemożliwe! - powiedział Kroni, ale pamięć Günthera podpowiedziała mu, że Kruminsz ma rację.

- Sądzę - kontynuował Kruminsz - że po tym, jak pierwszy z dyrektorów wyjdzie na powierzchnię, krąg wtajemniczonych będzie się nieustannie poszerzał. Nie wolno zakładać, że jedynie mała grupka ludzi będzie się wygrzewała na słońku. Ktoś będzie ich musiał obsługiwać, budować domy i uprawiać ogrody. Dowiedzą się o tym policjanci, potem zaufani inżynierowie i wasz świat zacznie się powolutku zmieniać. Dyrektorzy będą robić wszystko, aby nie dopuścić na górę tych, którzy mieszkają na dolnych poziomach, w słusznej obawie, że utracą nad nimi władzę. Lękam się, że minie wiele lat i popłynie wiele krwi, zanim podziemny świat zostanie ostatecznie porzucony.

Kroni słuchał go i pod suche słowa Kruminsza podkładał widok tuneli, którymi pełzną i giną ludzie. Widział umierającego Lemenia i szczury wychodzące na ulice.

- Ja i tak pójdę - powiedział. - Wprawdzie chciałbym tu jeszcze pobyc, ale pójdę... - Spróbował się uśmiechnąć, ale nic z tego nie wyszło.

- Pójdę z tobą - powiedział Takasi. - Powiedział to tak zwyczajnie, że Kroni mu uwierzył.

- Poczekaj! - powiedział Kruminsz. - Doskonale pana rozumiemy, Kroni. Ja też bałbym się wracać pod ziemię. I nie wyobrażaj sobie, że puścimy cię tam samego. Nie obraż się, ale sam sobie z tym nie poradzisz.

- Ja też tak myślę - wyznał z ulgą Kroni.

Takasi zaprosił Nataszę i Kroniego na polowanie. "Będziemy łowić ryby tam, gdzie skąpałeś się w błocie" - powiedział. Wycygał od Stancza wielki kosz i wysokie buty. Kroni się zgodził. Dziwne, pomyślał, Natasza wcale nie jest znów tak bardzo podobna do Gery, a jednak jest Gerą, tą piękną, niedostępną i żalonną Gerą, która kryje się teraz w obwieszonych starymi szmatami norze, "komnacie", która jeszcze tak niedawno wydawała się biednemu rurarzowi szczytem luksusu. Podchodzi do pękniętego lustra, które liczy już dwieście lat i jak najpiękniejszy skarb przekazywane jest w spadku z pokolenia na pokolenie. Myśli o inżynierze Lemeniu i chyba zupełnie już zapomniała o rurarzu, który odprowadził na tamten świat jej ukochanego. I pewnie nie rozumie, że jest taką samą bezsilną ofiarą, jak Lemeń, i że nawet wówczas, podczas ich pierwszej rozmowy, cuchnący rurarz był szczęśliwszy od niej, bo rurarz miał cel, do którego dążył.

Takasi oddał Kroniemu plastikową plecionkę, w której zamierzał nieść do obozu zdobycz, a sam wziął całą resztę. Natasza utonęła w wysokich butach, w których było jej bardzo niewygodnie iść.

- Lepiej założę skafander bez hełmu - powiedziała. - W nim też nie przemoknę.

- Jesteś naiwna, księżniczko - zaproponował Takasi. - Kto będzie potem czyścił twój skafander z lepkiej mazi. Zapytaj Kroniego, on już się kąpał w tym leju.

- Tygrys zaczął mnie gonić, jak tylko się stamtąd wydostałem - powiedział Kroni.

- Stanczo podarował skórę tygrysa Kiroczce - zauważyła Natasza. - Nie szkoda ci?

- Zapytał mnie przedtem o pozwolenie - odparł Kroni. - Nie, wcale nie szkoda. Aż się dziwię, że dałem tygrysowi radę. Pamiętam, jak za mną szedł, ale zupełnie nie pamiętam, jak z nim walczyłem.

- Chciałbyś zanieść futro Gery? - zapytała Natasza.

- Ona nie wzięłaby nic z rąk rurarza - powiedział Kroni. - Nie zapominaj, że jest córką Dyrektora.

- To mi nic nie mówi - roześmiała się Natasza. - Ale odkryję ci pewną tajemnicę. Mój ojciec jest bardzo, ale to bardzo ważnym dyrektorem. Na Ziemi. A dziadek był pisarzem. Też niesłychanie ważnym. Natomiast rodzice tego tu Japończyka nigdy nie opuścili swego miasteczka na wyspie Hokkaido.

- No, to zupełnie co innego - wykrzyknął Kroni.

- Nataszo - powiedział Takasi. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to może wezmę cię na ręce i będę niósł całą resztę drogi? Chciałbym w ten sposób wyrazić swój niezmierny szacunek dla twoich przodków.

- Nieś lepiej swoje łopaty i szufle, bo na nic więcej nie zasługujesz! - parsknęła Natasza. - Bardzo mi żal twojej

Gery - dodała bez żadnego związku. - Zaopiekuję się nią, kiedy już wyjdzie na powierzchnię.

- Dziękuję - powiedział Kroni.

Błoto w leju podeszło i Takasi jako najcięższy pierwszy dotarł do środka leja. Skorupa nie załamała się pod nim.

- W tym leju latem mieszkwały wielkie i bardzo sprytnie ryby - powiedział Takasi. - Tak sprytnie, że nie chciały brać na moją wędkę. Kiedy sadzawka wyschła, nabrały pewności, że ostatecznie mnie przechytrzyły i że się już do nich nie dobiore. Były w błędzie.

Mówiąc te słowa Takasi z rozmachem wbił łom w glinianą skorupę.

Łom wszedł jak w masło i Takasi nie zdołał go utrzymać. Z otworu trysnęło czarne, tłuste blocko i we wszystkie strony rozbiegły się zygzakowate pęknięcia. Niczym na zwolnionym filmie Japończyk zaczął się zapadać. Odbywało się to tak wolno i spokojnie, że ani Natasza, ani Kroni nie pospieszili mu z pomocą, gdyż sądzili, iż sam może bez trudu oddalić się z zagrożonego miejsca. Natasza nawet parsknęła śmiechem, ale śmiech szybko się urwał, bo Takasi zapadał się coraz szybciej i już był po pas w blocku, szeroko rozstawiając ręce, aby chwycić za krawędzie słabej skorupy.

Kroni zareagował szybciej niż Natasza, bo życie w tunelach nauczyło go, że jeśli człowiek przegapi moment - może zginąć i zgubić innych ludzi.

Złapał pozostawioną przez Takasiego łopatę i nie wypuszczając z drugiej ręki szczelnej plastikowej plecionki pobiegł w kierunku Japończyka. Kiedy poczuł, że skorupa zaczyna uginać się pod nogami, padł i zaczął się czołgać ku środkowi leja.

Najpierw podał Takasiemu łopatę, który nawet zdołał uchwycić rękojeść, poczuł jednak wkrótce, że wolno sunie na brzuchu w stronę grzęzawiska i przypomniał sobie o koszu.

Kosz opadł w błoto tuż obok głowy Takasiego. Japończyk zdołał unieść rękę, włożyć ją do kosza i trochę się oprzeć. Kosz zachowywał się jak pusta łódka. Pływał na powierzchni blocka i Takasi musiał jedynie uważać, żeby go nie przewrócić. Łopata przestała wyrywać się z rąk Kroniego, który w dodatku poczuł, że jego nogi są mocno i pewnie zakotwiczone. Zerknął do tyłu i zobaczył, że Natasza leży, obejmując rękami jego buty i tuląc się do nich twarzą. Oczy miała okrągłe z przerażenia. To było przerażenie mobilizujące wszystkie siły człowieka, całą jego przezorność i uwagę, przerażenie, które ścisła serce, ale sprawia, że ręce działają szybko i precyzyjnie.

- Zuch z ciebie, Natasza! - krzyknął Kroni i spróbował się uśmiechnąć.

Były to pierwsze słowa wypowiedziane od chwili, kiedy Takasi przebił łomem skorupę zaschniętego błota.

Grzędawisko bardzo niechętnie wypuszczało ze swoich objęć pechowego Japończyka. Minęło co najmniej dziesięć minut, zanim amatorzy ryb wydostali się na groblę otaczającą lej.

- Przepraszam - powiedział Takasi. - Chyba was trochę wystraszyłem.

- Ależ skąd! - odpowiedziała ze złością Natasza. - Rozbawiłeś nas do łez.

- Głęboko tam? - zapytał Kroni.

- Chyba ze trzy metry. Wystarczyłoby, żebym się utopił. Zawdzięczam ci życie.

- Nie przesadzaj! Natasza pobiegłaby do obozu i Stanczo wyciągnąłby cię z grawilotu.

- O ile naturalnie grawilot byłby akurat na chodzie... A i tak trzeba by mi było robić płukanie płuc.

- To Natasza - oświadczył wówczas Kroni. - Sam bym ciebie nie utrzymał.

- Wiem - powiedział Takasi. - Za to właśnie się z nią ożenię.

- Serdeczne dzięki, mój dobroczyńco - powiedziała Natasza. - Wolę wydać się za Kroniego, który jest równie odważny i zwinnie jak ty, ale o wiele mądrzejszy. Tylko że on kocha Gerę i na mnie nie zwraca najmniejszej uwagi.

- Jak możesz tak mówić! - zmieszła się Kroni. - Natasza, nie słuchaj go - powiedział Takasi. - Günther pozbawiony jest zupełnie poczucia humoru, wszystko bierze na serio i zaraził tym Kroniego.

- Gera nigdy by mnie nie chwyciła za nogi - powiedział poważnie Kroni.

- Zgadza się! - ucieszyła się Natasza. - Takasi, zostajesz przeniesiony do rezerwy.

- A więc po to, aby zdobyć miłość jakiegoś człowieka, należy go w odpowiednim momencie złapać za buty? - zapytał tragicznym głosem Takasi.

I w tym momencie z trzciny wychynęła zjawa.

Nie zauważyli, jak zapadł zmierzch, głęboki i granatowy, w którym zjawa opalizowała błękitnym płomieniem. Widocznie zaintrygowała ją krzątanina wokół leja i mlaskanie rzadkiego blocka. Stała teraz niezdecydowanie na skraju grobli, a trzciny zdawały się wyrastać z jej bezcielesnej postaci.

- Oj! - pisnęła cichutko Natasza. Kroni, który stykał się już przedtem ze zjawami, zdziwił się jej przestraszeniem. Jak ta odważna dziewczyna mogła bać się zwyczajnej zjawy?

Takasi sprężył się, gotów osłaniać Nataszę przed niebezpieczeństwem, więc Kroni szepnął:

- Nie płosz jej. Nie mamy przy sobie nic do jedzenia? Zjawa jest głodna.

Zjawa nie czekała na dalszy rozwój wypadków i zapadła się, rozplynęła w zaroślach trzciny.

- Ona jest głodna - powtórzył Kroni. Myślę, że wydostała się razem ze mną z podziemia i zabłądziła.

- Zanim cię Takasi znalazł, zjawa też krążyła w nocy wokół obozu - powiedziała Natasza.

- Co to jest? - zapytał Takasi.

- Zjawa - odparł Kroni. - Tak je u nas nazywają. Dawniej nie wiedziałem, co to jest, ale kiedy szukałem biblioteki, spotkałem jedną. One rozumieją ludzką mowę i jedzą. Nie potrafią jednak mówić.

Kiedy wrócili do obozu, było już całkiem ciemno. Takasi martwił się, że nie ma ryb, że zgubił plecionkę Stancza i jeden but, a sam wygląda jak bryła gliny, że wszyscy będą się śmieli...

- Zasużyłeś sobie na to - powiedziała Natasza. Rozglądała się na boki, bo miała nadzieję zobaczyć zjawę. Współczuła jej i chciała jak najprędzej nakarmić.

Takasi rzeczywiście miał za swoje, ale nie bardzo, bo zdołał odwrócić od siebie uwagę, opowiadając niezwykle obrazowo i sugestywnie o refleksie Kroniego i odwadze Nataszy.

Potem, kiedy Takasi i Kroni odszorowywali się z błota, reszta zastanawiała się, czym może być zjawa. Mutantem czy endemicznym mieszkańcem podziemi?

Nocą tropiciele wraz z Kruminszem i Kronim omawiali plan działań na dzień następny, Takasi z Anitą sprawdzali, w jakim stopniu ich komputer opanował język mieszkańców podziemia, a Natasza wzięła wiadro zupy, kawałek chleba i wyszła poza sferę ochronną na zbocze wzgórze. Zostawiła tam jedzenie i w drodze powrotnej spotkała Kiroczkę ze Stanczem, którzy nieśli bochenek chleba i dużą miskę kaszy pozostałej ze śniadania.

- Postawcie tam, obok okrągłego kamienia - powiedziała Natasza. - Przy mojej zupie. Kompot też wzięliście?

Rano okazało się, że zupa została zjedzona, miska po kaszy wylizana, a chleb zniknął. A duży słoik kompotu pozostał nietknięty. Nie udało się też dociec, kto odniósł na granicę strefy ów kompot, którego najwidoczniej zjawy nie jadły.

Rano wszyscy zebrali się przy skale, pod którą był właz.

Przy władze panowała nerwowa krzątanina, jakby Kroni zamierzał pobić jakiś rekord w obecności tłumu kibiców, trenerów, sekundantów i sędziów.

- Wyglądasz jak choinka - powiedział Günther.

Kruminsz sprawdzał wyposażenie. Maks Biely sprawdzał rzetelność Kruminsza.

Na oko Kroni wyglądał normalnie, chociaż odzież rurarza trzeba było wyrzucić, bo zostały z niej tylko żaloszne strzępy. Dziewczęta przerobiły strój roboczy archeologa tak, że z daleka mógł uchodzić za mundur inżyniera. Kombinezon zapinał się z przodu na zamek błyskawiczny i wystarczyły dwie sekundy na wydobywanie spod pachy paralizatora, niezwykle płaskiego i lekkiego. Paralizator przeznaczony był do obrony przed dzikimi zwierzętami i mieścił sto ładunków. Jego konstruktor widział pewnie oczami niezliczone stada słoni lub lwów, atakujących bezbronnych archeologów. Na kolbie paralizatora był wygrawerowany napis: "Güntherowi od wdzięcznej Grety". Günther odmówił rozszyfrowania znaczenia dedykacji, ale nalegał, aby Kroni wziął właśnie jego paralizator, a nie standardową broń z wyposażenia wyprawy.

Nadajnik zainstalowano następująco: mikrofon został umieszczony w kołnierzu i dlatego każde słowo, wypowiedziane przez Kroniego albo przez kogoś innego w jego obecności, docierało natychmiast na powierzchnię. Obiektyw telewizyjny nadajnika znajdował się nad lewą górną kieszenią kombinezonu, a drugi, rezerwowo, na pasie, który i bez tego był cudem techniki i geniuszu wynalazczego tropicieli. Zmieściły się w nim bez trudu medykamenty wraz z taką ilością plastra dezynfekującego, że Kroni mógłby się z łatwością okleić nim od stóp do głów. Poza tym żelazny zapas pożywienia, sprasowanego w tabletki i wystarczającego do obfitego karmienia dziesięcioosobowej grupy żarłoków przez co najmniej dwa tygodnie. Ponadto giętki kindżał i zestaw narzędzi, który mógłby się przydać zarówno zawodowemu włamywaczowi, jaki i majsterkowiczowi, pasjonującemu się amatorską budową łodzi podwodnych. Witaminizowany sok pomarańczowy mieścił się w płaskiej poduszce na plecach, a rureczka biegnąca od tej poduszki kończyła się pod kołnierzem. Ponieważ

poduszka została zespawana z kulo, pazuro- i zęboodpornej zbrojonej tkaniny, Kroni mógł nie obawiać się strzału ani ciosu nożem w plecy. Jeśli dodamy, że przód kombinezonu został sporządzony z takiej samej poduszki, wypełnionej płynnym tlenem, w uchu tkwiła miniaturowa słuchawka, a w kieszeni spoczywały różne różności w rodzaju okularów, pozwalających widzieć w absolutnej ciemności, i latarek, to nikt nie zaprzeczy, że Kroni został bardzo solidnie wyekwipowany.

Kroni, chociaż niby gniewał się i nie chciał brać ze sobą tego wszystkiego, był w gruncie rzeczy bardzo zadowolony i nigdy by nie zrezygnował z zabawek przygotowanych przez tropicieli, bo dobrze jest czuć się nietykającym i wiedzieć, że przyjaciele słyszą każde twoje westchnienie, a kiedy będzie źle, natychmiast pospieszą z pomocą.

- No co, rurarzu - powiedział Takasi - idziemy?

Takasi schodził z nim dwa piętra w dół. Tam była wysunięta baza wypadowa. Takasi miał na sobie skafander i w rękę trzymał hełm, niczym zapasową głowę. W tej wyprawie miał odgrywać rolę pancernej rezerwy.

- Ucałuję was na drogę - powiedziała Natasza.

Pocałowała najpierw Kroniego. Była tego samego wzrostu co on, więc pocałunek trafił w kącik ust. To było bardzo dziwne, ale niezmiernie przyjemne uczucie. I ostatnimi słowami Kroniego przed zejściem w dół było:

- Nikt mnie jeszcze nigdy nie całował.

ROZDZIAŁ 4 POWRÓT RURARZA

Pani Gera Spel, z łaski Boga Reda córka Dyrektora Spela, gorzko i rozpaczliwie płakała. Płakała dlatego, że jej życie dobiegało kresu bezsensownie i żałośnie.

Leżała w łóżku, a że było zimno i w żaden sposób nie mogła się rozgrzać, bała się zrzucić z siebie kołdrę uszytą ze szczerzych skórek. Kołdra cuchnęła, ale kiedy poskarżyła się na to ojcu, rodziciel skrzywił się, jakby usłyszał coś nieprzyzwoitego i powiedział:

- Zwidują ci się różne głupstwa. To przez chorobę.

Pan Dyrektor Spel przywykł do choroby i nieuchronnej szybkiej śmierci własnej córki. Jej matka również pluła krwią i umarła młodo, a doktor, jeden z trzech najlepszych lekarzy w mieście, powiedział, że medycyna nie zna żadnego lekarstwa na tę chorobę, która gnieździ się w piersiach i opiera się wszystkim maściom i okładom. Dyrektor Spel martwił się, że jego córką nie urodziła dziecka, że tak głupio i haniebnie, uwłaczająco dla starożytnego rodu Spelów zakończyła się historia z jej narzeczonym. Aferę wokół tego człowieka rozpętał Glizda i nie można jej było ukłócić łbą, gdyż byłby to błąd, podobnie jak niewybaczalnym błędem byłoby każde pogwałcenie Obyczaju, kiedy przestało się już być najsilniejszym człowiekiem w mieście.

Dlatego Dyrektor Spel starał się jak najrzadziej widywać swoją córkę i spokojnie czekał na jej bliską śmierć.

A Gera leżała pod śmierdzącą narzutką ze szczerów, patrzyła na dziwaczne zacieki na splekanym od dawna suficie sypialni i bała się spojrzeć na wałek wezglowia, bo wiedziała, że zobaczy tam krew. W żaden sposób nie potrafiła pogodzić się z myślą o śmierci i w koszarach, które obecnie męczyły ją co noc, widziała, jak wspina się tunelami do góry, bo tylko tam mogło być dużo światła, świeżego powietrza i Miasto na Górze. Ale każdy sen kończył się tym, że docierała do końca ślepego tunelu, biła głową o ścianę i dusiła się kaszlem, który ją budził. Wszystkiemu winien był ten rurarz. Rurarz Kroni. Nie wiadomo czemu zapamiętała to imię, chociaż nikt nigdy nie zapamiętuje imion rurarzy. Ten Kroni był niezwykle człowiekiem i żałowała, że zginął w tunelach.

Trzeba było wstawać i zaczynać nowy, ciągnący się bez końca dzień. Gera była rozdarta między oczekiwaniem, że nadchodzący właśnie dzień może okazać się ostatni, i lękiem przed długością tego dnia, który przyjdzie jej przeżyć. Liczyła minuty, usiłowała je zatrzymać i kiedyś nawet rozbiła zegar wodny, podejrzewając go w przystępie rozpacz o podstępą złośliwość. Ale dzień wreszcie się kończył i kładąc się do snu (i lękając się przy tym okrucieństwa nocy), Gera odczuwała wdzięczność dla własnego ciała za to, że zdołało przebrnąć przez kolejny dzień.

Próbowała czasami przywołać na pomoc wizerunek Lemenia, rzeczowego i zgryźliwego Lemenia, którego by nawet nie zauważyła, gdyby należał do elity, i nie pokochałaby, gdyby nie skazano go na śmierć. Ale zjawienie się rurarza, który przyniósł jego znaczek identyfikacyjny, postawiło krzyżyk na istnieniu inżyniera Lemenia. Lemeń rozplątał się w przeszłości i chociaż Gera mogła zmusić się do wywołania z pamięci rysów jego twarzy czy ironicznego sposobu mówienia, przypoćmniej go sobie całego już nie potrafiła, bo zagubiły się w niej jakieś nitki czy sprężynki łączące w jedną całość głos, uśmiech, charakterystyczny krok człowieka, którego kochała i za którym chciała pójść do Otchłani, Powiedziała o tym ojcu, a on zamknął ją pod strażą w piwnicy. Pobyt w tym lochu wywołał ostry nawrót jej choroby.

Gera wstała. Było jej zimno i miała takie zawroty głowy, że musiała oprzeć się o lodowatą ścianę. Wyjęła ze ści-ennej szafy, kamiennej niszy, wyłożonej strzępkami plastyku, długą, jasną sukienkę. Wybrała jasną dlatego, żeby mniej rzucała się w oczy jej bladeść. Teraz musiała zebrać siły, żeby uczesać włosy i przemyć twarz. Wszystko to wymagało wysiłku, ale równocześnie nadawało życiu jakiś sens.

W umywalni było ciepło i ręka z przyjemnością dotykała rozgrzanej rury. Gera miała dawniej służącą, starą już kobietę, która obsługiwała jeszcze jej matce. Ale pokojówka chorowała na żołądek i umarła akurat wtedy, kiedy zaczęła się cała historia z Lemeniem. Nowej ojciec nie chciał brać, bo był człowiekiem przewidującym i wiedział, że jego córka wkrótce umrze i nie może być wydana za mąż. A skoro tak, to najmowanie dla niej pokojówki jest zupełnie nieuzasadnioną rozrzutnością. Gera, która zawsze zgadzała się z nieubłaganą logiką ojca, zrozumiała go i nie obraziła się, chociaż miewała ciężkie chwile i wtedy pragnęła, żeby obok niej ktoś był... Ktoś żywy. Pozostawał brat, nie wierzący nikomu i nie wzbudzający zaufania. Brat ją kochał, ale potrafił zapomnieć o Gerze i nie zjawiać się nawet przez miesiąc, zwłaszcza teraz, kiedy - jak mówił - zrobiło się niespokojnie i oficerowie tajnej policji musieli pozostawać w koszarach. W końcu jednak przychodził, a wówczas Gera udawała, że czuje się lepiej i rozmawiała z nim o głupstwach, bo brat bał się mówić o czymkolwiek innym.

Rozległo się stukanie. Ktoś pukał do tylnych drzwi, wychodzących na ulicę. Z tych drzwi korzystał tylko brat, ale on miał własny klucz. Może go zgubił? Gera chciała już otworzyć drzwi, ale nagle się przestraszyła. To mogli być bandyci. Wprawdzie ojciec mówił, że złoczyńcy nigdy nie przedostaną się na górne poziomy, ale przecież nie każde słowo ojca musiało być prawdą... Może ją w ten sposób uspokajał.

Dziewczyna stała niezdecydowana. Może podejść do rury słuchowej i zawołać ojca lub brata. Ale jak będzie wyglądała, jeśli za drzwiami stoi Spel?

Dlatego wybrała trzecią możliwość. Usiadła w fotelu i postanowiła poczekać, co będzie dalej. Jeśli ten ktoś za drzwiami nie zrezygnuje wtedy coś wymyśli. Decyzja odłożenia decyzji była przyjemna. Bądź co bądź jest to jakaś decyzja!

Pukanie powtórzyło się. Gera czekała. Zrozumiała nagle, że chce, aby ktoś do niej przyszedł. Ktokolwiek, chociażby bandyta. Już od trzech dni nikogo nie widziała. Przestraszona, że ten ktoś odejdzie spod drzwi i zostawi ją samą z myślami i lękami, zerwała się z fotela i podbiegła do tylnych drzwi. Jednak nie zdążyła do nich dobiec.

Gdy tylko przekroczyła próg malutkiego saloniku, portiery zasłaniające wejście do przedpokoju odchyliły się i do saloniku wszedł mężczyzna. Znała go.

- Witaj, miłościwa pani - powiedział mężczyzna. - Niechaj Bóg Red ma cię w swojej opiece.

- Jak pan tu wszedł?

- Drzwiami - odparł mężczyzna i wówczas dziewczyna zrozumiała, że to jest rurarz Kroni. Naturalnie, rurarz Kroni! Ale nie poznała go, zanim się nie odezwał.

- Jesteś rurarzem? - zapytała, gdyż Kroni tak bardzo się zmienił, że ta przemiana obalała ustalony porządek rzeczy, przy którym rurarz zawsze pozostaje rurarzem.

I nie chodziło tylko o to, że Kroni był ostrzyżony, wytwornie i dostatnio ubrany, a jego twarz, w której zmarszczkach i fałdach musiał, mimo najstaranniejszego nawet mycia, pozostać wżarty w skórę brud zmieszany z sadzą, stała się gładka i czysta. Kroni, był innym człowiekiem, bo zachowywał się jak inny człowiek.

- Jestem rurarzem - powiedział Kroni. - Pozwolisz mi usiąść?

- Siadaj - odparła Gera. - Ale ty przecież nie żyjesz.

- Dlaczego? - zdziwił się Kroni. Usiadł w fotelu, odczekawszy jednak, że Gera pierwsza to zrobi. - Żyję.

- Ale Spel powiedział...

- Spel nie wierzył, że dojdę. A ja doszedłem i wróciłem.

- Po co?

- Żeby pomóc innym i tobie. Żal mi ludzi. Ciebie też mi żal. Gera uniosła brwi. To była obraza. Brudny nie może współczuć pani, gdyż nie jest zdolny do takiego uczucia.

- Jak śmiesz - powiedziała, wybijając słowa i rozkoszując się dawno zapomnianym uczuciem władzy nad ludźmi. - Jak śmiesz udawać szlachetne uczucie...

- Powiesz zaraz, Gero - przerwał Kroni, wystawiając przed siebie otwartą dłoń i jakby zasłaniając się tym gestem od jej słów - że jestem cuchnącym rurarzem. Że zawoła pani straż i poskarży się ojcu. Nie trzeba tego robić. Przecież widzisz, pani, że wróciłem stamtąd i tam - uniosł rękę do góry - nikt ani razu nie nazwał mnie cuchnącym rurarzem. I uwierz mi, pani, że ludzie na Górze są bogatsi i silniejsi od twego ojca, od Glizdy i wszystkich Dyrektorów razem wziętych.

- Naprawdę tam byłeś?

- A skąd miałbym to wszystko?

- Ograbieś kogoś. Wszystko to ukradłeś. Wiem, że ukradłeś. Prawda była nieprawdopodobna, więc Gera broniła się przed nią ze wszystkich sił.

- Gero - powiedział Kroni - jesteś przecież kobietą mądrą i wykształconą...

- A skąd ty to możesz wiedzieć?

Gera przestraszyła się rurarza. Sama wymyśliła, że Kroni kogoś ograł i podstępnie zamordował (przecież wszyscy rurarze kłamią i oszukują jak najęci!), a teraz na jej oczach zamieniał się w bandytę, groźnego i nieubłaganego...

Podskoczyła jej temperatura. Osłabiony gorączką umysł nie wytrzymał zetknięcia się z niezrozumiałym zjawiskiem i dziewczyna zapadła w słodkawe wody omdlenia, które nie dają błędnego poczucia niebytu, tylko utrzymuje między rzeczywistością a nicością.

Kroni patrzył na nią zmieszany i zaniepokojony. Widział, że z dziewczyną dzieje się coś niedobrego. Nie spodziewał się takiego powitania. Nie przypuszczał nawet, że za cieniutką maską szlachetnie urodzonej pani może kryć się ból, bezradność i lęk przed śmiercią, więc niewłaściwie zrozumiał wszystkie jej słowa i postęпки.

Dziewczyna jeszcze na niego patrzyła, ale jej oczy już nie widziały rurarza, dostrzegały jedynie wewnętrzny świat koszarów i nieuchronnego bólu. Odchodziła od niego, chociaż nadal siedziała w fotelu. Siedziała nieruchomo, a jej dłonie leżały na kolanach i wydawały się błękitne.

Od chwili, kiedy Kroniemu znudziło się czekać pod drzwiami i otworzył je wytrychem, wszedł do mieszkania i zobaczył Gerę, nie mógł otrząsnąć się od jej widoku. Wyglądała bardzo źle i to nie tylko z winy choroby, która zdążyła przez ubiegłe dni poczynić prawdziwe spustoszenia. Najważniejsze było to, że wizerunek Gery niejako oderwał się od niej samej, a wspomnienie o niej zmieszało się z uśmiechem Nataszy i jej opalenizną. Zrodził się w ten sposób nowy, wyidealizowany obraz, z którym Gera niewiele miała wspólnego. Okazała się znacznie niższa, chudsza i bledsza, niż powinna być. Jej szaty, które wydały się przedtem rurarzowi szczytem wytworności i luksusu, w rzeczywistości były zetlałe i pokryte źle spranymi plamami, widocznymi nawet w tym skąpym świetle, które przed tygodniem wydawało się oślepiające. I cera Gery była nie błękitna, tylko ziemista i niezbyt gładka. To była twarz mieszkanki podziemi. Prawdziwy wygląd Gery, chociaż zaskakujący i bolesny, nie rozczarował i nie wzbudził wstępu, tylko współczucie i pragnienie, aby ją ogrzać, przytulić i uspokoić. Nie zdołał się powstrzymać i wyraził to współczucie na głos - za co spotkała go zimna i pogardliwa reakcja. Kroni spodziewał się wszystkiego, ale ta pogarda go zaskoczyła. Bezradność bezbronno związaną, które chce jak najprędzej schować się w swojej skorupie, uznał za wrodzoną pychę, na którą nie ma rady.

Naraz zorientował się, że Gera bardzo źle się czuje, że traci przytomność. Kiedy więc głowa opadła jej na oparcie fotela, a w kącikach warg ukazała się różowa piana, rzucił się ku dziewczynie, uklęknął przed nią i ręka zamarała mu w powietrzu, bo trzeba było natychmiast coś zrobić, a nie wiedział co. Zapomniał, że nie jest sam. Nie wiadomo, jak długo tak klęczał z poczuciem, że czas zatrzymał się, otaczając go szczelnym kokonem, ale nagle ożył głośniczek w jego uchu.

- Kroni - zabręczała słuchawka i upłynęło parę sekund, zanim rurarz zrozumiał, czyj to głos. - Jesteśmy - powiedział Kruminsz. - Nie bój się, wszystko widzimy i słyszymy! Oddaję mikrofon Anicie.

- Kroni, kochany - powiedziała doktor Sołomko i westchnęła w mikrofon, a Kroni wyobraził sobie jej szeroką, pocziwą twarz z okrągłymi piwnymi oczyma. - Nie martw się. Wyleczymy ją, jak tylko znajdzie się na powierzchni. Gwarantuję ci to.

- Dziękuję - powiedział Kroni, wdzięczny Anicie nie tylko za te słowa, ale również za to, w jaki sposób zostały powiedziane.

- A na razie - ciągnęła Anita - zrób tak. Günther mówi, że w twoim pasie bezpośrednio pod prawą ręką masz pojemnik z lekami. Wyjmij trzy czerwone pigułki...

Kroni znalazł filizankę i rozpuścił pigułki w soku.

Ażeby Gera mogła wypić lekarstwo, musiał unieść jej głowę. Włosy na karku były miękkie i ciepłe, a głowa uniosła się posłusznie. Wtedy Kroni zrozumiał, co to jest czułość.

Gera zaciskała zęby, więc Kroni przekonywał ją szeptem:

- Wypij, bardzo cię proszę, wypij! To nie jest gorzkie. To ci pomoże.

Wargi poruszyły się. Gera upiła trochę soku i zakrztusiła się.

- Nie trzeba tak się spieszyć! - skarcił ją łagodnie Kroni. - To jest smaczne.

Gera balansowała na chybotałej kładce, rozpiętej między jawą a niebytem. Głos Kroniego, jego ręka podtrzymująca głowę i smak soku były rodem z błęgiego snu. I kiedy wypiła cały sok, czując, jak wypełnia jej ciało radosnym ciepłem, i otworzyła oczy - zobaczyła tuż przy swojej twarzy oczy Kroniego i nie przestraszyła się, bo to były dobre oczy.

Znieruchomieli oboje, jak gdyby lękali się spłoszyć coś ulotnego.

Pierwsza ocknęła się Gera. Zamknęła oczy, bo dopiero nie widząc mogła powiedzieć:

- Dziękuję ci, Kroni.

Wstał z klęczek i usłyszał, jak w uchu pisnął głos Anity:

- Teraz dziewczyna poczuje się lepiej.

Ale jej głos był obcy i niepotrzebny. Sołomko zrozumiała to i zamilkła.

- Co to było? - zapytała Gera, nie otwierając oczu.

- Lekarstwo - odparł Kroni.

Coś między nimi zaszło, coś takiego, co widocznie już od dawna narastało poza świadomością dziewczyny i ujawniłoby się o wiele wcześniej, gdyby Kroni nie był rurarzem. To stanowiło barierę, która nie pozwalała Gerze zobaczyć w nim mężczyzny.

- Gero - powiedział Kroni.

- Co?

- Byłem na Górze i dotarłem do Miasta.

Gera milczała. Po raz pierwszy od wielu dni było jej ciepło. Spowodowało to lekarstwo, ale jej się wydawało, że nie tylko lekarstwo.

- Miasta nie ma - powiedział Kroni - jest całkowicie zniszczone.

- Wiedziałam o tym. Mówił nam to nauczyciel. I ojciec też.

- Miasta nie ma - ciągnął Kroni. - Zostało zburzone, bo naprawdę była wojna. Ale nie to jest najważniejsze!... Cała reszta jest kłamstwem.

- Co?

- Że istniały tylko dwa miasta. Miast było wiele. Całe setki. Nasze Miasto było jednym z nich. To kłamstwo, że na Górze jest taka sama jaskinia jak tu, tylko obszerniejsza. W rzeczywistości nie ma tam żadnej jaskini, tylko powierzchnia.

- Powierzchnia?

- Jak by ci to wytłumaczyć? Powierzchnia jest wtedy, kiedy nie ma stropu.

- A gdzie jest strop?

- Stropu w ogóle nie ma. Wyobraź sobie kulę. Teraz jesteśmy w środku takiej kuli. A powierzchnia to jest to, co na wierzchu. Gera nie spierała się z nim.

- Jak uważasz - powiedziała sennie.

- Daj jej jedną złotą tabletkę - powiedziała Anita. - Nie podoba mi się jej głos.

- Co to jest?

- Połknij. - Kroni podał jej tabletkę. - To jest słodkie. Gera usłuchała.

- Mów dalej - powiedziała po chwili.

- Stropu w ogóle tam nie ma - ciągnął Kroni. - Niebo sięga w nieskończoność. Trudno ci to zrozumieć, bo ja sam nie od razu zdołałem to zrozumieć, chociaż zobaczyłem na własne oczy.

Gera skinęła głową.

- Nie ma tam ludzi i tutaj twój nauczyciel miał rację. Ale żyć na Górze można.

- Miasto jest zniszczone - powiedziała Gera. - I jeżeli się tam pójdzie, zapada się na śmiertelną chorobę.

- Łatwiej zachorować tutaj - zaproponował Kroni. - W tej wilgotnej norze. Popatrz na siebie. A tam jest słońce, wiatr, drzewa i lasy... Ale te słowa nic ci nie mówią.

- Dlaczego? - zdziwiła się Gera. - Znam słowo jezioro, słowo wiatr i słowo las. I słowo słońce też. Te słowa słyszałam. Przecież się mówi: jasny jak słońce. I mówi się też: gęsty jak las.

- A co to znaczy, gęsty jak las?

- To znaczy bardzo gęsty, nie do przebycia - odparła Gera.

- Słowa utraciły swe znaczenie, ale słowa mają pamięć o wiele dłuższą niż ludzie. Słuchaj więc: słońce to rozżarzona kula, wokół której wszystko się kręci - i ty, i ja, i nasze miasto, i Miasto na Górze. Las - to kiedy drzewa stoją rzędami jedno koło drugiego. Jezioro - to tyle wody, że przeciwległego brzegu prawie nie widać.

- Możliwe - powiedziała Gera.

- A wiatr to taka masa powietrza, że może zbić człowieka z nóg i zerwać dach domu. Wiatr przynosi niebiański deszcz...

W tym momencie Kroni zrozumiał, że o wiele łatwiej mógłby to wszystko wytłumaczyć dziewczynie w innym języku. W jego ojczystej mowie rzeczywiście brakowało słów, a te, które były, dawno zmieniły swój sens.

- I nie ma tam ludzi? No to więc kto dał ci ubranie?

- Ludzie. Ale inni ludzie, którzy przylecieli tutaj ze swojej Ziemi, gdyż myśleli, że nikt tu nie mieszka.

- Zdobyli Miasto na Górze?

Niepokój, który zabrzmiał w głosie Gery, był zupełnie abstrakcyjny. Dziewczyna zdawała się słuchać zajmującej baśni, w żaden sposób nie związanej z rzeczywistością, a już na pewno nie z jej losami. Nie obchodzili ją też ci ludzie,

którzy skądś tam przylecieli. Pewnie na skrzydłach, jak nietoperze. Nietoperze są rzadkie w podziemnym mieście, ale ojciec ma w swym gabinecie jednego, zaszuszonego. Kroni odwiedził tę baśń i wrócił, niczym bajeczny bohater, który odrodził się w Ognistej Otchłani. Był przecież taki pradawny żołnierz, który zanurzył się w Otchłani i wyszedł z niej jako piękny Dyrektor.

- Oni nie potrzebują naszego miasta - powiedział Kroni - bo mają własne. Przybyli tu szukać starych rzeczy, gdyż łakną wiedzy. Chcieli dowiedzieć się, jacy byliśmy i co się z nami stało.

- Żałują nas?

- Gero, ty mi nie wierzysz!

- Staram się wierzyć. Mów.

- Oni gotowi są pomóc nam wydostać się z podziemi, pomóc żyć tak, jak ludzie żyć powinni. Jak kiedyś żyliśmy.

Podziela się z nimi swoją wiedzą i pomocą. Ja im wierzę.

- Po co zamierzają to zrobić? Na co im jesteśmy potrzebni?

- Dlatego, że chcą nam pomóc.

Czasami najtrudniej jest tłumaczyć rzeczy oczywiste. To, co w tłumaczącym nie wzbudza najmniejszych nawet wątpliwości.

- Ale co my im możemy dać w zamian?

- Nic, bo nic dawać nie musimy - odparł Kroni.

Gera pochyliła głowę ruchem starego człowieka, którego życie niejednego już nauczyło. Rurarz mówił jak dziecko. Wszyscy proszą ludzi podobni są do dzieci - tak samo ufni i kapryśni w swych uczuciach.

- Czekają, aż porozmawiam z tobą i z twoim bratem, a potem odnajdę inżyniera Rازیego.

- Dlaczego nie przyszli tu sami?

- Bo najpierw powinienem przyjść ja. Przecież ludzie bardzo się przelęką, kiedy zobaczą obcych.

- Są tacy straszni?

- Nie, są tacy sami jak my. Jest wśród nich dziewczyna, bardzo do ciebie podobna.

- Jak się nazywa?

- Na imię ma Natasza.

- Natasza - Gera z trudem wymówiła obce słowo. - Brzydkie imię.

Wrogość do Nataszy, która odważyła się być podobna do pani Gery Spel, była nieświadomiona i dlatego Kroni jej nie wyczuł.

- Nie - powiedział - to bardzo ładne imię.

To imię usłyszał Takasi, siedzący przy radiostacji w ciemnym tunelu najwyższego poziomu przy zasypanym szybie windy. Usłyszał i uśmiechnął się, bo jemu to imię też się podobało.

Anita, stojąca na górze pod zaimprovizowanym daszkiem uśmiechnęła się również, gdyż wyczuła w głosie Gery wrogość, której nie wychwycił głośnik komputera, dokładnie, lecz martwo tłumaczącego dialog rurarza z dziewczyną. A Stanczo, naprawiający koparkę, która miała poszerzyć wjazd do podziemia, ale się zepsuła, roześmiał się na głos i powiedział:

- Nataszo, zmień imię. Jest takie piękne imię Snieżina. Podoba ci się?

- Nie - odparła Natasza. - Za to tobie się podoba.

- Oczywiście! - wykrzyknął Stanczo. - Znam jedną Snieżinę. To moja mamusia.

- Idź do mojego ojca - powiedziała wreszcie Gera. - On jest starym człowiekiem, więc będzie umiał powiedzieć, co masz robić.

- Nie wierzysz w to, co jest na Górze.

- Chciałabym wierzyć. Może masz rację. Tu masz rurę słuchową. Porozmawiaj z ojcem.

- A czy jesteś pewna, że on się zgodzi, żeby ludzie wyszli na powierzchnię?

- Wszyscy?

- Naturalnie, że wszyscy.

- I ci, którzy są na samym dole? Górnicy, tkacze, rurarze?

- Jasne. Przecież im żyje się gorzej niż innym.

- A kto będzie pracował?

- Wszyscy, ale na Górze.

- Nie wiem - powiedziała Gera. - Ojciec pewnie się nie zgodzi...

Obiektyw kamery telewizyjnej rejestrował każdy ruch i wszyscy na powierzchni widzieli, jak Gera uniosła się z fotela, ale zaraz na powrót usiadła.

- Ja też tak myślę - powiedział Kroni. - Twój ojciec każe mnie zabić.

- Możliwe. Nie pomyślałam o tym.

- Może jednak porozmawiasz z ojcem?

- Nie - odparła Gera. - Nie będę z nim rozmawiała. Zawołam brata.

I znów ludzie pod prowizorycznym daszkiem zobaczyli, jak wstaje i podchodzi do ściennej niszy z telefonem.

- Bardzo błada - powiedział o Gerze Günther. Należał do tych dużych, pocziwych, sentymentalnych mężczyzn, którzy przygarniają porzucone na ulicy szczenięta i opatrują skrzydła pisklątom, które wypadły z gniazda.

- Choroba posunęła się już daleko - powiedziała doktor Sołomko. - Bardzo daleko. Trzeba ją pilnie poddać leczeniu szpitalnemu.

- Zdumiewające połączenie archeologii z medycyną - zauważył Maks Bięły. - Miała pani szczęście, Anito.

- Proszę nie żartować! - oburzyła się Anita. - To nie jest najlepsza pora na żarty.

- Nie ma złej pory na żarty - zaproponował Maks i poszedł pomagać Stanczowi w uruchomieniu koparki. Biała wypielęgnowana czupryna Maksa i szczupła, wyprostowana postać upodobała go do hrabiego ze starych romansów.

Gera powiedziała do słuchawki:

- Tajna policja. Poproszę pana Spela młodszego.

Czekała na połączenie i czując na sobie wzrok Kroniego, starała się wyobrazić sobie powierzchnię kuli, na której nie można utrzymać się na nogach z powodu wiatru i gdzie kołysze się las podobny do stalaktytów.

- Pan Spel prosił przekazać, że jest bardzo zajęty - rozległ się głos w słuchawce.

- Przekażcie mu, że to ważna sprawa. Że siostra chce z nim porozmawiać w niezmiernie ważnej sprawie! Osloniła ręką słuchawkę i zapytała Kroniego:

- Powiedzieć mu, że mamy gościa?

- Lepiej nie. Ludzie Glizdy mogą podsłuchiwać rozmowę.

- To ty, Gero? - rozległ się głos Spela. - Co się stało?

- Słuchaj, bracie. Mam do ciebie ważną i niesłychanie pilną sprawę. Musisz tu natychmiast przyjść.

- Och - westchnął brat. - Źle się czujesz?

- Czuję się doskonale.

- Gero, za chwilę wyruszam na wyprawę. Na bardzo ważną wyprawę. Nie mam czasu z tobą rozmawiać. Wrócę wieczorem i wtedy do ciebie przyjdę. Dobrze?

Spel starał się nie klócić z siostrą.

- Jestem na ciebie bardzo zła - powiedziała Gera. - Kiedy ostatnio prosiłam cię, żebyś do mnie przyszedł? Przypomnij sobie?

- Kiedy nakryli twojego Lemenia. A co, ożył?

- Spel, przyjdź tutaj. Natychmiast! Zapomnij o wszystkim i przychodź.

- Poczekaj... - Spel był mocno zaniepokojony. Gera rzuciła słuchawkę i zamknęła niszę.

- Zaraz tu będzie - powiedziała i jej policzki pokryły się czerwonymi plamami. - Smarkacz!

Spel zapukał trzy razy, a potem Kroni usłyszał szcęk zamka. Gera wyszła na spotkanie brata.

- Co się z tobą dzieje? - Spel był zły i to zły podwójnie, bo nie umiał oprzeć się żądaniu siostry. - Glizda głowę mi ukreć. Już i tak patrzy na mnie szcurem od czasu, kiedyśmy ukradli rurarza. Podejrzewa, że to moja sprawka.

- Wejź - powiedziała Gera. - Są sprawy ważniejsze niż twój Glizda. Chcę, żebyś się zobaczył z naszym wspólnym znajomym.

Spel tylko machnął ręką, nie słuchając, co mówi siostra. I wchodząc do saloniku, ciągnął:

- Zrozum, zaraz wyruszamy. Znaleźliśmy inżyniera Raziego. Tego co był z Lemeniem, pamiętasz? Jest tam również nasz człowiek...

W tym momencie zobaczył Kroniego.

- Ty! - powiedział i ręka sama opadła do kabury.

- Uspokój się - powiedziała Gera. - Sam kiedyś przyprowadziłeś do mnie tego rurarza i sam go stąd zabrałeś. Wiczemu się dziwisz? To zjawia.

- Zjawia! - Spel spróbował się uśmiechnąć, ale nie wyszło mu to zupełnie.

- Przystojniaczek - powiedziała Anita z lekką naganą w głosie, patrząc na jego twarz, która wypełniła cały ekran.

- Żeby tylko nie złapał za swoją spluwę - mruknął Günther.

- Siostra mu nie pozwoli - uspokoił go Krumins. Spel zrobił krok do przodu i... zatrzymał się.

- Gdzie byłeś? - zapytał ze złością, jakby Kroni nie wykonał jego rozkazu.

Spel już zdążył wymyślić kilka nawzajem się wykluczających hipotez. Z początku uznał, że Kroni nie wychodził na powierzchnię, a cała ta maskarada to robota Glizdy, który postanowił zgubić rodzinę Spelów. Mogło też zdarzyć się coś innego - rurarz w porzuconych tunelach najwyższych poziomów natknął się na zapomniany magazyn ze starymi mundurami. Ubranie jednak było nowe, a zatem rurarz musiał jednak dotrzeć na powierzchnię. Co za tym idzie, na Górze żyją ludzie i wszystko, czego Spela dotychczas nauczono, jest kłamstwem. A może ci ludzie są dawnymi wrogami Miasta, którzy posłali Kroniego, żeby zemścić się za stare krzywdy? Rurarz z pewnością zgodził się być narzędziem tej zemsty, bo sam Spel na jego miejscu też by się zgodził. Przecież Kroni mógł ukryć, że jest rurarzem i przedstawić się jako inżynier albo . nawet czysty. W każdym wypadku był niebezpieczny, a skoro tak, to lepiej być jego przyjacielem, a nie wrogiem. Skoro Kroni przyszedł się mścić, to najpierw zemści się na Glizdzie. Bo po co w przeciwnym razie miałby zaufać Gerze? Spel przeanalizował wszystkie te warianty i uśmiechnął się szczerym, chłopięcym uśmiechem.

- Opowiadaj, rurarzu - powiedział - gdzie byłeś i co porabiałeś?

- Nie jestem już rurarzem - warknął Kroni. - Nie nazywaj mnie tak!

Właściwie było mu wszystko jedno, jak się do niego zwracają. Rurarz nie jest gorszy od policjanta. Przynajmniej zarabia uczciwie na swój kawałek kaszy. Ale Spelowi trzeba będzie pokazać jego miejsce. Ten oficer nie był najodważniejszym z ludzi, jakich Kroniemu zdarzyło się w życiu spotkać. Nigdy nie będzie Kroniemu ufał, ale pójdzie za nim, jeśli poczuje siłę. Rozmawiali o tym nie dalej jak wczoraj, na naradzie w namiocie.

- Nie gniewaj się - uśmiechnął się przyjaźnie Spel.

- No więc słuchaj - powiedział Kroni. - Wszystko, czego cię uczyli, jest kłamstwem...

Mówił krótko. Pomagają mu ci, którzy są na Górze. Wyprowadzi ludzi na powierzchnię, na słońce, ale chce to zrobić tak, żeby było się bez najmniejszej paniki. Nie wolno pędzić ludzi na Górę, jak stado przerażonych szcurek. Trzeba wszystko im wytłumaczyć, znaleźć sposób na unieszkodliwienie Glizdy i tych, którzy zrobią wszystko, żeby utrzymać się przy władzy.

- Nikt ci przecież nie uwierzy. Ja też nie wierzę - powiedział Spel.

- Uwierzysz - zapewnił go Kroni. - Gdzie jest inżynier Razi?

Archeolodzy stłoczeni pod daszkiem patrzyli z napięciem w ekran i zdawali się nie oddychać. Deszcz łomotał w napiętą płachtę. Stanczo przykrył koparkę pokrowcem i maszyna przypominała teraz niezgrabne zwierzę, czyhające na kogoś przy czarnej jamie.

- Złapiemy go dziś - powiedział Spel.

- A starzec? - zapytał Kroni.

- Umarł.

- Sam?

Spel bardzo się zdziwił.

- U Glizdy nikt sam nie umiera. On tego nie lubi.
- To był przyzwoity staruszek - powiedział Kroni. - Miał przekonania i nigdy się ich nie wyrzekał.
- Aha - zgodził się obojętnie Spel. - Później go rozpoznaliśmy... A Glizda nie wierzył, że ty udusiłeś strażnika.
I do dziś nie wierzy.
- Ma rację.
- Kto cię tam wie? Każdy może zabić człowieka, jeśli trzeba. Glizda myślał, że ukradłem znaczek identyfikacyjny Lemenia, ale ja zwałem wszystko na ciebie. Nie gniewasz się?
- Niby dlaczego miałbym się gniewać? Gdybyś nie zauważył znaczka, nigdy bym się Glizdzie nie wyrwał.
Spel pomyślał, że Kroni ma rację i że to jest dla niego korzystne.
- Zawdzięczasz mi życie - powiedział. - Uratowałem cię.
- Wcale o mnie wtedy nie myślałeś. Myślałeś o sobie i o siostrze. Nie chciałeś, żeby w rękach Glizdy znalazł się człowiek, który zna Lemenia.
- Sprytny jesteś, rurarzu - powiedział Spel. - Bardzo sprytny. A powiedz mi, strop wisi tam wysoko?
- Tak wysoko, że w ogóle go nie ma. Opowiedz, co wiecie o Razim.
Gera chodziła po pokoju, jakby zapomniawszy usiąść. Czuła się rześka i zdrowa, co nie zdarzało się jej od dawna, więc pragnęła zmian, które zburzą jej ciemną norę.
- Twój Razi uciekł i dobrał się do broni. A wiesz, jak Glizda się tego domyślił? Tuż przy komisariacie kwartałowym znaleziono zwłoki naszego agenta, który został zabity nie nożem i nie kamieniem. Został zabity pociskiem z pistoletu wojskowego. Wtedy Glizda zrozumiał, że twoi przyjaciele dobraли się do broni.
- Może i nie - powiedział Kroni. - Przecież dałem pistolet Raziemu. Ten sam, od którego był tamten zapasowy magazynek.
- Nie, to był inny pistolet - powiedział Spel. - Glizda też z początku na to liczył. Ale to był inny pistolet.
- A co dalej?
Glizda urządził wielką obławę w mieście. Postawił na nogi całą policję i wszystkich kwartałowych.
- No i jak się ta obława skończyła?
- Nijak. Nie wytrzeszczaj ślepi, bo robisz się podobny do Glizdy, kiedy mu o tym zameldowali. Sam mu zresztą meldowałem. Jedna grupa powinna mieć akurat Biesiadę. Otoczyliśmy dom i niby wszystko przebiegało zgodnie z planem. Pułapka się zatrzasnęła. Ale była pusta. Ani żywej duszy. Ktoś ich ostrzegł.
Spel był w dziwnej sytuacji, chociaż sam sobie z tego nie zdawał sprawy. Walka z bandytami, biesiadnikami i spiskowcami była jego zdaniem słuszna i wcale buntowników nie żałował. A tego, który kierował tą walką, śmiertelnie nienawidził. Opowiadał zaś o tym wszystkim Kroniemu, który był wrogiem nie tylko Glizdy, ale i Obyczajaju, a więc również wrogiem jego, Spela.
- Dalej! - powiedział Kroni tonem człowieka, który ma prawo rozkazywać.
- Glizda domyślił się, że zdążyłeś przekazać inżynierowi Raziemu plan miasta Przodków, i że inżynier ze swoimi ludźmi tam właśnie się ukrył.
- Dalej.
- Dziś tam idziemy. Razi nam już nie umknie.
- Powiedz, Spel... Możesz zdobyć mundur policjanta?
- Po co?
- Żebym mógł wziąć udział w obławie. Przecież spędzą na nią wszystkich policjantów, a nie wszyscy znają się nawet z widzenia.
- Zapomnij o tym - powiedział Spel. - Mundury są przechowywane w dobrze strzeżonym magazynie.
- Nie myślałem o magazynie - mruknął Kroni. - Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu...
- Myślisz, że mam pięć mundurów? - zdziwił się szczerze Spel. - A zresztą jak się teraz dostanę do koszar i wyniosę go stamtąd? Za piętnaście minut wyruszamy, a ja mam biegać z mundurem pod pachą, żeby mnie od razu przejrzel?!
- Dobra - zgodził się Kroni. - Nie warto było z tobą zaczynać.
- Chcesz - powiedziała Gera, stojąc przed bratem i patrząc mu prosto w oczy - nadal być chłopcem na posyłki u Glizdy. Tak długo, dopóki cię nie wykończy?
- Nie będzie tak źle - burknął Spel. - Glizda mnie nie ruszy.
- Którędy pójdzie obława? - zapytał Kroni.
- Z dwóch stron. Jeden oddział schodzi przez tunele techniczne twojego dawnego rewiru. Drugi idzie od strony kopalń. Nad elektrownią będzie zasadzka, w którą wpadną, kiedy będą uciekać. Więcej nic nie wiem.
- To już jest coś - powiedział Kroni.
- Muszę iść - powiedział Spel. - Przecież nie chcecie chyba, żeby Glizda zaczął coś podejrzewać? A tobie, Kroni, nie radzę iść na dół. Tamtych nie uratujesz, za to sam wpadniesz w pułapkę.
- Kiedy zaczyna się obława?
- Za trzy godziny... Teraz już mniej.
- Szczęśliwej drogi, Spel. Nie pchaj się pod kule.
- Jakie znów kule?
- Zapomniałeś, że w mieście Przodków jest broń?
- Broń... Przecież oni nawet nie umieją strzelać!
Spel nie chciał pokazać po sobie, że się boi. Poglądził Gerę po ramieniu i powiedział: "nie choruj!". Ten gest wzbudził w Kronim pewną sympatię do dziarskiego, choć nieco dziś nerwowego policjanta.
- Co zrobisz? - zapytała Gera, kiedy drzwi zatrzasnęły się za Spel. - Pójdiesz na dół? Nawet jeśli powiem ci, żebyś został?
- Tak - odparł Kroni.
- Wolałabym, żebyś tam nie szedł.
Miała zwyczaj patrzeć ludziom prosto w oczy, jakby umiała odczytać, co się w nich kryje.
- Jak ta dziewczyna patrzy! - powiedziała Anita Sołomko, która odeszła na bok i nalewała do filiżanek kawę z termosu.
- Chciałbym, żeby ktoś tak na mnie patrzył - powiedział Stanczo.

- To tylko taka maniera - zmartwiła się Anita. - Gera prawdopodobnie jest bardzo krótkowzroczna, ale nawet się tego nie domyśla. Przecież oni nie mają okularów.

- Nie chcesz, żebym odszedł? - zapytał Kroni.

- Nie. Ludzie odchodzą ode mnie i nigdy już nie wracają. Pochłania ich mrok.

- Ja wrócę - zapewnił ją Kroni. Gera powstrzymała go gestem dłoni.

- Masz przyjaciół - powiedziała. - Potężnych przyjaciół. Niech oni tam pójda.

- Co cię obchodzi jakiś tam rurarz? - Kroni nie był całkiem szczery. Pragnął, żeby Gera zaoponowała.

- Nie chodzi o ciebie! - odpowiedziała poważnie dziewczyna. - Tylko o to, że jesteś żywy. A dokoła sami nieboszczycy. Lemeń też był żywy. Martwi zostają i krążą wokół, a żywi umierają i nie wracają. Kiedy cię nie było, przywykłam już do myśli, że i mnie wkrótce nie będzie. Ale ty wróciłeś i zmieniłeś moje życie. Nie chcę już umierać i nie chcę, żebyś zniknął w Otchłani. Pewnie nie chodzi tu o ciebie, tylko o mnie samą.

- Wrócę - powtórzył Kroni.

Wtedy usłyszeli kroki. Odgłos twardych, pewnych siebie kroków, które już zbliżały się do sypialni.

Gera zamarła i zdrętwiała. Szepnęła: "Ojciec".

- Kryj się! Za kotarę! - prawie krzyknął Kruminsz. Kroni szybko cofnął się ku drzwiom, dał nura za zasłonę i przylgnął do ściany od strony przedpokoju.

- Był ktoś u ciebie, Gero? - usłyszał niski, pewny siebie głos Prawdziwego Pana.

- Dzień dobry, ojczu. Tak, brat mnie odwiedził.

- Jak się czujesz? Lepiej ci?

- Tak, ojczu. Dziękuję.

- Dziwne, że brat tu przyszedł - powiedział pan Spel. - Nie powinien tu dziś przychodzić.

- Zaprosiłam go.

Ojciec Gery przechadzał się miarowo po dywanie, a Kroni liczył jego kroki.

- Dobrze wyglądasz.

Kroni nie bardzo mógł zrozumieć, czy on ją za to potępia, czy też cieszy się, że córka poczuła się lepiej. Najprawdopodobniej po prostu zarejestrował ten fakt tak samo, jak rejestrował w pamięci każdą przepaloną żarówkę lub zepsutą windę. Obojętnie, chociaż z pewną irytacją, której jednak nie pozwolił się uzewnętrznic...

- Przecież umarłam dla ciebie, ojczu - powiedziała Gera. - Umarłam już wtedy...

- Nie masz racji, Gero. Już ci to niejednokrotnie mówiłem. Jesteś moją córką i dlatego twój los nie może mi być obojętny. Miałem nadzieję, że urodzisz mi wnuka, gdyż człowiek trwa w swoich potomkach. A ród Spelów trwa od wieków!

- Ojczu, po co tu przyszedłeś? Poczułam się gorzej i chciałam się położyć...

- Masz rację. Ja też nie mam zbyt wiele czasu. Ale pamiętaj, bez względu na dawne nieporozumienia, jesteś moją córką, a ja twoim ojcem.. Mam nadzieję, że mogę ci zaufać.

- Ja też ci ufałam, ale mnie zdradziłeś.

- Nie uratowałbym go, za to siebie doprowadził do zguby. Kiedy decydujemy się ukarać kogoś dla przykładu, wtedy już nie ma odwrotu.

Kategoryczność tego twierdzenia zdawała się zamykać dyskusję o przeszłości. Pan Dyrektor Spel nie zamierzał do niej wracać.

- Sądę, że wkrótce mogą nastąpić poważne zmiany.

- Ja też tak uważam - powiedziała Gera.

- Ty? Brat ci coś powiedział?

- Mam po prostu przeczucie.

- Ludzi chorych nawiedzają czasami uzasadnione przeczucia - wyrzekł poważnym głosem Spel. - To świadczy o tym, że są bliżsi Bogowi Redowi niż my, zdrowi.

- Ale moje przeczucie mówi o Mieście na Górze.

- Co? - ojciec jej nie zrozumiał.

- Przeczucie mi mówi, że nadeszła pora, żeby wyjść na powierzchnię.

- Zaczynasz bredzić. Wiesz przecież doskonale, że na powierzchni niczego nie ma, że tam nie można żyć. Moje obawy są znacznie realniejsze. Dziś wczesnym rankiem odbyło się posiedzenie Rady Dyrektorów. Zwołał je Mekil, chociaż nie miał prawa tego robić. Pogwałcił w ten sposób Obyczaj, ale jego władza w Radzie jest dziś o wiele większa, niż to wynika ze stanowiska. Mekil powiedział na posiedzeniu, że na dole wynikło zagrożenie dla całego miasta. Buntownicy znaleźli magazyn broni i w interesie całego miasta zażądał przekazania mu kontroli nad kopalniami, fabrykami i elektrownią oraz prawa życia i śmierci wobec wszystkich. Łącznie z Dyrektorami. Nie dziwi cię to?

- Nie, przecież znam Glizdę.

- Ja też go znam - powiedział Spel. - I wiem, że jego bajeczka o buntownikach wymyślona została po to, żeby wystraszyć starszków stanowiących większość w Radzie i odizolować ludzi energicznych i wpływowych, wszystkich, którzy stoją mu na drodze - mnie, Kalgara i paru innych. Dlatego obawiam się o swoją przyszłość.

- Przyszedłeś więc, żeby mi o tym opowiedzieć?

- I poprosić cię o pomoc. Jest jeszcze jedna rzecz, do której Glizda chce się dobrać.

- Wiem.

- Tym lepiej. Glizda będzie szukał naszych klejnotów rodzinnych. Będzie szukał ich u mnie. Nie wie jednak, że pod twoim łóżkiem znajduje się sekretna nisza. O jej istnieniu wiemy tylko my. Dzisiaj w nocy, kiedy spałaś, schowałem tam szkatułkę. Nie chciałem ci o tym mówić, ale później pomyślałem, że mogą do ciebie przyjść agenci Glizdy i zapytać, czy w twoich apartamentach nie ma jakiegoś schowka, a ty wiedząc, że nisza jest pusta, mogłabyś im ją pokazać. I wtedy wszystko zostanie stracone.

- Rozumiem - powiedziała Gera. - Wlazłeś nocą pod łóżko.

- Tak.

Gera roześmiała się krótko.

- O co ci chodzi?
- Nie bym im nie powiedziała, bo schowałam tam pukiel włosów matki i list od Lemenia.
- Tak? Nie zauważyłem. Pod łóżkiem było ciemno.
- Ale niczego stamtąd nie wyjmowałeś?
- Nie. Tam jest dość miejsca. I nic nie widać.
- Wobec tego mam do ciebie prośbę, ojcze. Kiedy umrę, połóż mi te rzeczy na piersi. Pukiel włosów i list. Niechaj spłoną razem ze mną.
- Obiecuję - powiedział Spel. - Jeśli nie umrę przed tobą.
- Nie.
- Ja też tak uważam - powiedział ojciec, nie starając się być delikatnym.
- To się jeszcze zobaczy - pomyślał głośno Kroni.
Zapomniał o tym, że od sąsiedniego pokoju oddziela go tylko niezbyt gruba portiera. W saloniku rozległ się łoskot i coś jakby ryk dzikiego zwierzęcia. Kroni skoczył i przyłgnął do ściany.
Zasłona uniosła się gwałtownie, jakby zdmuchnął ją poryw burzy, i do pokoju wtargnął niziutki, bardzo gruby mężczyzna. Najdziwniejsze było to, że Kroni nie od razu go zobaczył, bo patrzył znacznie wyżej, tam gdzie wedle jego rachuby powinna znajdować się głowa posiadacza tak wspaniałego tytułu i tak głębokiego głosu.
Spel trzymał w ręku pistolet, ale broń była skierowana do przodu, więc Spel przebiegł kilka kroków, zanim pomyślał, że należy się odwrócić. Te ułamki sekundy wystarczyły, aby biegnąca za nim Gera zdążyła osłonić Kroniego.
- Nie strzelaj!
- Odejdź! Zabiję go!
- Nie strzelaj, bo mnie zabijesz.
- Zawsze byłaś rozpustnicą, a teraz twoja namiętność do mężczyzn nas zgubi!
- Panie Spel! - krzyknął Kroni. - Gdzieś mam pańskie klejnoty!
Odpowiedzią była kula, która przebiła portierę i roztrzaskała jakiś przedmiot w sąsiednim pokoju.
Anita na widok czarnej żrenicy pistoletu zakryła twarz rękami. Nikt z archeologów nie odezwał się nawet słowem, bo każde słowo w tej sytuacji mogło odwrócić uwagę Kroniego i doprowadzić do jego zguby.
Kroniego jednak uratowała Gera. W momencie strzału, kiedy Spel zamarł, sam oszołomiony grzmotem starego pistoletu, rzuciła się do przodu i podbiła mu rękę. Następny pocisk trafił w sufit. Posypał się tynk. Biały tuman wypełnił mieszkanie.
Wtedy nadeszła kolej Kroniego. Chwycił Spela za rękę, ścisnął i pistolet wypadł na podłogę.
- Na pomoc! - krzyknął Spel i zadławił się kurzem. Wymachiwał rękami i kopał jak ogromny, zapasiony osesek.
- Uderz go! - krzyknęła nagle Gera wysokim, obcym głosem. - Uderz go, żeby zamilkł! On chce tu sprowadzić Glizdę.
Ale Kroni nie potrafił uderzyć tłustej i śliskiej kuli, która nie wiedzieć czemu była ojcem tej dziewczyny. Nie mógł też pojąć, skąd w Gerze wzięło się tyle wściekłej nienawiści do ojca. Ta nienawiść gromadziła się w niej już od dawna i teraz wybuchła, bo ojciec, który pozbawił ją już tylu rzeczy, chciał zabić jej ostatnią nadzieję.
Nagle Spel poddał się i opadł na ręce Kroniego jak worek z czymś miękkim i ciepłym.
- Umieram - jęknął. - Serce mnie boli...
- Nie wierz mu, Kroni - powiedziała Gera.
Kroni powlókł Spela na kanapę w saloniku i rzucił go tam. Głowa Dyrektora uderzyła głucho o ścianę.
- Daj wody - jęczał. - Umieram...
Najbogatszy człowiek w tej szczyrzej norze bardzo bał się śmierci.
- Leż spokojnie - powiedział Kroni i oddał pistolet Gerze. - Tylko nie strzelaj! - ostrzegł ją.
- Niech pan zabierze jej broń - błagał Spel. - Niech pan zabierze. Przecież widzi pan, jak ona mnie nienawidzi.
- On zabił moją matkę, zabił Lemenia i chciał zabić ciebie. - Głos Gery był obojętny i głuchy, jakby wygłaszała wyuczoną na pamięć rolę.
- Zabierz, bo rzeczywiście dziewczyna gotowa jest narobić jakichś głupstw - powiedział Kruminsz półgłosem. To były pierwsze słowa z Góry, które Kroni usłyszał od momentu spotkania ze Spelem.
- Daj - powiedział.
Gera usłuchała go. Podała pistolet na otwartej dłoni i gdy tylko Kroni go wziął, ręka bezsilnie opadła.
- Dziękuję, panie - powiedział Spel. - Dziękuję.
- Nie zrobię panu krzywdy - powiedział Kroni.
Pomyślał, że zjawienie się Spela może w rezultacie okazać się korzystne, bo daje możliwość porozmawiania z jednym z władców podziemia w momencie, kiedy ten Dyrektor jest zastraszony przez Glizdę... Usiadł w fotelu i położył pistolet na kolanach.
- Nie zrobię panu krzywdy - powtórzył. - Muszę jednak powiedzieć, że zupełnie panu nie ufam.
Nagle Spel się uśmiechnął. Jak gdyby zrozumiał, że nie zostanie zabity, stał się zupełnie innym człowiekiem - rozsądnym, gotowym do spokojnej i rzeczowej rozmowy z Kronim.
- Wcale się nie dziwię - powiedział. - Przecież omal pana nie zastrzeliłem. Miał pan szczęście, że dawno nie miałem okazji użyć broni. Co mi pan może zaproponować?
- Nowiny - odparł Kroni.
- To najcenniejsze w naszym świecie. Nigdy pana przedtem nie widziałem. To dziwne. Czy jest pan kochankiem mojej córki?
- To nie ma nic do rzeczy.
- Przepraszam, ale ma. Od pańskiego stosunku do mojej córki i do rodziny Spelów jako takiej zależy bardzo wiele. Na przykład los moich klejnotów. Nie wierzę, aby pan był na tyle bogaty, aby mógł zrezygnować z naszego majątku. Jeśli jednak zamierza pan wejść do naszej rodziny...
Urwał w pół zdania, czekając na reakcję rozmówcy. Potem po patrzył na Gerę. Gera odwróciła głowę.
- Przyszedłem z Góry - powiedział Kroni. - Wystarczy przyjrzeć mi się uważniej, aby się o tym przekonać.
- Nie widzę podstaw...

Tu Spel ugryzł się w język. Jego oczy, leżące wygodnie na sinych poduszkach policzków szybko obiegły postać Kroniego. Ta wędrówka sprawiła, że w klarowne dotąd myśli pana Dyrektora wkraśl się zamęt.

- Przyszedłem z Góry - powtórzył Kroni - bo świat nie kończy się na tych jaskiniach i tunelach.

- Ale na Górze nie można żyć! - wykrzyknął Spel, zupełnie nie przekonany słowami Kroniego. - Nie wiem, komu i na co są potrzebne pańskie nowiny, ale wiem, że są to nowiny szkodliwe. Człowiek na Górze musi umrzeć. Wiem to, bo czytałem tajne dokumenty.

- Kiedy ostatnim razem ktoś wychodził na powierzchnię?

- A czy to jest ważne?

- Tak. Od tego czasu minęło wiele lat i na Górze można już żyć. O wiele lepiej niż tu.

No cóż, trzeci słuchacz, pomyślał Kroni. Po raz trzeci powtarzanie same słowa. A ilu ludzi będą jeszcze musiał przekonywać?

- Jeśli nawet tak jest, to wyjście na powierzchnię oznacza koniec Obyczaju i śmierć naszego narodu. Jeśli nie od chorób, to od życia w nieznanym i strasznym warunkach.

- Skąd ta pewność? Przecież pan tam nie był, ja natomiast byłem.

- Człowiek żyjący na Górze nie potrafi tego zrozumieć.

A więc Spel jednak pogodził się z myślą, iż życie poza miastem jest możliwe. Rozmawia się z nim łatwo, ale jakie wnioski wyciągnie?

- Przedtem mieszkałem tutaj. Jak pan sądzi, w jaki sposób poznałem pańską córkę?

- Nie zastanawiałem się na tym, ale moja córka zawsze miała skłonność do zawierania znajomości poza własną sferą. To pewno dziedziczne. Jej matką wzięłem sobie z dołu. Była córką inżyniera...

Spel dobrodusznie rozłożył ręce: sam pan widzi, robiłem co mogłem. Zerknął przy tym na Gerę. I dodał:

- To, naturalnie, pana nie dotyczy.

- Dotyczy, i to jeszcze jak! - zaoponował Kroni. - Przedtem byłem rurarzem.

- Po co mu to mówisz? - wtrąciła się Gera. - On tego nie rozumie.

- No cóż - powiedział Spel, całkowicie ignorując słowa córki. - Miałem co do niej rację. Muszę jednak panu z całkowitą szczerością powiedzieć, że i wśród rurarzy zdarzają się ludzie przyzwoici. Rurarz to też człowiek. Spotkałem kiedyś pewnego rurarza...

Głos Spela szemrał jak strumyk wody płynący po gładkiej podłodze. Słowa swobodnie wyskakiwały z ust, bo nie kryła się za nimi żadna myśl. Mózg był zajęty czymś innym. Spel zastanawiał się gorączkowo, jakie korzyści może wyciągnąć z tego, czego się dowiedział.

- ... Proszę mi jeszcze powiedzieć, jak wy dostał się pan na powierzchnię i co tam się dzieje?

- Teraz muszę już iść - powiedział Kroni. - Mogę pana jedynie zapewnić, że na Górze naprawdę można żyć.

Wiem, że nasza przyszłość leży na powierzchni. Mam też nadzieję, że jest pan dość rozsądny, aby stanąć po mojej stronie.

- Naturalnie - zgodził się skwapliwie pan Spel. - Jeśli życie na Górze istotnie jest takie, jak pan utrzymuje, a sam pan jest rzeczywiście tym, za kogo się podaje, to w przyszłości będzie można zastanowić się nad stopniowym przenoszeniem ludności w inne warunki. Natomiast pański żart, że niby był pan dawniej rurarzem, szczerze mnie ubawił. I jeśli tam u was są tacy rurarze, to nie potrafię sobie wyobrazić, jacy są Dyrektorzy.

- Tam nie ma dyrektorów.

- Kto wobec tego utrzymuje porządek?

- Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie w dwóch słowach.

- Naturalnie. Doskonale to rozumiem. A czy przypadkiem nie spotkał się pan kiedyś z panem Mekilem?

- Owszem.

- Tak mi się właśnie wydawało - powiedział Spel z satysfakcją w głosie.

- Panie Spel, proszę mnie uważnie posłuchać... Przypomina pan swojego syna, który też, jeśli mu się coś nie mieści w głowie, od razu szuka innego wytłumaczenia, i obaj znajdujecie tylko jedno i że nasał mnie tu Glizda.

- Ależ skąd! Ani przez chwilę pana nie podejrzewałem... A wie pan może, co ludzie mówią o naszym wspólnym przyjacielu?

- Że Glizda jest gorszy od szczura? Pan i teraz jeszcze tak myśli. Sami oddaliście władzę Glizdzie, żeby obronił was przed buntownikami, a teraz się boicie.

- Jestem przezorny i wiele już razy mi to pomogło - powiedział Spel.

- Ma pan nadzieję przechytryć naszego przyjaciela?

- Jak tylko Rada Dyrektorów przekona się, że spisek jest bajeczką wymyśloną przez Mekila, jego władza osłabnie.

Jeśli on pana tu przysłał, to proszę mu to powiedzieć.

- Muszę pana zmartwić. Spisek istnieje.

- Buntownicy nie mają broni.

- Mają broń.

- Jest pan pewien?

- Absolutnie. Panie Spel, teraz się rozstaniemy. Wyraziłem się chyba dość jasno: przyszedłem tutaj, żeby pokazać ludziom drogę na Górę....

- Nikt panu nie uwierzy.

- Pańska córka już uwierzyła. Pan sam też już wierzy. A na dole mam przyjaciół, którzy uwierzą mi jeszcze szybciej niż pan. Dlatego, że pan nie chce w to wierzyć, a oni wierzyli już dawniej. Wiedzieli mniej niż pan, ale wierzyli. Jednym z nich byłem ja, rurarz.

- Muszę jednak nad tym wszystkim się zastanowić - powiedział Spel. - Nie mogę niczego przedsięwziąć, dopóki się dobrze nie zastanowię.

- Nie wymagam od pana żadnego działania.

- Dzięki Redowi! Jak mnie pan odnajdzie?

- Chyba przez Gerę.

- Wobec tego proponuję inny wariant. Jak się pan nazywa?

- Kroni.

- Proszę więc zapamiętać mój prywatny numer: 888. Jeśli powie go pan do słuchawki, połączą pana ze mną. Jednak Glizda może podsłuchać naszą rozmowę...

Spel wstał i z pewną obawą zerknął na pistolet leżący na kolanach Kroniego.

- Nie zwróci mi pan?... - zapytał bez większego przekonania.

- Nie - odparł Kroni.

- Wcale na to nie liczyłem. No cóż, do widzenia, rurarzu. - Spel mrugnął porozumiewawczo na znak, że bawi go mistyfikacja Kroniego.

- Do widzenia.

Spel poszedł do sypialni córki i tam jego kroki ucichły. Kroni wstał, ale Gera uniosła palec do ust: słuchaj!

Słychać było zduszone sapanie i jakieś szmery. Po chwili rozległo się szcęknięcie i westchnienie ulgi. Potem kroki, ciche i powolne, jakby utykające.

- Porwał swoją szkatułkę - szepnęła Gera, przysuwając usta do ucha Kroniego.

- Na mnie już czas - powiedział Kroni.

ROZDZIAŁ 5 POWSTANIE W MROKU

Kroni nie mógł korzystać z windy, którą przed paroma dniami przewieziono go z podziemia, bo akurat zajęła ją jedna z grup policyjnych zjeżdżających na dół. Załował też, że nie zapytał Spela, gdzie będzie w czasie obławy. Taka informacja mogła się czasem przydać. Pozostawała jedna droga: tunelami technicznymi. Żeby jednak do nich dotrzeć, trzeba było minąć kilka zamieszkałych poziomów.

- Szkoda, że nie udało ci się zdobyć munduru policyjnego - powiedział Kruminsz, jakby podsłuchiwał jego myśli.

- Aha - zgodził się Kroni. - Tak będzie trudniej.

- Może powinienś poprosić Gerę, żeby cię przeprowadziła?

- Którędy? Ulicą? Wszyscy ją tu znają i wszyscy będą się gapić.

Kroni stał przy rogu zaułka prowadzącego do tylnego wyjścia domu Spelów. Ulica była dobrze oświetlona, bo mieszkali przy niej najzamożniejsi. Nawet w takim dniu Glizda nie ośmielił się pozostawić jej bez ochrony. Barczysty facet o szarej twarzy, szarych włosach i niebieskich wargach leniwie przechadzał się po drugiej stronie ulicy. Może Glizda specjalnie pozostawił go koło domu Spelów?

Jak tylko facet zniknął, zjawiała się niania z dwójką rachitycznych, krótkonogich dzieciaków. Dzieci były przebrane za żołnierzyków i próbowały podstawić niani nóżki. Niania zwinnie przeskakiwała przez zasadzki, co było dziwne w jej mocno podeszłym już wieku i zdumiewało przy jej siwych włosach, zebranych w malutki koczek na ciemieniu. Kroni odprowadził tę grupkę wzrokiem i już zamierzał podejść do windy, kiedy znów musiał dać nura w ciemność. Ulicą spieszył nosiwoda, taszcząc na plecach zbiornik z czystą wodą. Zbiornik był wysoki i wystawał ponad głowę nosiwody. Kroni zerknął do tyłu, żeby się upewnić, że nikt go nie obserwuje i ruszył za nosiwodą, dopasowując krok do jego dreptania. Woda pryskała z otwartego od góry zbiornika i rozbryzgiwała się na zakurzonych kamieniach chodnika.

Kroni usiłował sprawić wrażenie nieroba, ale chyba nie bardzo mu się to udało, bo dwie zamożnie ubrane dziewczyny w ciężkich ametystowych tiarach parsknęły na jego widok śmiechem i zaczęły szeptać, po czym przystanęły z tyłu. Kroni postanowił się nie oglądać.

Doszedł do małej windy, które jeżdżą tylko na górnych poziomach. Nacisnął w przelocie guzik wywołania i zatrzymał się dopiero o parę kroków dalej. Dziewczyny zostały za zakrętem. Ta winda obydwała się bez strażnika, gdyż był to dźwig gospodarczy, zatrzymujący się na dole w magazynach sklepu pana Kalgara.

Kabina nadjechała z dołu i zatrzymała się. Kroni niedbałym ruchem odsunął kratę i wszedł, ale nie zdążył zamknąć drzwi.

- Poczekaj! - krzyknął ktoś wystarczająco głośno, żeby nie mieć wątpliwości, że człowiek w windzie go usłyszy. Ręka Kroniego sama skoczyła do dźwigni zamykającej kratę.

- Nie spiesz się - powiedział Kruminsz. - On może zawiadomić dół, a wtedy znajdziesz się w pułapce. Kroni usunął się pod tylną ścianę kabiny.

- Bałem się, że nie usłyszysz - powiedział policjant w zniszczonym mundurze, wbiegając do windy. - Gdzie jedziesz?

Policjant patrzył na tablicę z przyciskami. Zachowywał się jak człowiek przyzwyczajony do rozkazywania. Tak zachowywali się policjanci służący na dole, w biednych kwartałach, gdzie pan kwartałowy był bogiem, a policjanci jego aniołami zemsty.

- Na dół - powiedział Kroni. - Do sklepu.

- Ja też tam jadę - powiedział policjant takim tonem, jakby Kroni sprawił mu ogromną radość. Nacisnął guzik, winda ruszyła, a policjant odwrócił się do Kroniego.

- Gdzie służysz? - zapytał. Niczego nie podejrzewał. Zapytał po prostu dla porządku.

Kroni o mało nie powiedział, że u pana Spela, ale nie chciał ściągać podejrzeń na ten dom.

- A... u pana Kalgara - powiedział Kroni.

Za kratą następnego piętra mignęła czyjaś twarz.

- Poczekaj - powiedział policjant wesoło. - Lubię, kiedy fagasy czekają.

- A może ten pan miał jakąś pilną sprawę?

- Pan? - Ta myśl bardzo policjanta rozbawiła. - Wkrótce ci państwo nie będą mieli żadnych pilnych spraw. My ich...

I policjant wykonał nieprzyzwoity gest, pokazując, co się stanie z panami. Oczywiście miał bez rzes, białe i szalone.

Nawet szeregowi policjanci już wiedzą, zauważył w duchu Kroni.

- A kto wtedy będzie?

- Nie musisz wiedzieć! - uciął policjant i w tym momencie podejrzenie zaświtało mu w głowie. W windzie było dość ciemno, bo oświetlała je tylko słaba żarówka pod sufitem, więc pochylił się, żeby zajrzeć Kroniemu w twarz.

- Pokaż znaczek - rzucił policjant, szturchając go krzywym palcem w pierś.

- Po co to panu, panie policjancie? - zapytał Kroni zdumionym głosem. - Przecież niczego złego nie zrobiłem.

- Znaczek!

Lopaciasta ręka wysunęła się do przodu i zastęła w oczekiwaniu. Druga ręka opadła na pas z pistoletem.

Za kratą przesuwająca się wolno kamienna ściana. Kroni wsunął rękę za pazuchę kurtki, wyciągnął błyskawicznie paralizator i policjant ogłupiałym wzrokiem zagapił się na broń, która niemal czarodziejskim sposobem znalazła się w dłoni jego towarzysza podróży.

- Ty... - zaczął.

Kroni usłyszał głos Kruminsza:

- Paralizator działa bezgłośnie. Strzelaj i od razu zatrzymuj winde.

Kroni pociągnął za spust i policjant natychmiast bezwładnie osunął się na podłogę. Rurarz nie tracąc czasu nacisnął guzik i winda zatrzymała się ze zgrzytem.

- On nie umrze? - zapytał Kroni w przestrzeń.

- Nie, tylko śpi. Obudzi się za jakieś pół godziny - powiedział Kruminsz.

Niespodziewany kłopot przyniósł w rezultacie Kroniemu szczęście. Rurarz zdjął policjantowi czapkę, która była trochę za mała, ale była. Trudniej było zdjąć kurtkę. Biała lampka na pulpicie windy sygnalizowała mruganiem wezwanie już z trzech poziomów. Kurtka była za ciasna w ramionach i znacznie za obszerna w talii.

- Szybciej - ponaglał go Kruminsz.

- Sam wiem, że trzeba się spieszyć! - warknął Kroni i znów uruchomił windę, po czym stanął przed kratą i patrzył surowym wzrokiem na ludzi, którzy chcieli dostać się do środka.

- Potem! - powtarzał głośno. - Poczekajcie...

W kacie windy siedział z głową opartą na piersi mężczyzna w koszuli, więc ludzie orientowali się natychmiast, że pan policjant wiezie aresztowanego i lepiej się do windy nie pchać.

Winda zatrzymała się koło magazynu sklepu pana Kalgara. Kroni gwałtownie odsunął kratę i powiedział do jednego z czekających przy drzwiach:

- Pomóż mi go wyciągnąć.

Ludzie cofnęli się z przestraszeniem, tylko jakiś starszy już technik skwapliwie wbiegł do kabiny i podniósł nieprzytomnego policjanta. Było mu ciężko, ale więcej chętnych do pomocy w tłumie nie było, a policjant Kroni oczywiście też ani myślał pomagać. Ludzie coś lękliwie do siebie szeptali.

- Tutaj - pokazał Kroni i technik oparł policjanta o ścianę obok długiego szeregu beczek. - A teraz - Kroni uniósł rękę i wskazał nią otwarte drzwi windy, do której nikt nie odważył się wejść - teraz już was tu nie ma!

I po chwili został na ulicy sam.

Dookoła było pusto. Kroni zajrzał do beczki. Była czarna w środku, zapuszczona czymś i okropnie śmierdziała. Złapał bezwładne ciało, stęknął (policjant okazał się bardzo ciężki) i przerzucił go przez krawędź beczki do środka. Potem znalazł kawałek blachy i przykrył nim beczkę.

Poprawił mundur i zamaszystym krokiem ruszył do sklepu - dużego pomieszczenia zastawionego beczkami i skrzynkami. Odbываła się akurat sprzedaż wybrakowanej tkaniny, więc ustawiony w długą kolejkę tłum wypełniał całą salę.

Kroni poszedł w stronę najbliższego wyjścia. Miejscowy policjant zsalutował mu, więc z leciutkim uśmiechem mu odsalutował. Droga do tuneli technicznych była wolna...

Otworzył kratę wejścia służbowego i znalazł się w znajomym półmroku, w mrocznym świetle korytarzy, kabli i rur, tyle że nie na swoim piętrze, a kilka poziomów wyżej.

Szczurołap był malutki, błądź, jakiś półprzezroczysty, podobny do zjawy. Wyrósł przed Kronim zupełnie nieoczekiwanie, jakby wyłonił się ze ściany. Przez ramię miał przewieszony dwa zabite szczury, a w rękę trzymał krótką dzidę z szerokim grotem. Ukłonił się z daleka policjantowi idącemu tunelem, a Kroni pomyślał, że szczurołap nie jest groźny, bo gdyby nawet ktoś go zapytał, to odpowie, że spotkał policjanta.

- Dzień dobry, panie policjancie - powiedział myśliwy, kiedy Kroni się z nim zrównał. Upolowane szczury były duże, siwe, z ogonami sięgającymi do ziemi... Szczurołapy zupełnie nieźle by zarabiała, gdyby łowy na szczury nie były monopolem pana Szturiego, Wicedyrektora Rozrywek. Wszystkie skórki trafiały do niego, a on wypłacał procent myśliwym, nielicznej zamkniętej kaście, która przetrwała od czasów, kiedy możni urządzali jeszcze wielkie polowania na szczury z wymarłymi już dawno gończymi i dziesiątkami naganiaczy. Szczurołapy wiedziały o tunelach nawet więcej niż rurarze, z którymi się zresztą przyjaźniły - zawiadamiały ich o awariach w odległych korytarzach i odpędzały szczury, za co rurarze dzielili się z myśliwymi jedzeniem. Nie wiedzieć czemu szczurołapom zawsze brakowało jedzenia.

I dopiero teraz, mijając myśliwego, Kroni pomyślał, że może oni dokarmiają zjawy?

- Szczurołapie, nie widziałeś tu buntowników?

- Skąd, panie policjancie - zdziwił się szczurołap, ale Kroni mu nie wierzył. - Jacy tu mogą być ludzie? Nikt tędy nie chodzi, nawet rurarze nie docierają.

- Łiesz, szczurołapie - powiedział Kroni. - Dawno pewnie nie poczułeś pałki na grzbiecie.

- Jak bym śmiał? Żaden rurarz tu nie dociera. Nawet taki odważny i zręczny rurarz jak Kroni.

I popatrzył na Kroniego niewinnym wzrokiem.

- Znasz go? - zapytał Kroni.

- Widziałem go - powiedział myśliwy. - Jak pana, panie policjancie. I gdybym nie lękał się wywołać pańskiego słusznego gniewu, to ośmieliłbym się powiedzieć, że on jest bardzo do pana podobny.

- To ciekawe - powiedział Kroni, bo niczego lepszego nie potrafił wymyślić.

- Ośmieliłbym się też powiedzieć - zakończył szczurołap - że koło szybu zaraz za zakrętem siedzi w zasadzce trzech agentów, trójka pańskich przyjaciół, panie policjancie. Z pewnością będzie pan rad ich spotkać.

- A jeśli nie?

- Jeśli nie, to mogę panu policjantowi pokazać inną drogę.

Po pięciu minutach szybkiego marszu szczurołap zatrzymał się odsunął kable zwisające ze ściany i odsłonił zamknięty właz po nieczynnym kanale wentylacyjnym, w ścianach którego tkwiły stalowe klamry drabinki.

- Szósty poziom stąd, panie policjancie - powiedział myśliwy. - Radziłbym panu zdjąć czapkę, bo ci buntownicy mogą wystrzelić bez uprzedzenia. Ci ludzie, niechaj ich Ognista Otchłań pochłonie, zupełnie nie znoszą widoku policyjnej czapki.

- Dziękuję - powiedział Kroni, stawiając nogę na pierwszej klamrze. Zdjął czapkę i podał ją myśliwemu. - Weź, może ci się przyda.

- Może - powiedział obojętnie myśliwy i schował czapkę do worka. Poczekał, aż głowa Kroniego zniknie w kanale i zatrzasnął właz.

Sześć piętér niżej Kroni znalazł w ścianie szybu taki sam właz, ale nie mógł go otworzyć. Widocznie był zamknięty z zewnątrz na zasuwę. Kroni zdecydował się zapukać, bo miał nadzieję, że wyprzedził policjantów.

Drzwiczki włazu zadudniły glucho, jak denko pustego zbiornika. Kroni na wszelki wypadek przyłgął do ściany i położył dłoń na kolbie paralizatora.

- Kto tam? - głos rozległ się blisko i uleciał szybem w górę.

- Swój - odpowiedział Kroni.

- Swoi są tutaj. Wszyscy - powiedział głos.

- Chcę się zobaczyć z inżynierem Razim - powiedział Kroni.

- A kto ty jesteś?

- Rurarz Kroni.

- Poczekaj, zapytam.

Szyb szedł jeszcze dalej w dół. Trzeba będzie zapytać Razięgo, czy sprawdzili, gdzie się kończy. Jeśli w elektrowni, to mogą się do niego dostać również policjanci.

Po drugiej stronie drzwiczek rozległy się głosy. Kroni nie mógł rozróżnić słów. Potem drzwiczki otworzyły się i do szybu wpadło trochę światła przenośnej latarki. Kroni natychmiast wyłączył latarkę.

- Wchodź - odezwał się pierwszy głos. - Tylko bez kawałów, bo będę od razu strzelał.

Kroni chwycił za krawędź włazu, podciągnął się i zeskoczył na posadzkę korytarza. Przenośna latarka wisiała na haku wbitym w sufit, jej światło padało więc z góry i dlatego twarze oczekujących go ludzi wydały mu się złowrogie. Szczególnie groźnie wyglądało to na ekranie telewizyjnym, więc Kruminsz osłonił mikrofon dłonią, żeby Kroni nie usłyszał okrzyku przestachu Anity. Anita jednak nie krzyknęła, tylko przygryzła wargę.

- Witajcie - powiedział Kroni. - Niełatwo się do was dostać.

- Ty się jednak dostałeś. Pomógł ci ktoś?

Pytał niski garbus z czarną twarzą górnik, który trzymał w ręku szeroki, ciężki nóż. Jego oczu nie było widać, bo cień krzaczastych brwi padał mu aż na policzki.

- Pomogli mi. No, zaprowadź mnie do inżyniera Razięgo. Mam dla niego ważne wiadomości.

Zamiast odpowiedzi garbus dwoma palcami chwycił połę policyjnej kurtki i zapytał z wyrzutem:

- Dlaczego się nie przebrałeś?

- Ta kurtka nie będzie mi już potrzebna - powiedział Kroni i zaczął ją zdejmować. - Możesz ją sobie wziąć. Założyłem ją tylko po to, żeby łatwiej się przemknąć.

- Czysty jesteś, gładki - powiedział garbus jakby ze współczuciem.

- Gdzie jest inżynier Razi? Nie mam czasu na rozmowy.

- Popatrz, pan się spieszy - garbus zwrócił się do towarzyszącego mu wysokiego, chudego młodzieńca. - Krzyczy głośno... Pewnie rzeczywiście się spieszy. Młodzieniec okazał się właścicielem dudniącego głosu, który Kroni usłyszał przez drzwiczki włazu. Głos nie mieścił się w jego cienkim gardle i dlatego chłopiec przy mówieniu odrzucał głowę do tyłu.

- Nie spiesz się tak, przyjacielu - poradził górnik. - Wpadłeś, to siedź cicho. Ja takich gładkich jak ty bardzo nie lubię. Zabłądziłeś, zgubiłeś swoich, czy co?

W głębi tunelu zapaliła się iskierka, która zaczęła się powoli zbliżać. Ktoś szedł w ich stronę. Kroni podjął jeszcze jedną próbę przekonania garbusa:

- Jestem rurarzem i przez całe życie nim byłem. Garbus tylko splunął. Kroni nie mógł dojrzeć twarzy człowieka, który podszedł, bo latarka świeciła mu prosto w oczy.

- Co się dzieje? - zapytał nowo przybyły. Głos miał chrapliwy i wysoki.

- Złapaliśmy jednego - powiedział garbus. - Teraz zastanawiamy się, co z nim zrobić.

- Muszę się dostać do inżyniera Razięgo - powiedział Kroni. - Natychmiast. Mam ważne wiadomości.

- Możesz te wiadomości przekazać mnie.

- Nie, tylko jemu. Wiadomości są niezwyklej wagi.

- Inżyniera Razięgo tu nie ma - powiedział mężczyzna z latarką.

- Nieprawda! - wykrzyknął Kroni. - Jeśli mi nie wierzycie, to przekażcie mu, że przyszedł rurarz Kroni. On mnie zna. Powiedzcie mu to, a ja poczekam.

- Taki z niego rurarz, jak ze mnie szef policji - powiedział garbus. - Nie wierz mu, techniku Dziń. Ten facet zapomniiał zdjąć mundur.

- Poczekaj - przerwał mu mężczyzna z latarką. - Mówisz, że nazywasz się Kroni? Skąd znasz inżyniera Razięgo?

- Byłem w jego grupie na Biesiadach.

- Taak - przeciągnął człowiek z latarką, wciąż rzucając snop światła na Kroniego. - A czy wiesz, że policja aresztowała całą tę grupę i że tylko inżynierowi Razięmu udało się uciec.

- Wiem - powiedział Kroni. - Byłem tam. Mnie też wzięli, ale udało mi się wydostać na wolność.

- Uciekłeś Gliździe?

- Po co w ogóle go słuchasz, techniku! - oburzył się garbus. - On ci zaraz powie, że potrafi latać albo przechodzić przez ściany... Też mu w to uwierzysz?

- Spokojnie, wartowniku - powiedział technik Dziń. - Ja też wiem, że od Gliźdy nie da się uciec.

- Ale ja muszę zobaczyć się z inżynierem Razim! - powiedział Kroni. - Jeśli chcecie, możecie mnie związać. On mnie pozna.

- Inżynier nie ma czasu na cackanie się z policyjnymi szpiegami - uciął technik. - Zamknijcie go!

Promień latarki ześlizgnął się z oczu Kroniego, który przez wirujące tęczowe kręgi zobaczył, jak technik odwrócił się na pięcie i szybko odszedł.

- Zaczekaj! - krzyknął za nim Kroni. - Zawiadom Raziego, bo będzie za późno! Za godzinę zacznie się oblawa!

- Co? - promień latarki wrócił i z daleka odszukał twarz Kroniego. - Co powiedziałeś? Skąd to wiesz?

- To pewna wiadomość! Zawołaj natychmiast Raziego!

- Chce nas zastraszyć - powiedział ze złością technik. - Myślałem, że posiedzisz sobie spokojnie w celi, ty draniu!

Rzucicie go do szybu, ale najpierw zwiążcie mu ręce, jak prosił, żeby nie mógł złapać się za jakąś kłamrę.

Twarz technika zbliżyła się i Kroni dostrzegł w niej jedyne gniewnie rozplamione oko obramowane czarnymi, prostymi włosami. Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Nie warto było mówić do tego człowieka.

Spróbował wyciągnąć paralizator, ale garbus był szybszy. Złapał go za łokcie, a młodzieniec wyrwał broń z unieruchomionych rąk Kroniego.

- Miał pistolet - powiedział z ulgą młodzieniec, jakby przedtem nie był zupełnie pewien swoich racji.

- Daj mi to! - rozkazał technik Dziń. - Wykończę go. Młodzieniec wahał się.

Wówczas Kroni nabrał powietrza w płuca i krzyknął rozpaczliwie:

- Razi! Raziii!

- Zatkaj mu gębę! - jednooki rzucił się na Kroniego. Echo przetoczyło się tunelem: "Raaaziii...".

Rzucili się we trzech na Kroniego i na szczęście zupełnie zapomnieli o paralizatorze. W dodatku byli rozwścieczeni i o ile jednooki technik zachował jeszcze odrobinę zimnej krwi, to dwaj pozostali przeszkadzali mu, płatali się nawzajem pod nogami, sapali, kłęli i warczeli. Dzięki temu Kroni nie tylko nieźle się bronił, ale w dodatku zdołał jeszcze raz krzyknąć.

Kroków nie usłyszał, ale okrzyk: "Przestać!" - usłyszeli wszyscy.

Kłęb ciał rozpadł się i Kroni wstał z ziemi ostatni, podtrzymując oberwany rękaw i usiłując sprawdzić po omacku, czy ocalało coś z wyposażenia pasa i czy nie pękły poduszki na plecach i piersi.

- On ma na sobie żelazną kamizelkę - powiedział z przekonaniem garbus. - O mało sobie palców nie połamałem.

W uchu Kroniego rozległo się głębokie westchnienie. Spróbował domyślić się, kto na Górze westchnął z taką ulgą i lekko się uśmiechnął.

- Jeszcze się śmieje! - powiedział oburzonym basem młodzieniec, któremu z nosa ciekła krew.

- Co tu się dzieje? - zapytał inżynier Razi. Za jego plecami stało kilku ludzi, obdartych, brudnych i rozczochranych. Najwidoczniej dopiero co musieli dźwigać kamienie.

- Złapaliśmy szpiega. Technik Dziń kazał go wrzucić do szybu, a on się nie daje - zameldował garbus.

Technik Dziń trzymał się za pierś i próbował głębiej odetchnąć. Razi rozglądał się dokoła krótkowzrocznymi oczami:

- Gdzie ten szpieg? - zapytał i dopiero wtedy spostrzegł Kroniego. - To ty? - zdumiał się.

- Ja. Nie chcieli mnie do ciebie puścić, inżynierze.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział inżynier. - Nie przypuszczałem, że jeszcze żyjesz.

- Inżynierze, muszę natychmiast z tobą porozmawiać. W cztery oczy.

Młodzieniec podał pistolet Kroniemu, ale zwrócił się do inżyniera:

- On był uzbrojony.

- Chodźmy do mnie - powiedział Razi. - Tu nie jest odpowiednie miejsce na rozmowy.

- Ja bym na twoim miejscu mu nie ufał - wykrztusił wreszcie jednooki. - Jak on znalazł tę drogę?

- Spotkałem szczurołapa - powiedział Kroni. - On mi ją pokazał.

- A skąd cię ten szczurołap znał?

- Kiedy byłem rurarzem, spotykaliśmy się w tunelach. Pewnie mnie zapamiętał.

- Jednak lepiej wrzucić go do szybu - powiedział garbus. - Taki z niego rurarz, jak ze mnie pan Kalgar.

Inżynier Razi zajmował jeden z pokojów w korytarzu, w którym kiedyś Kroni znalazł książkę z planami podziemi.

Razi wszedł pierwszy i usiadł przy stole. Powiedział:

- Najpierw muszę podziękować ci, rurarzu, za książkę planów i pistolet, nie mówiąc już o całej reszcie.

- Robiłem to również dla siebie - odparł Kroni. Do pokoju wtoczyło się ze dwudziestu ludzi.

- Dawno stamtąd wyruszyłeś? - zapytał któryś z nich.

- Jakies półtorej godziny temu.

- A my siedzimy tu już czwarty dzień - powiedział mężczyzna o twarzy tak wąskiej, że oczy nie bardzo się na niej mieściły, więc nos widziany z góry był grubości kartki papieru.

- Mój zastępca - powiedział Razi. - Szewc Lodi.

- Cieszę się, że cię widzę - powiedział Lodi. - Razi mi o tobie wspominał. Robiliśmy zawały, żeby bronić się za nimi, kiedy przyjdzie policja.

- Proponuję, aby wszyscy wrócili do swojej pracy - powiedział Razi. - Zostaniemy tylko my: Dziń, Lodi i ja.

- Teraz będziesz mówił? - zapytał Razi, kiedy reszta opuściła pokój.

- Masz w oddziale człowieka ucho - odparł Kroni. - Będę rozmawiał tylko z tobą. A ty, z kim będziesz uważał.

- Nie ma wśród nas agentów Glizdy - oburzył się jednooki. - To ciebie nasłali.

- Moje wiadomości są bardzo ważne i pilne - powiedział Kroni.

- Nie zostawię cię z nim samego! - wykrzyknął jednooki. Kroni wydobył paralizator i położył go na stole.

- To zostanie u inżyniera - powiedział.

- Kroni ma rację - powiedział nagle Lodi. - Razi nam wszystko później opowie, a my mamy swoją robotę.

- A jednak... - zaczął jednooki.

- Chodźmy - Lodi wziął go za ramię i poprowadził w stronę drzwi.

- Nie ufaj mu, inżynierze! - zdążył krzyknąć Dziń od progu, zanim Lodi wypchnął go na korytarz i starannie zamknął drzwi za sobą.

- No więc zostaliśmy sami - powiedział inżynier. - Bardzo się zmieniłeś, Kroni. Gdzie byłeś?

- Wszystko ci opowiem, ale najpierw powiem rzecz najważniejszą. Dowiedziałem się od młodego Spela, że mniej więcej za godzinę Glizda rozpocznie oblawę. Masz mapę tego poziomu?

Razi bez słowa położył przed nim plan.

- Zawołam Dżinia. On dawniej był strzałowym w kopalni.
- Zawołaj lepiej Lodięgo.
- Dlaczego? - Inżynier uniósł głowę i mrużąc powieki zajął Kroniemu w oczy.
- W waszej grupie jest agent, jednooki i czarnowłosa. Masz jeszcze jakiegoś innego człowieka z jednym okiem?
- Jednooki?... Według mnie... To niemożliwe!
- Chciałbym się mylić, inżynierze, ale lepiej nie ryzykować. I jeszcze jedno. Kiedy prosiłem, żeby mnie do ciebie zaprowadził, Dżiń chciał mnie zamknąć, ale jak tylko powiedziałem, że Glizda zaczyna oblawać, postanowił mnie zabić. Możesz zapytać wartowników.

- Zgoda. Lepiej nie ryzykować.
Razi wyrzucił na korytarz i zawołał Lodięgo. Potem w dwóch słowach przekazał mu treść rozmowy z rurarzem.
Lodi w żaden sposób nie okazał swojego zdenerwowania lub niewiary.
- Powiem jednemu z moich chłopców, żeby miał oko na Dżinia. A co się tyczy oblawy, to trzeba wysłać część ludzi na wyższy poziom, żeby zaszli policjantów od tyłu. My na razie będziemy trzymać się tutaj.

Lodi wyszedł.
- Muszę być z nimi - powiedział Razi.
- Poczekaj. To, co ci powiem, jest ważniejsze. Daj mi dziesięć minut czasu.
Wystarczyło osiem.
Razi ani razu mu nie przerwał. Postukiwał tylko ołówkiem po blacie stołu, a potem położył paralizator na kartce papieru i zaczął go obrysowywać, zupełnie, zda się, pogrążony w tym bezmyślnym zajęciu. Czasem za drzwiami rozlegał się tupot kroków, potem odgłos wleczenia czegoś ciężkiego. Gdzieś w oddali wybuchały krzyki, strzał - i wszystko znów ucichło.

- Jesteś szczęśliwym człowiekiem, Kroni - powiedział Razi, kiedy opowieść rurarza dobiegła końca. - Chciałbym być na twoim miejscu.

- Potrzebujesz dowodów, inżynierze? - zapytał Kroni.
- Nie.
Lodi otworzył gwałtownie drzwi i stanął w progu.
- Dżiń uciekł. Ogłuszył mojego chłopaka i uciekł. Nasi pogonili za nim, ale chyba spóźnili się.
- Szkoda - odparł inżynier. - Technik bardzo dużo wie.
- Owszem - przytaknął Lodi. - Wie, jak są rozmieszczeni nasi ludzie.
- Czy twój człowiek już wrócił z fabryki?
- Jeszcze nie. Wszystkich tkaczy zapędzili do hali produkcyjnej i zamknęli.
- Jest nas bardzo niewiele - powiedział Razi do Kroniego. - I broni mamy o wiele mniej niż policja.
- Ale za to teraz mamy się gdzie wycofać - powiedział Kroni.
- Lodi - zwrócił się inżynier do swego zastępcy. - Kroni był w Mieście na Górze. Tam można żyć. Tam są rośliny, świeże powietrze, woda i światło.

- Mówisz prawdę? - zapytał krótko Lodi, który w ogóle był małowmny.
- Tak - odparł Kroni. - Byłem tam i zostawiłem tam przyjaciół, którzy pomogą nam, jeśli wydostaniemy się na powierzchnię.

- A dlaczego oni nie mogą zejść na dół? Dlaczego nie wytluką policjantów i nas nie wyzwolą?
- Oni są tu obcy - wyjaśnił Kroni - i nie znają naszego miasta. Gdyby wszystko było jak dawniej, nie musielibyśmy się spieszyć. Pomagalibyśmy ludziom wydostać się z miasta tak, aby Dyrektorzy i policjanci nie mogli ich złapać. Ale teraz jest na to za późno. Zaraz zacznie się bitwa, więc nie mamy czasu na tłumaczenie.
- Powiem to swoim ludziom - zdecydował Lodi. - Łatwiej im będzie walczyć, jeśli się dowiedzą. Siedzimy tu już piąty dzień i czekamy, aż nas wytluką jak szczury. A to dlatego, że nie mieliśmy dokąd uciekać.

- Dobrze - powiedział Razi. - Ale najpierw musimy pokonać policjantów.
- Przepraszam - wtrącił się Kroni - Lodi powiedział, że skieruje część ludzi na wyższy poziom, żeby uderzyli na policjantów od tyłu. Może wszyscy powinniśmy wycofać się tą samą drogą?

- Lodi, zawołaj tu wszystkich starszych grup. Naradzimy się.
Nie zdążyli tego zrobić.
Z mroków odległych tuneli dobiegły, wypełniając wąskie rury szybów i korytarzy, dudniąc na placach miasta Przodków, gęste odgłosy strzałów. Policja ruszyła do ataku na podziemny obóz powstańców.

Kroni ukrył się za niską barykadą i starał się strzelać w rozbłąski strzałów.

Za zakrętem korytarza rozległy się krzyki. Światło lało się zza rogu, jak z otwartych drzwiczek pieca. Policja ustawiała tam reflektor. Znajoma rozczochna dziewczuszka podbiegła do niego, pochylając się nisko, żeby pozostać pod osłoną barykady.

- Cześć - poznał ją Kroni. - Też ci się udało uciec?
- Pewnie! - odpowiedziała z dumą w głosie. - Oni pomyśleli, że jestem głupia. Pan inżynier kazał strzelać do ich wielkiej lampy.

Już w pierwszych chwilach walki stało się jasne, jak wielką przewagę mają policjanci - wprawni w posługiwaniu się bronią i wyćwiczeni w oblawach. Powstańcy strzelali chaotycznie i łatwo wpadali w panikę.

Barykady w bocznym przejściu nie zdążyli dokończyć i zaporą z rzuconych w poprzek korytarza kamiennych bloków sięgała co najwyżej do pasa, a i to nie wszędzie. Reflektor celował w kamienie i oślepił zaskoczonych, zdeorientowanych obrońców. Lodi siedział skurczony w ściennej niszy i podtrzymywał lewą ręką pokrwawioną prawicę. Drgnął i skrzywił się boleśnie w promieniu latarki Kroniego.

- Trzeba cię opatrzyć - powiedział Kroni.
- Nie ma na to czasu, a poza tym nie ma czym. Słyszysz? Ktoś jęczał przeciągle w ciemności, jakby wyśpiewywał modlitwę.

- Nie możesz rozbić reflektora? Pewnie jest kuloodporny. Trafiłem go, a on ciągle świeci.
- Mój paralizator tu nie pomoże - odpowiedział Kroni. - Macie coś cięższego?

- Sprawdź tam.

Lodi wskazał otwarte drzwi do pokoju.

Kroni zajął do środka i zobaczył stos broni i skrzynki z nabojami. Garbus stał z boku i ważył w rękę szeroki nóż.

- A, rurarz - powiedział i uśmiechnął się krzywo na widok Kroniego. - Taki z ciebie rurarz, jak ze mnie...

- Daj spokój - przerwał mu Kroni. - Lepiej pomóż mi znaleźć to, co potrzeba. Zdejmij lampę z półki. Garbus usłuchał.

- Widzę, że cię oszczędzili - powiedział, zbliżając lampę do sterty broni.

- Dobrze widzisz. Szkoda tylko, że się nie poznali wcześniej na twoim przyjacielu.

- Jakim znów przyjacielu?

- Jednookim.

- Zostaw technika w spokoju! - warknął garbus. - On jest z mojego kwartału.

- Twój technik uciekł. To człowiek Glizdy. Trzymaj tę lampę! Jak nie wierzysz, to zapytaj Lodię albo inżyniera.

- Jeszcze nie wiadomo, kto jest czym człowiekiem - powiedział garbus. - Ja technika znam, bo od dawna jest z nami, a ty dopiero co przyszedłeś. - Garbus nie chciał wierzyć, bo to znaczyło zwątpić we własną ocenę ludzi. A skoro się zwątpi w siebie, to jak wierzyć innym?

Kroni nareszcie znalazł karabin z grubą lufą. Broń była nabita. Może się nada.

- Pomóż mi to zanieść pod barykadę - rozkazał Kroni.

Garbus znów posłuchał i chwycił karabin za ciężkie nóżki. Kroni ustawił broń i wycelował.

Reflektor świecił w oczy jak słońce, ale tu nikt poza nim nie oglądał słońca...

Rurarz strzelił w sam środek słońca, które rozbłysło jeszcze jaśniej, rozprysło się po ścianach tunelu, a jego środek jarzył się przez moment ciemną czerwienią, jakby umierał w nim kręty ognisty robak.

Na chwilę zapadła cisza. Potem zza barykady rozległy się przekleństwa, a Lodi powiedział:

- Możemy teraz trochę odetchnąć.

Kroni strzelał raz po raz i skądś zza kamieni pojawili się inni obrońcy barykady - co najmniej dziesięciu, jeśli sędzić po liczbie rozbłysków strzelającej broni. Kroniemu wydało się, że słyszy cichnący tupot kroków: policjanci się wycofywali.

Zostawił ciężki karabin przy barykadzie, a sam odczołgał się do Lodię.

- To ty? - zapytał Lodi. - Ręka mnie boli. Dziwne, z początku tylko piekła, a teraz boli.

- Nie masz go czym opatrzyć? - zapytała Anita widząc na ekranie oświetloną latarką bladą, spoconą twarz Lodię.

- Nie - powiedział Kroni. - Nie mamy lekarzy. Lodi nie słyszał i mówił dalej:

- Moi tkacze powinni już dawno powstać i zejść od tyłu. Jeśli coś im się przydarzyło, nigdy się stąd nie wydostaniemy. Policjanci spychają nas w zasadzkę. Tutaj jeszcze się trzymamy, ale był człowiek od Razięgo i mówił, że muszą się wycofywać.

- Wobec tego zabiorę tam karabin - powiedział Kroni. - Może im jest potrzebniejszy?

- Poczekaj. Inżynier ma więcej ludzi. Ma też górników, którzy lepiej umiemy obchodzić się z bronią. Gdzie się podzieli nasi?

W tunelu panowała cisza. Tylko że trudno było oddychać w tumanach kurzu i dymie. Ktoś przeraźliwie rozkaszał się w ciemności.

- Zaraz znowu zaczną - powiedział Lodi. Podszedł garbus.

- Zostawiłem tam to żelastwo - powiedział. - Chciałem cię uprzedzić, że trzech uciekło.

- Do policjantów?

- Nie, do tyłu. Jeśli policjanci uderzą, to zostało nas najwyżej sześciu.

- Nie podoba mi się ta cisza - powiedział Kruminsz. - Zobacz, Kroni, czy policjanci nie podchodzą pod barykadę.

Kroni zrozumiał, że nieprzyjemne przecucie, które go opanowało, udzieliło się również Kruminszowi. Podbiegł do barykady, przykucnął za nią i odstawivszy latarkę na długość wyciągniętej ręki, zapalił ją. Latarka świeciła bardzo jasno i jej promień prawie się nie rozpraszał.

Kruminsz miał rację. Tuż przed Kronim - tak blisko, że można było dojrzeć wyszczerzone w napięciu zęby i każdą rzęsę oczu - promień natknął się na twarz policjanta.

- Strzelajcie! - krzyknął Kroni. - Strzelajcie.

Spróbował wymacać na ziemi ciężki karabin, ale go nie znalazł, a zanim wyciągnął paralizator, policjanci byli już przy barykadzie.

Potem była walka wręcz i strzały. Ciężkie cielsko zważyło się na Kroniego i zaczęło go dusić. Bronił się, zdążył raz wystrzelić z paralizatora i wyrwał się z łap policjanta, ale zgubił latarkę. W ciemności był zupełnie bezradny, więc wtulił się w ścianę, starając się zorientować, gdzie są swoi, a gdzie wrogowie, ale nic z tego nie wyszło: jedni i drudzy krzykali jednakowo i jednakowo jęczeli.

- Kroni! - zawołał go Kruminsz. - Okulary!

- Jakie okulary?

- Masz okulary, przez które możesz widzieć w ciemności. Są w pasie, jeśli ich nie zgubiłeś.

Zeby tylko się nie stłukły! Jak mógł o nich zapomnieć? Przecież przymierzał je i wypróbowywał w laboratorium u Takasiego, cieszył się z przyszłej przewagi nad innymi...

Wymacał okulary. Ktoś przemknął obok niego, zwałił się na podłogę, zawył. Okulary były całe. Kroni nasadził je na nos, a elastyczna taśma objęła mu potylicę. Ciemność przekształciła się w mroczne piekło, w którym wolno kołysały się cienie, a z kłębówiska ciała wyrывała się co chwila jakaś postać i padała na posadzkę albo rzucała się z powrotem w walczący tłum, choć nie wiadomo było, w jaki sposób ci ludzie rozróżniają swoich i obcych.

Kroni uniósł paralizator. Nie spieszył się. Miał w zapasie jeszcze wiele sekund, a może nawet parę minut. W ciemności policjanci utracili swą główną przewagę... Zauważył jednak dwóch policjantów w hełmach, którzy wdrapali się na barykadę, ciągnąc za sobą niewielki reflektor. Wystrzelił.

Jeden z policjantów niosący reflektor - szary cień w jasnym hełmie - upadł. Drugi nie zorientował się, co zaszło, nie zdołał utrzymać sam reflektora i również, jakby sparalizowany wystrzałem, zwałił się na barykadę z takim łomotem, że zagłuszył na moment ggieł walki. Kroni widział, jak ocalały policjant macał w ciemności rękami i widocznie wołał

kolegę, ale jego głos nie dotarł do niego. Kiedy zauważył, że ręka policjanta sięga do pasa po latarkę, wystrzelił jeszcze raz.

Podszedł bliżej do kłębowiska ciał, żeby strzelać na pewniaka. Największa przewaga paralizatora nad jakąkolwiek bronią polegała na tym, że wystarczyło trafić w jakąkolwiek część ciała, aby ofiara natychmiast straciła przytomność.

- Jeden - liczył Kroni na głos. - Drugi, trzeci, czwarty...

Zza barykady trysnęło światło kilku latarek. Nadbiegała policyjna odsiecz i w każdej chwili Kroni mógł utracić swą przewagę. Kilka razy strzelił w stronę barykady, ale chybił. Kula lekko pacnęła go w pierś, ale poduszka ochronna odrzuciła pocisk. Tuż obok przebiegł, z wyciągniętymi przed siebie rękami, jeden z tkaczy. Kroni pojął, że pozostali, wszyscy lub prawie wszyscy, pójdą za jego przykładem.

Ludzie z Góry niczego nie podpowiadali. Co zresztą można radzić, jeśli na ekranie widać jedynie niewyraźne kłębowisko cieni?...

Kroni odskoczył pod ścianę, bo zza barykady dobiegła gwałtowna kanonada, a potem krzyk:

- Jesteśmy otoczeni!

Odgłosy strzałów, krzyki i tupot wielu nóg zbliżały się i już policjanci, broniąc się rozpaczliwie, cofali się ku barykadzie. Dziwna rzecz: tkacze, technicy i kanceliści, którzy dopiero co gotowi byli uciekać na złamanie karku, teraz spychali policjantów na nierówną ścianę zbliżających się latarek.

Trzech policjantów wzięli do niewoli. Związali ich i posadzili pod ścianą, gdzie leżało ciało Lodiego. Twarz szewca była rozrębana tasakiem, jedno oko było otwarte i patrzyło na otaczających go towarzyszy z niemym wyrzutem. Garbus wysunął się z tłumu, pochylił nad nim i zamknął powiekę.

Niemal wszyscy obrońcy barykady byli ranni. Kroni przejął dowodzenie. Posłał garbusa do Raziego, żeby dowiedzieć się, co tam u nich, a reszcie kazał sprawdzić i załadować broń.

Rozczochna dziewczuszka też przeżyła.

- Wujaszku - powiedziała do Kroniego, wczepiwszy mu się w rękaw. - Mogę zdjąć policjantowi buty?

- Przecież będą dla ciebie za duże! - powiedział Kroni, zerkając na jej małe białe buty, które dotąd nie znały obuwia. - Zdejmuj, zdejmuj - mruknął. Trzewiki były dla niej symbolem. I chociaż wydawało mu się z początku, że ludzie będą się z dziewczynki śmiać, to jednak nikt nawet się nie uśmiechnął.

Po jakichś dziesięciu minutach wrócił zadyszany garbus. Na dźwięk jego kroków wszyscy zamarli. Czekali.

- Wszystko w porządku - powiedział garbus, mrużąc oczy w świetle kilku latarek. - Razi woła do siebie rurarza Kroniego. Jeśli ty, rzecz jasna, jesteś rurarzem...

Tym razem garbus szeroko się uśmiechnął, pokazując rzadkie, czarne zęby.

- Obejmiesz tu za mnie dowództwo - powiedział do niego Kroni. - Pamiętaj, żeby postawić pięciu ludzi przy barykadzie. I spróbuj ustawić reflektor. Czy są tu jacyś elektrycy?

- Ja jestem elektrykiem - odezwał się ktoś z ciemności.

- Niech reflektor oświetla tunel przed barykadą. Oni mogą znowu ruszyć.

Do Kroniego przyczepiła się dziewczynka, która głośno szurała trzewikami, żeby ich nie zgubić.

Razi czekał na Kroniego przed drzwiami swego sztabu.

- Jak sądzisz, zaatakują znów z twojej strony?

- Teraz chyba nie. Glizda może nawet nie wiedzieć, co się stało, bo z tamtego oddziału nikt poza jeńcami nie ocalał. Nie potrzebujecie broni? Mamy wiele zbędnej. Odebraliśmy policjantom.

- Nie, broni jest dość. Mamy tu solidne zawały, nie to co z tamtej strony.

- Aż góry? Z dołu?

- Próbowali. Była eksplozja. Ale między poziomami jest w tym miejscu około pięciu metrów skały. Na razie im się nie udało.

Myśliwy wyszedł ze ściany obok nich. Był tak mały i cichy, że Razi i Kroni nie od razu go spostrzegli.

- Zaprowadzimy was - powiedział. - Tam gdzie siedzi Glizda.

- Jak się tu znalazłeś?

- Drogi myśliwych są ich odwieczną tajemnicą - odparł krótko szczurołap. - Cieszę się, Kroni, że szczęśliwie dotarłeś na miejsce.

- Dziękuję za dobre słowo - odparł Kroni. - Ilu mam wziąć ludzi?

- Weź tych, którzy bronili barykady - powiedział Razi. Kroni z Razim położyli sobie pożegnalnym gestem dłonie na ramionach.

- Jeśli się nie uda - powiedział Razi - wyprowadź ludzi na Górę.

Kroni wrócił pod swoją barykadę. Za nim szedł mały myśliwy, a na końcu dreptała dziewczynka.

- Weźmiesz mnie ze sobą? - zapytała.

- Nie - odpowiedział Kroni. - Twoje trzewiki bardzo głośno stukają, a my musimy iść cicho.

Wybrał dziesięciu ludzi. Garbus zgłosił się sam. Stali teraz w promieniach reflektora, który oświetlał tunel na dobre sto kroków.

- Chcę wam powiedzieć - zaczął Kroni - że byłem na Górze. Tam jest wiele miejsca, dobre powietrze i dobra woda. Tam jest jasno...

Szczurołap poprowadził ich tajnym przejściem obok czarnych nisz, gdzie iskrzyły się zielone świetliki, przez biały stalaktytowy las. Po drodze przyczepiła się do nich zjawa, ale myśliwy ją odpędził. Potem znaleźli się w oświetlonym tunelu technicznym, gdzie znajdował się sztab policji.

Glizda nie dowiedział się, że jeden z jego oddziałów został całkowicie rozbity. Ale gdyby nawet dowiedział się o tym, zanim buntownicy dotarli do jego sztabu, też pewnie by w to nie uwierzył. Działanie każdego człowieka wypływa z jego życiowych doświadczeń i dlatego, choć Glizdę uwierała nieco świadomość, że buntownicy zdobyli broń, to nawet nie dopuszczał myśli o porażce. Na odwrót, wszystko zdawało się układać po jego myśli. Mekil od dawna uważał, że czas już najwyższy rozprawić się ze starymi grzybami w Radzie Dyrektorów. W tym celu należało ich najpierw nastraszyć, żeby sami błagali go o przejęcie władzy. Dyrektorzy są już wystraszeni. Teraz trzeba tylko dobić buntowników...

Glizda miał znakomite wycucie niebezpieczeństwa, podobne do instynktu szczurów, które wiedziały zawczasu, że do tunelu wtargnie woda lub lawa. Dopiero co siedział spokojnie z zamkniętymi oczami i planował swoje kolejne posunięcia, a teraz zerwał się na równe nogi...

Niedobrze. Coś jest nie w porządku...

Nic nie zwiastowało niebezpieczeństwa. Z oddali dobiegały głuche uderzenia - strzałowi bili otwory pod ładunki wybuchowe, żeby skruszyć strop nad miastem Przodków - kapąła woda ze szczeliny w suficie, w przedsionku Spel klócił się o coś z oficerem dyżurnym.

Glizda szybko podszedł do drzwi i wyrzwał przez szparę. Cicho.

Nie miał ochoty uciekać, ale Glizda postanowił nie kusić losu. Otworzył drzwi i w odpowiedzi na pytające spojrzenia oficerów powiedział:

- Pójdę do saperów, bo coś grzebią się z robotą. W korytarzu stał jednooki Dziń, któremu już udało się zdobyć kask ochronny z latarką.

- Dziń - powiedział Glizda - zejdź na dół do oddziału pomocniczego. Jakoś długo nie mam od nich żadnych wiadomości.

Glizda nie czekał, aż technik skryje się w głębi korytarza, tylko od razu ruszył bocznym przejściem, na którego końcu pracowali saperzy.

Kroni ze swym oddziałem spóźnił się o jakieś pięć minut.

- Tutaj - powiedział szczurołap.

Kroni powstrzymał gestem pozostałych, otworzył drzwi i wszedł do sztabu szefa policji.

Siedzący w końcu i gadający coś do słuchawki policjant zerknął tylko na niego przelotnie i natychmiast się odwrócił. Spel i drugi oficer, pochyleni nad planami podziemia, nie zauważyli nawet, jak wszedł.

- Gdzie jest Glizda? - zapytał Kroni.

- Wyszedł - odparł Spel odruchowo, zanim zorientował się, że nikt nie śmie określać szefa policji jego obraźliwym przezwiskiem. Potem uniósł głowę i zdętywał: - Kroni?

Drugi oficer usiłował wyciągnąć pistolet z kabury.

- Nie rób tego - powiedział Kroni. - Nie jestem sam. Zabierzcie im broń.

Garbus podszedł do oficerów, którzy bez sprzeciwu oddali mu swe pistolety. Spel odwrócił się do Kroniego.

- Słuchaj, rurarzu... - powiedział.

- Z niego taki sam rurarz, jak i z ciebie, przystojniaczkę.

- Panie Kroni - wykrztusił Spel, dławiąc się ze wstydu, że musi się tak ponizac. - Kroni, błagam cię, zaklinam cię w imię mojej siostry. Nie odbieraj mi pistoletu. To broń mojego dziadka. Nie mogę bez niego żyć!...

- A ja nie mogę ci go zostawić - powiedział Kroni i zmieszał się, bo w swoim głosie dosłyszał cień przeprasającego tonu. - Nie wolno mi. Jesteś policjantem.

- Lepiej mnie zabij.

- Nie wolno - uciął Kroni. Słuchali go wszyscy ludzie znajdujący się w pokoju i stojący na korytarzu. Garbus tymczasem zajrzał do tylnego pokoju.

- Uciekł - powiedział.

- Dokąd Glizda poszedł? - zapytał Kroni oficera.

- Powiedział, że idzie do saperów.

- Kto zaprowadzi tam naszych ludzi?

- Ja - powiedział policjant siedzący przy rurze słuchowej. Zapomnieli o nim, ale on też zapomniał, że może przez rurę ostrzec Mekila. - Ja zaprowadzę. To niedaleko.

- Zostaw mi ze dwóch ludzi - zwrócił się Kroni do garbusa - i leć z nim do saperów. Dużo ich tam jest?

- Nie - policjant cieszył się, że go nie zabiją. - Tam jest tylko trzech policjantów, a reszta to technicy z kopalni.

- Oficerów zamkniecie w tylnym pokoju. Nie ma tam zapasowego wyjścia?

- Nie - odparł myśliwy stojący za plecami Kroniego.

- Kroni, błagam cię! - powiedział Spel. - Tylko dwa słowa. Drugi oficer bez sprzeciwu przeszedł do tylnego pokoju. Był zupełnie oszołomiony, bo takie rzeczy zupełnie nie mieściły mu się w głowie.

- Kroni, chcę porozmawiać z tobą sam na sam. Przecież wiesz, jak wiele z Gerą zrobiliśmy dla ciebie. Gdyby nie moja pomoc, już dawno byłbyś nieboszczykiem. Uwierz mi, że nie jestem twoim wrogiem.

Kroni nie uważał go za wroga, tylko za kogoś w rodzaju krewniaka, jeśli naturalnie rurarz może tak traktować dyrektorskiego syna. Spel był młodszym bratem, bratem nieudanym, głupim i wiarołomnym...

- Z przyjemnością zrobiłbym to dla ciebie - powiedział szczerze Kroni - ale broni nie mogę ci pozostawić, bo ci nie ufam. Jeśli nie zwyciężymy, z pewnością wrócisz do Glizdy. Zawsze będziesz czepiał się tego, kto jest silniejszy.

- Wyrzekasz się przyjaciela - powiedział Spel - i zwycięstwa. W ten sposób nas obu skazujesz na śmierć! - Odwrócił się gwałtownie i niemal defiladowym krokiem, wysoko unosząc kolana, ruszył do tylnego pokoju.

Smarkacz, pomyślał Kroni. Dzieciak bawiący się w wojnę... Nie domyśla się, że popełnia ciężki błąd, gdyż był przekonany o swojej słuszności. Ale ton Spela zaniepokoił Maksa Bielego.

- Co on mówił?

Kruminsz powtórzył mu groźbę młodego policjanta.

- Może to nie są czcze pogroźki? - zapytał Biely. Kruminsz wzruszył ramionami.

- Jeśli Kroni odda mu pistolet, to rzecz może się wydać podejrzana tym, którzy mu nie ufają. Przecież dla nich Kroni zjawiał się nie wiadomo skąd! A jeszcze ta dziwna znajomość z dyrektorskim synkiem...

Glizda zdążył uciec garbusowi i jego ludziom. Gnał go przed siebie strach, przecucie nieszczęścia, nieznanego i niespodziewanego niebezpieczeństwa kryjącego się w ciemnych zakamarkach korytarzy.

Zatrzymał się przy saperach może na trzy minuty. Robotą posuwała się wolniej, niżby sobie życzył, a starszy technik powiedział mu, że wybuch nastąpi za jakieś pół godziny. W przejściu było spokojnie i duszno, ale Glizda przykazał policjantom, aby nie pozwalali technikom odpoczywać.

Przecucie gnało go dalej, więc nie wrócił z zaułka tunelu do sztabu, lecz zatrzymał się przez chwilę na skrzyżowaniu, zastanawiając się, czy pójść w prawo, w kierunku grupy szturmowej, która piętro niżej atakowała barykady Razięgo, czy na lewo - na spotkanie jednookiego Dżinia.

Skręcił w lewo, bo losy drugiego oddziału nie dawały mu spokoju, prześliznął się wąskim przejściem między domami i w ten sposób rozminął się z oddziałem garbusa. Instynkt jeszcze raz go uratował.

- Dopiero co tu był - powiedział jeden z techników, kiedy ludzie garbusa rozbijali policjantów. - Kazał mi się spieszyć.

- I nie powiedział, dokąd pójdzie?

- A ty byś takiego zapytał?

Garbus odesłał do Kroniego wziętych do niewoli policjantów i postanowił zaryzykować. Uzbroił techników i poprowadził ludzi w stronę barykady Razięgo, żeby zaatakować policjantów od tyłu.

A Glizda przemykał się ciemnym tunelem, nie odważając się zapalić latarki i czując, że niebezpieczeństwo jest coraz bliżej. Zobaczył przed sobą dalekie światło, przykucał pod ścianą i wyciągnął rękę z pistoletem.

Światło zbliżało się wolno, a promień latarki błędził po ścianach, jakby niosący ją człowiek był bardzo wystraszony.

- Kto idzie? - zapytał Glizda. - Jeśli nie odpowiesz, strzelam!

- Pan Mekil! - dobiegł go głos. - To pan, panie Mekil?

- Ja.

Glizda wyszedł na środek tunelu. To był Dziń, któremu nie mógł okazać własnego strachu. Oni wszyscy człowieka się boją, są mu posłuszni, dopóki czują jego siłę.

- No i jak tam?

Glizda nie spodziewał się dobrych wiadomości.

- Nie ma ich.

- A gdzie są?

- Nie ma ich.

Dziń jakoś skurczył się i zapadł w sobie.

- Już myślałem, że pana nie zobaczę - wyjąkał. - Bałem się, że pana też już nie ma.

- Nie gadaj głupstw! - krzyknął na niego Glizda. - Mów jak człowiek. Rozbili buntowników? - Chyba nie.

- Co to znaczy "chyba nie?"

- Na barykadzie stoi reflektor i oświetla tunel. Nie da się podejść.

- To znaczy, że zdobyli barykadę.

- Nie, panie Mekil. Ja też z początku myślałem, że nasi są tam. Przecież tylko my mamy reflektory. Poszedłem tunelem, a oni zaczęli do mnie strzelać. Zaczęłem krzyczeć, że jestem swój, że idę do pana. A oni zaczęli się śmiać i rzucili mi ten woreczek. I powiedzieli, żebym zaniósł go panu, panie Mekil. Obrażali mnie i pana, panie Mekil.

Dziń zdawał się bredzić. W jego głosie kryła się błagalna prośba: "Panie Mekil, wszechmogący panie Mekil, niech pan powie, że to wszystko nieprawda, że to niemożliwe!"

- Daj mi to!

Dziń wyjął z kieszeni mały woreczek i podał go Glizdzie. Ręka mu drżała, bo woreczek był wypchany czymś ciężkim. Glizda rozwiązał go i na dłoń wysypała mu się garść znaczków identyfikacyjnych. Pięknych, połączonych znaczków policyjnych. Glizda zrozumiał i odrzucił znaczki, jakby go parzyły.

- Wszystko jasne - powiedział. - Zdrada! Nie był pewien, że śmierć policjantów była wynikiem zdrady, ale tak trzeba było powiedzieć...

- Odnajdziemy zdrajców i surowo ich ukarzymy! - dodał po chwili.

- Tak jest, panie Mekil! - wykrzyknął radośnie Dziń, którego uspokoiły te słowa, a zwłaszcza ich ton.

Dziń nie zastanawiał się, dlaczego szef policji skrada się w pojedynkę ciemnym korytarzem. Musiał mieć do tego jakiś powód, ważny, ale niepojęty dla zwykłego agenta.

Glizda odwrócił się i razem z Dżiniem ruszył z powrotem do sztabu.

- To są idioci - powiedział. - Dzięki zdradzie rozbili jeden z naszych oddziałów, ale zamiast dalej atakować, schowali się za barykadą.

Dziń posłusznie przytaknął.

- Nie znają zasad prowadzenia wojny - ciągnął Glizda - bo nikt ich tego nie nauczył. Wystarczy działać szybko, a wtedy łatwo sobie z nimi poradzimy.

Glizda nie wierzył w to, co mówił, ale Dziń wierzył, bo chciał wierzyć.

- Stój! - powiedział Glizda. - Słuchaj.

Tunelem prowadzącym do sztabu szedł bez pośpiechu tkacz, pędząc przed sobą wziętych do niewoli policjantów. Szli sobie i rozmawiali, a właściwie mówił konwojent, a jeńcy okrzykami wyrażali swe zdziwienie lub aprobatę tego, co im opowiadał.

- ... I tam, na Górze, nasi ludzie już byli i wszystko sprawdzili. No więc tam, na Górze, jest tyle światła, że nie potrzeba żadnych lamp. Tam zawsze jest ciepło i stoją domy. Po jednym dla każdego chętnego. A w każdym jest łóżko i kocioł kaszy na początek. A jak człowiek chce...

Głos konwojenta, który fantazją uzupełniał i upiększał opowieść Kroniego, dobiegał tak wyraźnie, jakby mówiący stał obok. Glizda z Dżiniem słuchali go nie śmiejąc nawet odetchnąć.

Potem Dziń zaczął unosić rękę z pistoletem, ale Glizda go powstrzymał.

- Narobisz hałasu - wyszeptał. - Niech lepiej przejdą. Nie powinni wiedzieć, że tu jesteśmy.

To była katastrofa. Zniknięcie jednego z oddziałów szturmowych mogło być wynikiem jakiegoś pechowego zbiegu okoliczności. Ale jeśli nie ma saperów i jeśli konwojent tak spokojnie idzie korytarzem obok sztabu, to już koniec. Został jeszcze oddział przed barykadami Razięgo. Jeśli został. - Teraz jednak należało dotrzeć do ludzi z zasadzki, którzy nie brali udziału w walce i czekali, aż uciekający powstańcy wpadną w pułapkę. Od tego zależały dalsze plany. Jeśli Glizda zdoła wyprowadzić na górne poziomy tamtych policjantów, to jeszcze nie wszystko stracone. A tutaj... Tutaj walka już się skończyła. Glizda usiłował pogodzić się z tym, z czym nigdy godzić się nie chciał - z losem. Nie wierzył w możliwość

kłęski, ale kiedy ta przyszła, dumny był w duchu ze swojego nosa, który uratował mu życie, i zaczął wszystko planować od początku. Był człowiekiem czynu.

- Dziś - powiedział półgłosem, kiedy głosy ucichły w oddali - Jeśli potrafisz zrobić to, o co cię poproszę, to obiecuje, że będziesz mieszkał na najwyższym poziomie. Będziesz miał własny dom i więcej bogactw niż Kalgar.

- Rozkaz, panie Mekil. Może pan na mnie liczyć.

- Weź ten klucz. To jest mój osobisty klucz. Przy dolnej windzie stoi oddany mi człowiek. Kiedy zobaczy ten klucz i usłyszy słowa: "Wysłaniec Boga Reda", pomoże ci dostać się na Główny Poziom. Tam przy drzwiach windy czeka inżynier. On też wie o kluczu. Powiesz mu, że Mekil powiedział "już czas". Zrozumiałeś?

- Tak jest, panie Mekil. Powiem strażnikowi "Wysłaniec Boga Reda", a inżynierowi na Głównym Poziomie, że powiedział pan "już czas".

- Leć. I pamiętaj, że zdrajców karzę śmiercią, a ludzi mi oddanych nagradzam tak, jak nie może nagrodzić nawet Rada Dyrektorów.

Dziś odwrócił się i ruszył pędem przed siebie. Gnał go strach przed wszechmocnym Mekilem i marzenie o własnym domu.

Glizda myślał o młodszym Spelu. Spel wiedział o Planie. Był jednym z dwóch oficerów dopuszczonych do tajemnicy. Drugi zniknął. Spel żył i był niepewny. W dodatku był zamieszany w sprawę zbiegłego rurarza, Kroniego. Spela należało usunąć. Najprawdopodobniej dostał się w łapy buntowników i będzie chciał kupić sobie życie. A ma za co je kupić.

Rozmyślając w ten sposób, Glizda skradał się tunelem, żeby bocznym przejściem wyminąć sztab i dostać się do korytarzy miasta Przodków. Wyłączył latarkę, żeby nikt go z daleka nie zauważył, przekonał się, że w korytarzu nikogo nie ma i postanowił przeskoczyć biegiem niebezpieczne miejsce. Ruszył z kopyta i dosłownie wpadł na Kroniego, który wszedł akurat zza rogu. Za Kronim biegł łącznik garbusa. Glizda stracił na moment równowagę, został oślepiiony i nie zdążył wyciągnąć pistoletu.

- To przecież sam pan główny policjant! - wykrzyknął uradowany tkacz, kiedy wraz z Kronim postavili niespodziewanego jeńca na nogi. - To przecież Glizda.

Tym razem instynkt zawiódł Glizdę. Trzykrotnie kusił los i w ten sposób wyczerpał limit szczęścia. Kroni nie posłuchał Kruminsza, który radził mu zamknąć Mekila oddzielnie. Nie miał czasu szukać jeszcze jednej celi. Kroni płynął na fali wydarzeń i inne sprawy, których znaczenie wyszło na jaw znacznie później, wydawały mu się teraz nieważne, bo od zwycięstwa dzielił go zaledwie krok.

Kiedy Kroni dobiegł do barykady, zobaczył, że policjanci zaatakowani z dwóch stron poddali się i zostali rozbrogieni, a na barykadzie podrygiwała jakaś rozczochrana stara kobieta ze strzelbą, wyśpiewując na cały głos nieprzyzwoitą piosenkę.

Policjanci byli zupełnie oszołomieni i bez oporu dali się zapędzić do obszernej niszy, gdzie ich zamknęto.

- Kroni! - wykrzyknął inżynier Razi. - Zwyciężyliśmy i to jest wspaniałe. Droga na Górę jest otwarta dla wszystkich!...

- Mam jeszcze lepszą wiadomość - powiedział Kroni. - Złapaliśmy Glizdę.

- Jak?

- Sam się złapał. Chciał uciec, ale wpadł na nas.

- Glizdę złapali - usłyszał ktoś i powtórzył na głos.

- Słyszycie, złapali samego Glizdę! Złapali waszego szefa - powiedział garbus do policjantów. - Teraz go rozgnieciemy jak glistę...

- Kroni, wracaj do sztabu - powiedział Kruminsz. - Jeśli Glizda ucieknie, możecie wszystko stracić.

- Nie ma dokąd uciekać - powiedział Kroni.

- Może uzbroić czystych i służbę. Czyżbyś myślał, że oni nie mają broni?...

- Idę już, idę, nie martw się - powiedział Kroni. - Staram się uspokoić samego siebie i dlatego się z tobą spieram.

Wróciłbym i bez twojego przypomnienia.

- Jeśli tak się spieszysz - powiedział Razi, zaczekawszy aż Kroni zakończy niezrozumiałą rozmowę z pustką - to później cię dopędzimy.

- Dobrze.

- Idę z tobą, wujaszku - powiedziała rozczochrana dziewczuszka, która jakimś cudem już tu dotarła.

- A buty? - Kroni spojrzał na jej nogi. Buty były na miejscu. Dzieciak na wszelki wypadek przywiązał je sobie drutem do nóg.

Garbus też poszedł.

- Mam okropną ochotę dołożyć Glizdzie - powiedział. - Marzę wprost o tym. Dawniej wcale o tym nie marzyłem. Co mi tam Glizda, kiedy bezpośrednio na karku miałem majstra. Ciągle tylko zastanawiałem się, jak by tu się na niego gdzieś zacząć i dołożyć...

Drzwi do sztabu były otwarte.

- Myśliwy! - zawołał Kroni.

Weszli do pierwszego pokoju. Był pusty.

Drzwi do wewnętrznego pokoju zastali otwarte, a w samym progu leżał martwy szczurołap. Złe przeczucia Kruminsza sprawdziły się...

Z głową wspartą na stole, z rękami wśród rozrzuconych planów i dokumentów leżał Spel.

Kroni podbiegł do niego. Spel dostał kulą w plecy. Z bliska, tak że mundur wokół otworu wlotowego był okopcony. Kroni dotknął głowy policjanta, bo wydawało mu się, że ten lekko się poruszył.

- Jednak uciekł ten sprytny szczur! - wykrzyknął zrozpaczony garbus. - Jak mu się udało zwabić myśliwego do środka? Myśliwi są tacy ostrożni...

- To moja wina - powiedział Kroni ponuro, zsuwając Spela na podłogę i siadając obok niego tak, aby położyć sobie jego głowę na kolanach. - Nie zrewidowałem go.

- Ech, rurarzu - powiedział garbus. - Ciągle musisz robić jakieś głupstwa.

Kroni lękał się, że tam, na Górze, będą się na niego gniewać. Ale oni milczeli.

Spel otworzył oczy. Otworzył je z trudem, niechętnie, jak człowiek obudzony w środku nocy. Zobaczył Kroniego, ale nie od razu go poznał. Potem zamknął oczy, znów je otworzył i powiedział:

- Przecież cię prosiłem...

Mówienie sprawiało mu ból, w gardle coś chrypiało i bułgotało. Garbus powiedział:

- Zaraz przyniosę wody. Oni mieli wodę w tamtym pokoju.

- Ja polecę - powiedziała rozczochna dziewczuszka. - Boję się. Oni tu wszyscy umarli.

- Kroni - powiedział Spel. - On strzelił mi w plecy. Nie odebrałeś mi pistoletu, a mnie odebrałeś... Kroni...

- Dlaczego do ciebie strzelił?

- Bo znam... znam...

Spel zamilkł.

Dziewuszka przyniosła wodę, ale policjant nie chciał jej pić.

- Boję się - powiedział. - Umrę. Nie porzucisz mnie tutaj? Nie rzucisz... Gery?

- Wyniesiemy cię na Górę - powiedział Kroni. - Tam są lekarze i lekarstwa. Nie zostawimy cię.

Spel starał się coś sobie przypomnieć. Zmarszczył czoło, ale nie z bólu, tylko dlatego, że umykała mu jakaś bardzo ważna myśl.

- Nie mogę umrzeć - powiedział. - Muszę zdążyć na Górę. Nie oszukasz mnie znowu?

- Nie - odparł Kroni.

- Zanieś mnie jak najszybciej na Górę... Glizda strzelał do mnie, bo znam Plan. On wysadzi ścianę na szóstym poziomie. Wysadzi...

Spel spuścił głowę i stracił przytomność. Leżał nieruchomo, tylko na szyi pulsowała mu niebieska żyłka. Kroni zrozumiał, że Spel to jeszcze zupełny smarkacz. Głupi smarkacz, który nigdy nie widział Słońca.

- Co się stało? Uciekł? W drzwiach stał Razi.

- Spel powiedział, że Glizda ma jakiś plan, że chce wysadzić ścianę na szóstym poziomie. Co to znaczy?

- Jak mu się udało uciec? - dopytywał się Razi, nie wierząc jeszcze w nieszczęście.

- Co może znaczyć wybuch na szóstym poziomie?

- Na szóstym? Mówisz, na szóstym?

- Tam nie ma wyrobisk? - zapytał Kroni garbusa.

- Nie, tam nigdy nie kopali.

- Spel! - Kroni starał się go ocucić. - Spel, na czym polega plan Glizdy?

Spel usiłował odpowiedzieć. Słyszał Kroniego i starał się mu odpowiedzieć.

- Woda... - wykrztusił wreszcie. - Woda.

- Ależ ze mnie głupiec! - wykrzyknął Kroni. - Głupi rurarz, który nie pamięta, że na drugim poziomie jest stare ujęcie wody. Woda musiała skądś płynąć... Tam może być jezioro. Spel, tam jest jezioro?

Spel był martwy.

- Co robić? - zapytał bezradnie inżynier Razi.

Górze? - Co robić? - powtórzył Kroni w języku Ziemi i ostrożnie położył głowę Spela na podłodze. - Mam wrócić na

- Weź się w garść, Kroni - powiedział Kruminsz. - Możesz połączyć się ze starszym Spelem?

- Znam jego numer.

- Powiedz mu o eksplozji. Powiedz też, że Glizda został pokonany.

- A jeśli zapyta o syna?

- Nic mu nie mów. Od tego, jak zachowają się dyrektorzy, może zależeć życie tysięcy ludzi.

- Dobrze - powiedział Kroni i wyszedł do zewnętrznego pokoju, gdzie była rura słuchowa.

- 888 - powiedział do operatora. - Chcę mówić z Dyrektorem Spelem...

Czekał jeszcze na połączenie, kiedy inżynier Razi dotknął jego ramienia.

- Spróbuję dostać się na szósty poziom - powiedział.

Glizdzie wciąż się wydawało, że jego ucieczka została wykryta i że pościg już za nim ruszył. Odgłos własnych kroków dudnił mu w głowie jak tętent pogoni. Biegł tak szybko, że był już za kolejnym zakrętem, kiedy echo kroków jeszcze nie ucichło w poprzednim korytarzu.

Spieszył się, bo musiał dotrzeć do zasadzki, zanim dotrą tam pogłoski o kłęsce. Glizda doskonale wiedział, że nie bardzo może liczyć na wierność swoich podkomendnych. Zresztą on sam już nie był tym samym panem Mekilem, który jeszcze rano, kierując oddział policji na dół, myślał o tym, co powie, kiedy wróci z wyprawy i wejdzie na salę posiedzeń Rady Dyrektorów.

W pewnym momencie zatrzymał się. Zrobiło się gorąco. Dręczyło go pragnienie. Postarał się przypomnieć sobie plan tego poziomu. Niedaleko powinna być Zielona Sala miasta Przodków. Za tą salą stoją reflektory, które miały oślepić uciekających buntowników i zamienić ich w stado przerażonych szczurów.

Jeśli Dzień dotarł do Głównego Poziomu, to za pół godziny zostanie wysadzony w powietrze kamienny masyw, oddzielający górne poziomy od gigantycznego podziemnego jeziora. Mekil przypadkowo odnalazł dokumenty na temat tego jeziora w bibliotece, nielegalnej bibliotece, którą jego ludzie wytopili w mieszkaniu pewnego starego inżyniera. Przed śmiercią inżynier zdążył jeszcze opowiedzieć o tym, jak dalece realne jest to zapomniane niebezpieczeństwo - masa wody zawisała nad miastem, która może zniszczyć wszystkie dobie poziomy, jeśli ktoś zdetonuje ładunki, umieszczone w skale przed setkami lat, kiedy generałowie rządzący podziemiem przewidzieli wszystko: nawet własną śmierć.

Zza rogu wypłynęła błękitna zjawy. Z początku Glizda nie pojął, co to za światło, ale gdy migotliwy słup zatrzymał się, jakby w niezdecydowaniu, Glizda zrozumiał, że to zjawy.

Glizda wiedział - każdy dzieciak to wie - że zjawy zwiastuje śmierć. Nigdy nie przychodziło mu do głowy, żeby sprawdzić prawdziwość tego wierzenia, podobnie jak nie podaje się w wątpliwość istnienia samej śmierci.

Spośród wszystkich mieszkańców miasta jedynie myśliwi i Kroni wiedzieli, że zjawy są głodne i proszą ludzi o jadło... Glizda widział, że widmo śmierci zastępuje mu drogę, ale wierzył jeszcze w swoją szczęśliwą gwiazdę i nie zrezygnował. Uniósł pistolet i strzelił do zjawy. Strzelił z bliska, żeby na pewno trafić i dlatego zobaczył wyraźnie, jak

błękitny słup światła drgnął przebity kulą. Zachwiał się, ale nie upadł, nie rozsypał się w proch. Zjawy mogła odczuwać ból, co wcale Glizdy nie zdziwiło, gdyż ból czują wszystkie stworzenia. Strzelił więc do zjawy, która cofała się dygocąc z bólu, a pociski przeszły ją i rozpląszczały się na ścianach tunelu.

Pistolet szczęknął głucho. Był pusty.

Mekil skoczył do przodu, wymijając drżącą zjawę i pobiegł dalej. Biegł wolno, bo był zmęczony niezwykłym dla siebie wysiłkiem i czuł z obrzydzeniem, jak kołysze mu się brzuch i trzęsą policzki. Nigdy przedtem nie złościł się na własne ciało. Ciało zostało mu dane od Boga i było wcale nie gorsze od innych, młodych i szczupłych, chociażby dlatego, że Glizda mógł w każdej chwili pozbawić właściciela takiego ciała jego wyższości nad szefem policji. Piękne ciała tak samo mogą zwijać się z bólu, jak i ciała brzydkie, stare i wstrętne.

Wydało mu się, że rozpoznaje tunel, który doprowadzi go do Zielonej Sali. Tunel był szerszy od pozostałych i gdzieś pod jego sufitem wisiały rozbite lub przepalone lampy. Ruszył przed siebie nieco szybszym truchtem i nagle zobaczył kilka zjaw. Może było ich pięć, może dziesięć... Trudno powiedzieć, bo zlewały się razem, tworząc migotliwe kule, po czym znów rozpadały się na pojedyncze słupy. Zjawy blokowały całą szerokość tunelu i sunęły ławą na Mekila. Najwyraźniej nie chciały go puścić dalej. Glizda nie wiedział, że rozstrzelana przez niego zjawy wkrótce upadła na ziemię, skurczyła się i zgasła, gdyż pociski rozerwały na strzępy delikatną tkanę jej ciała. Zjawy są niezwykle żywotne, ale Glizda władował w nią cały magazynek. Jęk umierającej zjawy, niesłyszalny dla człowieka, dotarł do reszty plemienia. Zjawy nigdy nie napadały na ludzi, gdyż spotykały się tylko z życzliwymi im myśliwymi, którzy nie robili krzywdy mieszkańcom ciemności. Ale Glizda był wyjątkiem.

Glizda zawrócił. Biegł tunelem, oglądając się co chwilę, żeby sprawdzić, jak daleko są zjawy. Ale one wcale się nie spieszyły. Kiedy znów się obejrzał, zobaczył coś tak dziwnego, że aż przystanął na moment.

Zjawy utworzyły pierścień, obejmujący całe światło tunelu, a w jego środku zostawiły czarny otwór, w którym nagle pojawiło się coś białego. Glizda wyteżył wzrok. Białe stworzenie wyskoczyło z otworu i pobiegło za nim. Wyciągnął kindżał i zaraz westchnął z ulgą. To był tylko szczur.

- Odejdź! - krzyknął i szczur posłusznie się zatrzymał.

Dalej szli w takim porządku, w jakim idzie procesja prowadząca skazańca do Otchłani. Z przodu włókł się skazańca, który nie miał już siły biec. Za nim kat, a na końcu widzowie i sąd...

Nad głową zamajaczył czarny prostokątny otwór.

Glizda stanął. Gdyby mu udało się tam dostać, prześladowcy zostaliby w dole.

Zatrzymała się również procesja.

Minęła może minuta, a Glizda wciąż jeszcze próbował wyszukać jakiejś nierówności w ścianie, żeby wdrapać się po nich na górę. Zjawom znudziło się czekanie i znów ruszyły do przodu...

Szczur podbiegł bliżej, jakby strasząc. Wyszczrzył zęby. Glizda nigdy nie widział takiego bezczelnego szczura. Machnął w jego stronę kindżałem, ale nie sięgnął.

Zjawy były coraz bliżej...

Glizda podskoczył i uchwycił się zardzewiałego haka, który kiedyś służył do zaczepiania kabli. Hak wytrzymał. Glizda podkurczył nogi, żeby znaleźć dla nich oparcie i dosięgnął ręką drugiego haka, wystającego ze ściany bliżej stropu. Nie zauważył, jak szczur podskoczył, usiłując wczepić mu się zębami w nogę, ale nie sięgnął i spokojnie usiadł na posadzce, uniósł do góry ostry pysk i niemal rozumnie obserwował, jeśli tak można się wyrazić o stworzeniu pozbawionym oczu, jego rozpaczliwą wspinaczkę.

Przez chwilę Glizda wisiał zaczepiony rękami o krawędź wjazdu i z pewnością by spadł, gdyby mu niechcący nie pomogła jedna ze zjaw: wyciągnęła w górę cienki wyrostek i dotknęła jego nogi. Silne wyładowanie elektryczne podziało jak bat. Glizda szarpnął się do góry, przeleciał przez krawędź wjazdu i znalazł się na następnym poziomie.

Leżał na posadzce i gorączkowo dyszał. Nie mógł jednak wylegiwać się tam bez końca. Jednooki jest już na Głównym Poziomiu i każdej chwili może nastąpić eksplozja. Jeśli będzie zwlekał, to nie tylko że nie wyprowadzi policjantów, ale i sam nie dotrze do windy...

Nad krawędzi wjazdu ukazał się szczyt zjawy. Jakby głowa bez ust i oczu. Zjawy szukała Glizdy.

ROZDZIAŁ 6 GINĄCE MIASTO

Sala posiedzeń Rady Dyrektorów była stara i od wielu lat nie remontowana. Nie odnawiano jej, żeby nie uszkodzić fresków na suficie. Freski wyblakły, pokryły się szarymi plamami, które przydały scenom batalistycznym dynamizmu i tajemniczości. Całe pokolenia Dyrektorów zasiadające pod plafonem przy stale tym samym, bardzo już zniszczonym masywnym stole, na twardych fotelach z wysokimi oparciami, często zwracały oczy ku górze, starając się odgadnąć znaczenie starych malowideł. Ale nazwiska triumfujących bohaterów i powalonych wrogów dawno już zostały zapomniane i freski przypominały jedynie o wspaniałej przeszłości, która dziś nie przekazywała już żadnych treści - podobnie jak głowa kamiennego posągu, poniewierająca się od niepamiętnych czasów na tyłach Domu Dyrektorów. Kiedyś była na tyle ważna dla ludzi, że zdecydowali się przenieść ją z powierzchni do podziemia. Potomkowie ich strzegli głowy, podobnie jak wyblakłych fresków, gdyż tradycje należy szanować.

A niby dlaczego trzeba je szanować? - pomyślał Spel, wchodząc do sali i obrzucając wzrokiem zebranych w niej Dyrektorów.

Wybrani z wybranych, którzy rządzą podziemnym miastem, zgromadzili się dziś po raz trzeci, co stanowiło z ich strony niesłychane zaiste poświęcenie. Najpierw groził im Glizda, a potem Spel zawiadomił ich o istnieniu Miasta na Górze. Zignorowali tę wiadomość. Lęk przed Glizdą był znacznie realniejszy niż Tamten Świat. Przekonywali się nawzajem, że Glizda nie odważy się uczynić nic złego, że Glizda jest swój, że jego ojciec był Dyrektorem i siedział na tym miejscu... nie, na tym... nie, dokładnie pamiętam, dokładnie pamiętam, że właśnie na tym!

Miejsce Glizdy było puste, bo zresztą prawie nigdy nie było zajęte w trakcie posiedzeń. Glizda wie, że Dyrektorzy nie lubią go, że się go boją. Poza tym ceremonialność posiedzeń śmiertelnie go nudzi.

Spel senior zatrzymał się u szczytu stołu i powiedział głośno, żeby przełamać udawaną obojętność zebranych:

- Ośmieliłem się zakłócić wasz spokój, szanowni Dyrektorzy, tylko dlatego, że otrzymałem niezmiernie ważne informacje.

Twarze obecnych zwróciły się w jego stronę. Dyrektorzy odłożyli ołówki i osobiste dzwoneczki - oznaki władzy. Ich spojrzenia ześrodkowały się na czerstwej twarzy Spela.

- Szef policji Mekil poniósł porażkę - powiedział Spel, po czym zrobił umyślnie długą pauzę. - Doniesiono mi, że skrył się, uciekł w nieznanym kierunku. Władzę na dolnych poziomach przejęli buntownicy, którymi dowodzi inżynier Razi i znany mi Kroni, który przyszedł z Miasta na Górze.

Spel widział, jak informacja wolno przesącza się przez grube czaszki Dyrektorów, którzy zaczęli się zastanawiać, co jest gorsze: władza Glizdy czy życie bez niego.

- A my? - zapytał Dyrektor Kopalń. - Co będzie z nami?

- To jeszcze nie wszystko - powiedział Spel i oparł się brzuchem o krawędź stołu, żeby zbliżyć się do pytających, rozszerzonych ze strachu oczu Dyrektorów.

- To jeszcze nie wszystko. Otrzymałem też inne informacje. Glizda postanowił wysadzić w powietrze zapórę między szóstym poziomem a podziemnym jeziorem.

- Co? - poderwał się Kalgar. - Przecież zatopi w ten sposób dolny poziom miasta!

- Właśnie - powiedział Spel.

- Idiota! - nie wytrzymał Kalgar. - Zgubi tysiące ludzi! Chce utopić wszystkich, którzy są na dole. Wymorduje własny naród. A kto będzie kopał rudę i tkał materiały? Kto będzie sprzątał, karmił, poił i oświetlał miasto? Kto będzie kupował w sklepach i czyścił rury?... Nie, to szaleństwo.

- Glizda zawsze był szaleńcem - powiedział Dyrektor Kabli. - Zupełnie nie przypomina swojego ojca. Ale co my możemy zrobić?

- Rozmawiałem z przywódcami spisku - powiedział Spel. - Oni powinni tu zaraz być.

- Tutaj?

- Tutaj!

- Boicie się ich bardziej niż Glizdy - zauważył Spel. - A tymczasem oni są dla nas znacznie mniej groźni. Jeśli potrafimy się z nimi dogadać, to zachowamy życie, majątek, a może i władzę.

- Spel ma rację - powiedział Kalgar. - Ci ludzie potrafią zachować się rozsądnie, jeśli tylko wykazemy pewną elastyczność.

- No więc wodzowie buntowników, a jeden z nich szczególnie, mianowicie inżynier Razi...

- Inżynier?

- Przestańcie mi przerywać! Wodzowie buntu uważają, że powinniśmy skłonić ludność dolnych poziomów, żeby stopniowo przechodziła w górę...

- A jeśli Glizda niczego nie wysadzi? - zapytał Kalgar.

W tym momencie rozległa się eksplozja.

Nastąpiła ona o wiele bliżej sali posiedzeń Rady Dyrektorów niż poziom, na którym znajdował się w tym czasie Glizda. Wydawało się, że pod nogami Dyrektorów ziemia się zapada. Światło zamigotało, a dobiegający z dołu łoskot był tak silny, że na chwilę wszystkich ogłuszył.

- To jest wybuch? - zdziwił się któryś z obecnych.

- Spóźniliśmy się - powiedział Kalgar. - Do ostatniej chwili miałem nadzieję, że nie odważy się tego zrobić.

- Przecież on pochodzi z takiej dobrej rodziny! Jego ojciec był Dyrektorem - powiedział Dyrektor Kopalń.

- Radzę - powiedział Spel - natychmiast włączyć Głos Władzy. A potem ratować się. Nie wiemy, czy ściany są tu wystarczająco mocne, żeby wytrzymać napór wody.

- Nie mogę uciekać! - wykrzyknął Dyrektor Kopalń. - Wszystkie moje klejnoty i cały dobytek został na dole.

Kalgar parsknął pogardliwie, wstał wolno z fotela i ruszył w stronę tylnego pokoju, niosąc przed sobą klucz, jak nakazywał wypracowany przed laty rytuał włączania Głosu Władzy.

Spel wyjął drugi klucz i poszedł za Kalgarem.

Pozostali Dyrektorzy wstali z miejsc. Tylko Dyrektor Kopalń, ogarnięty przerażeniem na myśl, że nie zdąży zabrać swoich skarbów, skoczył do wyjścia.

- Dokąd? - zapytał go surowo Dyrektor Generalny.

- A co się stanie, kiedy woda dotrze na ten poziom? - zapytało nieśmiało Dyrektor Kopalń.

- Woda będzie spływała w dół - rzucił przez ramię Kalgar. - Mamy jeszcze czas. Najpierw utoną ci z dołu - z elektrowni i kopalń.

Mekil z trudem wstał i ruszył przed siebie.

Wlókł się wolno korytarzami, zaglądał do nisz i wciąż miał nadzieję, że kogoś spotka, że spotka bodaj buntownika, ale jednak człowieka, a prześladowcy znów szli za nim i nie usiłowali dopędzić. Mieli czas.

Wreszcie Glizda zauważył wąskie przejście, zamknięte uchylonymi do połowy drzwiami. Natychmiast wśliznął się do środka. Ryzykował, że za drzwiami znajduje się ślepy zaułek, ale ślepo mógł się przecież kończyć każdy chodnik. Pobiegł przed siebie i po chwili znalazł się w pokoju przegrodzonym murem z nierównych głazów.

Koniec drogi.

Rozejrzał się dokoła i poczuł, jak zadrżała ziemia, jak głęboko westchnęły otaczające go ściany.

Zrozumiał, co to znaczy.

Zjawom udało się otworzyć drzwi, które za sobą zamknął i teraz zagradzały przejście błękitną rozedrganą kurtyną. Był w pułapce.

Szarpnął za kołnierzyk i guziki rozprysnęły się po posadzce. To były piękne i bardzo drogie guziki z górskiego kryształu... Wyszarpnął zza pazuchy sygnalizator na łańcuszku. Żeby tylko zdążyć. Nacisnął czerwony guzik i odrzucił niepotrzebny już aparat - jedyny w mieście. Wiedział, że na górze, w sztabie, gdzie czeka czterech agentów, zapaliła się czerwona lampka.

- To już wszystko - powiedział Glizda na głos.

Zjawy tkwiły w miejscu.

Glizda rozejrzał się jeszcze raz, żeby zobaczyć, jak wygląda miejsce, w którym przyjdzie mu umrzeć.

W kącie ciemniała sterta szmat. Glizda postąpił krok w tamtą stronę i oświetlił szmaty promieniem latarki.

Pod szmatami leżał człowiek. Nie wiadomo, kiedy umarł, ale w suchym powietrzu podziemia jego ciało nie zaczęło się rozkładać, tylko skurczyło się i zeschło. Leżał spokojnie i wyglądał jak pomnik, schowany pod szmatami przez jakiegoś dowiecownika. Glizda zaczął się gorączkowo zastanawiać, skąd zna tego mężczyznę. Bał się zostać przy zwłokach człowieka, którego życie i śmierć były chyba jakoś związane z jego własnym losem...

- Inżynier Lemeń - powiedział Glizda. - To ty, inżynierze?

- Trzeba koniecznie wystawić wartę przy naszej windzie - powiedział Dyrektor Kabli.

- Zatoszczę się o to - oznajmił Dyrektor Generalny.

Idiota, pomyślał Spel, podchodząc za Kalgarem do wewnętrznych drzwi i patrząc jak ten, starając się, żeby mu nie drżały palce, odryglowuje zamek.

Drzwi stały otworem.

Kalgar włączył aparaturę.

Pozostali Dyrektorzy stali za jego plecami i obserwowali, jak stopniowo nagrzewają się czerwone włoski lamp.

Kalgar odsunął się na bok, a Spel włożył swój klucz do otworu nad szeregiem przycisków. Odskokczyła mała klapka, za którą leżał mikrofon.

Wszystko było gotowe.

Dyrektor Kopalń wysliznął się z pokoju i na palcach ruszył do wyjścia.

I zginął pierwszy.

Czterej agenci Glizdy, wykonując jego ostatni rozkaz położyli go jedną salwą.

Pozostałych Dyrektorów rozstrzelali z bliska w małym pokoiku nadajnika. Każda kula dosięgała celu, gdyż ofiary nie miały się gdzie ukryć.

I dlatego pierwszymi dźwiękami, które rozległy się w głośnikach zawieszonych na każdym skrzyżowaniu, były odgłosy strzałów, jęki i krzyki...

Guzik, który nacisnął Glizda, kiedy zrozumiał, że jego życie dobiega kresu, zapalił czerwoną lampkę w małej izdebce za gabinetem szefa policji. Czwórka mężczyzn siedziała akurat przy stole i drzemała. Kiedy zapalił się sygnał, agenci sprawdzili pistolety, wstali i spokojnie wyszli na ulicę. Wiedzieli, kogo mają zabić, ale wcale się tym nie przejmowali. Wykonywali rozkaz pana Mekila, a pan Glizda nigdy nie zapomina o tych, którzy posłusznie wykonują rozkazy.

Przeszli pustą ulicą, wymienili porozumiewawcze spojrzenia, kiedy rozległa się eksplozja, ale nie zwolnili kroku. Jeden z nich bezszelestnie, ciosem w szyję, zlikwidował wartownika stojącego przed drzwiami sali posiedzeń Rady Dyrektorów. Weszli do środka i zabili wszystkich, których tam zastali. Najpierw tego, którego napotkali w drzwiach, a potem pozostałych, tłoczących się w małym pokoiku. Po wykonaniu rozkazu równie spokojnie odwrócili się i wyszli.

- Nie możesz stamtąd zleźć? - zapytał Kruminsz bez szczególnej nadziei w głosie.

- Muszę zostać. - Kroni wisiał pod sufitem hali maszyn elektrowni i wraz z dwoma robotnikami zażrubowywał otwory wentylacyjne. Właściwie robotnicy mogli sobie z tym poradzić i bez niego, ale dodatkowa para fachowych rąk zawsze się przecież przyda.

- Bardzo jesteś potrzebny na powierzchni - powiedział Kruminsz.

- Razi miał wysłać ludzi, którzy będą obsługiwać windy.

- Stanczo schodzi do niego. Czy Razi się nie wystraszy?

- Nie.

- Stanczo podłączy do dźwigów zasilanie zewnętrzne w naszej elektrowni. Wody tam nie ma?

- Na razie jest sucho - odparł Kroni. - O Gliździe nic nie słychać?

- Nie.

- Mam nadzieję, że szlag go trafił - powiedział Kroni, schodząc na dół po sznurowej drabince. - Uszczelnili już wszystkie otwory i minie dość dużo czasu, zanim woda przedostanie się do hali maszyn.

- Wyłączamy światło na poziomach mieszkalnych - powiedział inżynier dyżurny. Powiedział to tonem oznajmującym, ale było to pytanie, na które odpowiedzieć musiał Kroni. Na jego decyzję czekały dziesiątki ludzi, marzących tylko o tym, żeby pobiec do wind i wydostać się z tej pułapki - maszynowni tonącego okrętu. Ale dopóki Kroni nie powie, że można to zrobić, wszyscy pozostaną na swoich stanowiskach. Pracownicy elektrowni, bardziej niż inni mieszkańcy podziemia, przywykli do nieustannego niebezpieczeństwa, jakie niesło życie na wulkanie. Dlatego łączyło ich silne poczucie koleżeństwa, tak rzadkie w podzielonym na kasty mieście.

- Poproś go, żeby trochę poczekał - powiedział Kruminsz, który zrozumiał, o co chodzi inżynierowi. - Strach pomyśleć, co się stanie, jeśli ludzie zaczną opuszczać kwartały mieszkalne w ciemnościach.

- Zaraz - powiedział Kroni do inżyniera. - Nasi ludzie przenoszą reflektory pod drzwi wind. Potrzebują na ich zainstalowanie jeszcze z piętnaście minut. Wytrzymacie tyle?

W tym momencie nad Ich głowami zaszeleścił głośnik Głosu Władzy.

- To Spel - powiedział Kroni z ulgą. - Dyrektorzy zdecydowali się zawiadomić ludzi. Obawiamy się, że będą woleli zgubić miasto.

- Oni też chcą żyć - powiedział inżynier.

Kroni liczył sekundy i wyobrażał sobie, jak w tych rejonach miasta, gdzie nikt jeszcze nie wie o wydarzeniach ostatnich godzin, ludzie porzucają swe zajęcia i podchodzą pospiesznie do głośników.

Cichy szmer utonął nagle w głośnie kanonadzie... Krzyki, jęki konających i znów strzały, jakby stawiające serię kropek nad niepojętą i straszliwą sceną, która rozgrywała się przy nadajniku.

Przez parę chwil stał nieruchomo. Całe miasto zamarło w przecuciu, że te strzały znamionują rozpad świata. Nawet ludzie, którzy nic dotąd nie wiedzieli, wiązali te strzały z odległym hukiem eksplozji, słyszonym wcześniej, gdy w domach, biurach i magazynach światło pociemniało, jakby miało za chwilę zgasnąć. Pamięć o trzęsieniu ziemi, które przed paroma laty zniszczyło dużą część miasta, wyzwoliła z podświadomości pierwotny strach i pragnienie wyrwania się na zewnątrz, ale słowo "na zewnątrz" oznaczało jedynie ulicę albo inny poziom.

- Co tam się stało? - zapytał Kroni Kruminsza, ale Kruminsz też niczego nie wiedział.

Jednak zaraz potem w głośnikach rozległ się cichy, przerywany głos Raziego.

- Współobywatele - powiedział - Rada Dyrektorów rozkazuje...

Ludzie zamarli i znieruchomieli, gdyż głośniki miały wyjaśnić, poinstruować i wskazać drogę ratunku, bo to był Głos Władzy.

- Współobywatele - powtórzył Razi, szukając w myśli odpowiednich słów.

Razi usłyszał strzały, kiedy biegł ulicą do Domu Dyrektorów i zrozumiał, że to robota Glizdy. Dlatego bał się usłyszeć jego głos, zawiadamiający o objęciu władzy.

Wbiegł na salę posiedzeń tuż za Gerą Spel. Gera przystanęła niepewnie w drzwiach do wewnętrznego pokoiku, nie wiedząc, co ma dalej począć. Ani Glizdy, ani policjantów nie było. Kto więc strzelał?

Razi odsunął Gerę z drogi i pobiegł do nadajnika. Wyrwał mikrofon z rąk leżącego na podłodze Spela i tylko raz zaczerpnąwszy powietrza, żeby uspokoić nieco oddech, powiedział:

- Współobywatele... Rada Dyrektorów rozkazuje...

Nie było czasu na tłumaczenie, co się stało. Rada Dyrektorów nadal jeszcze rządziła miastem i podobnie jak policjanci nadal wykonywali rozkazy martwego Glizdy, tak samo Razi w imieniu nieżyjących Dyrektorów zwracał się do ludzi.

- Wszyscy mieszkańcy opuszczają kwartały zostawiając swoje rzeczy na miejscu...

Razi przypomniał sobie lokalizację wind i schodów, i starał się zaplanować najkrótsze drogi ucieczki.

- Kwartały 1, 2, 3 i 4 każdego poziomu mieszkalnego wydostają się na górę schodami i windami służbowymi lewej strony. Pozostałe sektory korzystają z wind głównych. W pierwszej kolejności wsiadają do wind mieszkańcy najniższych poziomów. Za spokój i porządek ewakuacji odpowiadają kwartałowi. Każdy, kto spróbuje uciekać odpychając innych, zostanie surowo ukarany. Kwartałowi opuszczają poziom dopiero wtedy, kiedy już nie będzie na nim ludzi. Kwartałowi, którzy spróbują uchylać się od wykonania tego rozkazu, zostaną surowo ukarani. Każdy bierze ze sobą zapaloną lampkę i stawia ją przed swoim domem. Komunikat zostanie powtórzony. Razi rzucił mikrofon i zawołał górnika, który towarzyszył mu od windy.

- Zapamiętałeś, co trzeba mówić?

- Tak.

- Na rozkaz pana Spela przyniosłem plany. Razi odwrócił się, w drzwiach pokoiku stał niemłody już inżynier ze zwojem papierów w ręku.

- Proszę położyć je na stole.

Inżynier zaczął rozwijać arkusze na stole dyrektorskim, na którym leżały jeszcze ołówki i dzwoneczki Dyrektorów. A z sąsiedniego pokoju rozległ się niepewny głos górnika:

- Współobywatele, spokojnie...

Głos zamilkł i stary inżynier przesuwając palcem po planie burknął z niezadowoleniem:

- Taki głos nadaje się jedynie do straszenia ludzi. Razi podbiegł do nadajnika. Górnik trzymał mikrofon w wyciągniętej ręce. Razi wyrwał mu go i szczerknął wyłącznikiem.

- Co zrobić! - powiedział. - Nie mogę tu zostać.

- Ja będę mówić - powiedziała błada dziewczyna.

Razi z ulgą oddał jej mikrofon. Nie poznał, kto to jest, więc przy pierwszych słowach wypowiedzianych przez nią do mikrofonu drgnął jak oparzony.

- Tu Gera Spel. Mówię z polecenia mego ojca. Rada Dyrektorów rozkazuje...

Razi postął przy niej przez parę sekund, potem wyszedł do inżyniera i zamknął za sobą drzwi.

Glizda zrozumiał, że nie może zostać przy zwłokach i skoczył ku ścianie wymurowanej z nierównych głazów. Widocznie zbudował ją sam Lemeń. Glizda zaczął się rozpaczliwie szamotać, usiłując obalić ścianę i nie wiedział, że niedawno tak samo szamotał się z nią, tyle że z drugiej strony, rurarz Kroni.

Wreszcie znalazł słabe miejsce w murze, ten sam kamień, który Kroni wypchnął, a potem wstawił na miejsce. Wyciągnął głaz, pchnął go brzuchem i potoczył w stronę zbliżających się zjaw, które rozstąpiły się i znów znieruchomiały.

Woda będzie wypełniała niezliczone korytarze bardzo długo. Dzień, a może nawet dwa... Zdaży więc wydostać się na górę i znowu wszystkich oszuka... Będzie żył, bo nie może umrzeć. Umierają słabi, tacy jak Lemeń i Spelowie!

W nagłym przyplywie energii przecisnął się przez dziurę w murze i upadł na posadzkę sąsiedniego pomieszczenia. Rozbił sobie przy tym łokcie, ale latarkę uratował. Uniósł z ulgą głowę, bo poczuł ruch powietrza, co znaczyło, że jest już w mieście Przodków.

W promieniu latarki zobaczył szczerze pyski. Wiele, całe setki szczerzych pysków ustawionych w półkole, jak gdyby szczury zebrały się z całego podziemia, żeby powitać go po ukazaniu się zza kulis. I gdyby Kr oni mógł zobaczyć tę scenę, ostatnią scenę w życiu Mekila-Glizdy, dyrektora podziemnego miasta, bardzo by się zdziwił i pomyślałby, że przez tydzień szczury nie ruszyły się spod ściany, do której go odprowadziły. Pomyliły się jednak. Szczury zjawiły się tu niedawno, bo wiedziały, że człowiek zakończy swój bieg tunelami właśnie tutaj...

Takasi dotarł do siedziby policji niemal równocześnie z mordercami. Widział ich plecy: mordercy wchodzili do środka leniwym krokiem ludzi, którzy odwalili właśnie kawał dobrej roboty i teraz mają prawo nieco sobie odpocząć.

Takasi wszedł za nimi, nie wiedząc naturalnie, kim ci ludzie są.

Akurat w momencie, kiedy Takasi przekroczył próg, głośnik ożył i odezwał się głos Raziego:

- Współobywatele...

Mordercy zatrzymali się pośrodku pokoju i popatrzyli w stronę głośnika. Rozumieli, że wiadomość jest w jakiś sposób związana z tym, co przed chwilą zrobili.

- Kroni - odezwał się półgłosem Takasi. - Słyszysz mnie?

- Słyszę - odpowiedział Kroni, który podchodził akurat do windy służbowej. Oświetlenie w mieście składało się już tylko z reflektorów, zasilanych przez elektrownię zainstalowaną przez archeologów na górnych poziomach, i z ka-

ganków, które kazał zapalić Razi. Obok Kroniego stało tylko ośmiu ludzi, ostatnich pracowników elektrowni, którzy sprawdzali, czy wszystkie otwory w hali maszyn są dobrze uszczelnione.

- Włączam wzmacniacz - powiedział Takasi. - Zapytasz ich, gdzie jest Glizda. Mam nadzieję, że mój wygląd jest wystarczająco przekonujący. Mam na sobie pancerny skafander.

Głos Gery rozbrzmiewał w głośnikach. Gera zwracała się do współobywateli. Kroni milczał. Kroni słuchał jej głosu.

- No! - ponaglił go Takasi. - Ci ludzie powinni równocześnie zobaczyć mnie i usłyszeć twój głos.

Jednak mordercy odwrócili się wcześniej i zobaczyli w drzwiach przybysza ze świata duchów, straszliwą istotę z wielką błyszczącą głową.

Zaraz potem w pokoju rozległ się grzmiący głos:

- Gdzie jest Mekil?

Mordercy rzucili się do tylnych drzwi i zderzyli w wąskim przejściu. Żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że można strzelić albo bronić się w jakiś inny sposób, gdyż wiedzieli, że zasłużyli sobie na to, aby los zesłał na nich odwet, straszliwy i nieubłagany.

- Kto widział Glizdę? - niósł się nad nimi głos, ale pytanie pozostało bez odpowiedzi, gdyż mordercy już przedarli się przez drzwi i tratując się nawzajem, wyjął z przerażenia, przemknęli przez dyżurkę gabinetu Glizdy, gdzie jeszcze płonął czerwony sygnał Ostatniego Rozkazu, przebiegli przez izbę tortur i dalej, potajemnym przejściem, którym wynoszono zwłoki tych, którzy nie wytrzymali tortur, wydostali się na zewnątrz. Tunel biegł pochyło w dół, ku Otchłani. Mordercy zbiegli o parę poziomów niżej, a potem, samotni wobec śmierci, zapadali coraz dalej w ciemność, dopóki nie stali się cieniami bez twarzy i nazwisk.

Takasi obszedł wszystkie pomieszczenia komendy policji, zajrzał do gabinetu Glizdy, zobaczył izbę tortur, przejrzał archiwum z kartoteką wszystkich mieszkańców miasta i dotarł do sypialni Mekila, w której szef policji zazwyczaj nocował, bo nie lubił spać w domu. Glizdy nigdzie nie było i nic nie wskazywało na to, żeby ukrywał się. gdzieś w pobliżu. Zameldował o tym Kruminszowi, który został na powierzchni.

- A myśmy tu wysadzili w powietrze wejście do podziemi - powiedział Kruminsz. - Teraz jest tu co najmniej dziesięciometrowa dziura w ziemi. Za parę minut będziemy gotowi ze wszystkim.

- Co poza tym? - zapytał Takasi, wychodząc na korytarz.

- Co się dzieje? - Takasi poznał głos Nataszy, która starała się mówić tonem wesołym i beztróskim, żeby ukryć lęk o Takasiego, ukrytego gdzieś tam, na dole, gdzie może się przydarzyć coś okropnego. - Anita jest na zboczu wzgórza, gdzie zakłada szpital polowy. Nie widzę jej stąd.

- A dlaczego nie jesteś razem z nią?

- Zostałyśmy z Kiroczką tutaj - powiedziała Natasza. - Będziemy odbierać uciekinierów i odprowadzać ich w bezpieczne miejsce.

- Rozumiem - odparł Takasi. On też nie mógł jej powiedzieć, że wolałby, aby odeszła dalej, gdyż Natasza na pewno poczułaby się dotknięta.

- Günther poszedł na dół - ciągnęła Natasza. - Stanczo też poszedł. Wiesz, wszyscy po prostu zapadają się pod ziemię, a ja się o was boję.

- Gdzie on teraz jest?

- Günther poszedł na szósty poziom. W samo piekło, wyobrażasz sobie?

- Ja też tam pójdę - powiedział Takasi.

- Oj, nie rób tego. W niczym mu nie pomożesz. Zapytaj Kruminsza.

- Kroni - przerwał jej głos Kruminsza. - Nie ma u was wody?

- Po ścianach szybu windy spływają strumyczki, ale to czasami się zdarza, kiedy pęknie jakaś rura - odpowiedział Kroni, który jechał akurat windą wraz z ostatnimi energetykami z elektrowni.

- Zatrzymaliśmy się - powiedział po chwili - bo zobaczyliśmy wiele kobiet i dzieci, których nie zdążają wywozić. Będziemy musieli iść pieszo.

- Kroni, daj spokój! - wykrzyknął Kruminsz. - Bardzo jesteś nam potrzebny tu, na górze.

Na ekranie miał scenę, zarejestrowaną przez nadajnik telewizyjny Kroniego: podest przed windą i kobiece ręce wczepione w kratę, aby zatrzymać kabinę - jedyny łącznik między życiem a nieubłaganą, zagadkową śmiercią. Krata odsunęła się i ukazała mieszaninę ciał i uniesionych do góry rąk. Wizerunek piekła oświetlonego jaskrawym promieniem reflektora. Reflektor kołysał się pod naporem tłumu i dwaj elektrycy zawzięcie odpychali ludzi, aby nie zniszczyli jedynego źródła światła. Potem obiektyw na piersi Kroniego zwrócił się do tyłu, na wolno pełznącą do góry, poprzecinaną pionowymi prętami kraty jasną plamę kabiny.

Na podeście zostało jeszcze wielu ludzi, a podchodzili nowi.

Kruminsz zrozumiał, że Kroni nie mógł uciec sam z tej pułapki - z dolnego, najbiedniejszego, najbardziej zatłoczonego i najniebezpieczniejszego poziomu podziemnego miasta.

Kroni posłał inżyniera i dwóch robotników, żeby sprawdzili, jak daleko można przedostać się schodami służbowymi. Chciał skierować na nie ludzi, bo nie był pewien, czy uda mu się jeszcze raz ściągnąć windę tak nisko, bo przecięż po drodze były inne poziomy, a na każdym z nich tłumi przerażonych ludzi oczekujących na ratunek. Wiedział wprawdzie, że do szóstego poziomu jest daleko i że schody, z których bardzo rzadko korzystano, w wielu miejscach nie nadają się do użytku, ale wolał coś zrobić niż czekać bezczynnie. Dopóki jednak nie wrócą zwiadowcy, nie chciał wysyłać ludzi na schody, żeby nie spowodować paniki. Na ulicach pakowały ciemności, gdzieś tam rozpraszane jedynie przez kaganki. Przy windzie można było jeszcze na coś liczyć.

Kiedy jedynooki Dziń dotarł do Głównego Poziomu i oddał czekającemu na niego saperowi klucz, nie wiedział zupełnie, do jakiego celu ten klucz ma posłużyć. Myślał, że jego misja na oddaniu klucza się skończy. Ale saper, który też nie wiedział, co się stanie, kiedy naciśnie dźwignię w niszy szóstego poziomu, dostał rozkaz, żeby udać się na miejsce w towarzystwie człowieka z kluczem. O tym zaś, co się stanie, kiedy pierwszy posłaniec otworzy niszę na szóstym poziomie, a saper naciśnie dźwignię, wiedział tylko Mekil.

Dziń włókł się za saperem długim i szerokim jak ulica tunelem wzdłuż leżących beładnie pod ścianami przerdzewiałych rur i myślał, że powinien wrócić i że nic go nie obchodzi, co zamierza zrobić jego towarzysze. Klęska Mekila, prawdziwa i ostateczna, doszła do jego świadomości i wraz z tym zrozumieniem pojął, że Glizda go okłamał, że z równym powodzeniem mógł mu obiecywać stanowisko Dyrektora Generalnego.

Kiedy pretendent na dyktatora ponosi klęskę, to nie od razu, nie w jednej chwili traci zwolenników i służę. Zwłaszcza w tych wypadkach, kiedy uprzednio zdołał wbić im do głów przekonanie o własnej wszechmocy. Dlatego też, kiedy domek z kart się rozsypuje, to poszczególne walety i dziewiątki siłą bezwładu trzymają się asa atutowego i wykonują jego szalone rozkazy nawet wtedy, gdy zdają sobie sprawę z ich szaleństwa. Dziń też pozostawał wierny, ale jego wierność nie podtrzymana stosowną nagrodą została wystawiona na próbę, kiedy pomyślał, że nie ma już pana. Jeszcze szedł, ścisnąc w spoczonej dłoni klucz, ale już myślał tylko o tym, gdzie się ukryć, dokąd uciec.

- Daleko jeszcze? - zapytał Dziń chrapliwie.

- Zaraz będziemy na miejscu - odpowiedział saper nie odwracając głowy.

- I co będzie? - zapytał Dziń.

- Nie wiesz?

- Nie.

Pomyślał, że nie ma co udawać.

- Ja też nie wiem - powiedział saper. - Ty otworzysz niszę, a ja uruchomię maszynkę.

- Po co?

Tym razem saper się odwrócił.

- A skąd mam wiedzieć? - zapytał ze złością. - Bo to mi kto powie? Dlaczego Glizda przywiązywał do tego tak wielką wagę?

- Co to za maszynka?

- Wiadomo! - Saper wzruszył ramionami. - Zapalarka.

- Zapalarka?

Widocznie gdzieś tam jest sekretne archiwum Glizdy, które nie powinno wpaść w ręce jego wrogów. Albo specjalne więzienie. Mimo wszystko pomysł wybuchu zupełnie się Dżiniowi nie podobał. Nie dlatego, żeby żał mu było więźniów. Po prostu bał się, że sam może zginąć pod gruzami.

- Daleko jeszcze? - zapytał Dziń ponownie.

- Już jesteśmy na miejscu.

Gdyby saper powiedział, że to jeszcze kawał drogi, Dziń by dalej nie poszedł. Przygotował sobie nawet w myśli słowa: "Mam dosyć, wracani, a ty jak chcesz?".

- Otwieraj - powiedział saper, który nie zastanawiał się nad skutkami tego, co robi.

Dziń posłuchał, obrócił klucz w zamku i otworzył niewielką skrytkę z szarą skrzynką w środku. Ze skrzynki sterczała długa dźwignia i wystawały kable niknące w ścianie.

Na skrzynce było jeszcze parę guzików.

Dziń spojrział w głąb tunelu. Był zupełnie pusty. Nie mógł dostrzec żadnego archiwum.

Saper sprawdził kable, podłączył aparacik z okrągłym cyferblatem i patrzył uważnie, jak drży umieszczona na nim strzałka.

- No jak, zaczynamy? - zapytał.

Dziń nie odpowiedział. Przyglądał się jego kieszeniom i zastanawiał się, czy nie nosi w którejś z nich pistoletu.

Saper nacisnął jeden z guzików, a potem szarpnął dźwignię.

Rozległ się grzmot. Zakolysały się ściany tunelu, zamigotały, zgasły i znów się zapaliły wiszące pod stropem lampy... Posadzka zadrżała i jedynie to, że stali obaj we wnęce, uratowało ich przed siłą podmuchu. Grzmot nie ustawał, Dziń przylepił się do ściany i czując całym ciałem jej dziwne dygotanie, chciał tylko jednego - żeby ten dygot nareszcie się skończył...

Huk nie cichł, ale ściany przestały się trząść. Niechybna śmierć, która zajrzała w jedyne oko Dżinia, teraz wycofała się w ciemność i stamtąd się z niego naśmiewała.

- Teraz - powiedział saper, wstając z podłogi jak gdyby nigdy nic - strzelimy jeszcze raz i będzie dosyć.

- Co? Jeszcze raz?

Dziń był wściekły, bo nie miał wątpliwości, że następny wybuch będzie ostatni w jego życiu.

- Jasne - odpowiedział saper. - Zgodnie z instrukcją. I przesunął dźwignię do pozycji wyjściowej.

- Zwariowałeś? - krzyknął Dziń, starając się przekrzyczeć narastający łoskot. - Zgubisz nas! Nie widzisz, co się dzieje? Saper popatrzył na niego ze zdziwieniem.

- Mamy przecież rozkaz - powiedział i znowu wyjął aparacik, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Dziń wiedział już, że nie dopuści do drugiego wybuchu. Wyciągnął rękę w stronę aparaciku, żeby zerwać przewody, ale saper zwinnym ruchem uderzył go w przegub. Dziń nie poczuł bólu. Wczepił się w szyję sapera, szarpnął i zwałił na dygotającą posadzkę. Usiadł na nim okrakiem i tak długo bił jego ciemieniem o kamienie, dopóki saper nie znieruchomiał.

Potem wstał. Zataczając się podeszedł do zapalarki i na wszelki wypadek wyrwał z niej kable. Zrzucił maszynkę na podłogę i pobiegł tunelem z powrotem, uciekając przed hukiem i dygotem ścian.

Pierwszy wybuch wytworzył w zaporze głęboką szczelinę. Druga eksplozja miała ją pogłębić i skruszyć do reszty. Wtedy woda z jeziora trysnęłaby w głąb miasta jak z otwartego przepustu. Ale drugiej detonacji nie było i dlatego woda początkowo tylko sączyła się przez szczelinę. Jej ciśnienie było jednak tak wielkie, że z każdą sekundą szczelina rozszerzała się i wydłużała, a potem rozgałęziała na boki.

Katastrofa nie nastąpiła od razu. Woda potrzebowała trochę czasu, żeby przerwać uszkodzoną wprawdzie, ale wciąż istniejącą zapore.

Günther szedł tunelem szóstego poziomu i pchał przed sobą wózek ze zbiornikiem płynnego plastra i rozpylaczem. Plaster wiązał prawie natychmiast i wypełniał pianą dosłownie każdy otwór. Poza tym Günther cały był obwieszony ładunkami wybuchowymi. Eksplozja zastała go w pustym szybie i rzuciła na stojący tam zardzewiały wagonik. Dobrze

jeszcze, że ładunki nie wybuchły. Günther wstał z trudem i usłyszał za sobą kroki. Dopędzał go Razi ze starym inżynierem. Obaj przybiegli tam z Domu Dyrektorów.

Inżynier na widok dziwnego stroju i ładunku, który pchał przed sobą tropiciel, stanął jak wryty, zdrętwiał z przerażenia, ale Razi domyślił się, kto to taki. A ponieważ znał tylko jedno słowo, które Günther mógł zrozumieć, więc powiedział:

- Kroni.

- Słusznie - odpowiedział Günther. - Kroni. Mój przyjaciel. Którędy iść dalej?

- Chwileczkę - powiedział Krumsz, który nie nadążał z obserwowaniem wszystkich. - Kroni, jak zapytać, którądy iść dalej? Günther spotkał Razięgo.

Kroni powiedział.

Günther starannie powtórzył niezrozumiałe dla siebie słowa.

Razi zwrócił się do inżyniera, a ten rozwinął plan. Plan był stary, pożółkły i wystrzępiony na brzegach. Skała drżała i w każdej chwili z zapory mogła trysnąć woda.

Razi i Günther pochyliłi się tak, że ich latarki świeciły na plan. Inżynier bez słowa pokazał punkt, w którym się znajdowali. Ten tunel dochodził do szerokiej sztolni, wzdłuż której ciągnęły się błękitne nitki dawnego wodociągu. Na jego końcu znajdowało się stare ujęcie wody, a krawędź rysunku zajmowała niebieska plama z rozmytymi brzegami - podziemne jezioro.

Od strony jeziora rozległ się tupot kroków. Biegł stamtąd jednooki mężczyzna. Wpadł jak zabłąkana mucha w jaskrawy krąg światła i podniósł ręce do góry.

- Uciekajcie - krzyknął. - Uciekajcie!!!

- A więc to twoja robota - powiedział cicho Razi. - To ty byłeś z Glizdą!

- Nie pozwoliłem mu strzelić drugi raz! - krzyknął jednooki, nie poznawszy głosu Razięgo. - Nie pozwoliłem mu...

Kroni tłumaczył Güntherowi słowo po słowie. Kroni wciąż musiał się rozdwajać: znajdować się na swoim poziomie, jechać windą, wprowadzać do kabiny dzieci, wysyłać ludzi na poszukiwanie nie zniszczonych schodów i jednocześnie tłumaczyć rozmowy - dla Stancza, dla Günthera, dla Takasiego...

- Gdzie jest Glizda? - zapytał Razi, chociaż nie było czasu na takie dociekania. - Tam?

- Glizda został na dole. Nie ma Glizdy. Wysłał mnie z kluczem i saper nacisnął dźwignię. Ale ja mu nie pozwoliłem nacisnąć jeszcze raz...

- Pójdiesz z nami.

- Nie! Lepiej mnie zabijcie... Nie pójdę.

- Pójdiesz! - ryknął Günther po niemiecku. Nikt go oczywiście nie rozumiał, ale głos potwora, ciągnącego wózek z okrągłym zbiornikiem, był tak straszliwy, że Dziń zrezygnował z oporu.

Doszli do głównej sztolni i od razu zobaczyli, że wgłębieniem pośrodku posadzki biegnie rosnący w oczach strumień wody.

- Kroni - powiedział Günther do mikrofonu - powiedz im, żeby tu zostali. - Dalej pójdę sam, bo dla nich to zbyt niebezpieczne.

- Zostańcie tutaj - powtórzył jego słowa Kroni. - Dalej jest niebezpiecznie.

- Bardzo niebezpiecznie - zgodził się pospiesznie jednooki. Stary inżynier skwapliwie zrobił krok do tyłu. Zwinął plany i teraz trzymał je w ręku jak dziwę.

- On to sam pociągnie? - zapytał Razi, patrząc z niedowierzaniem na ciężki wózek.

- Tak - powiedział Kroni, który niczego nie widział, ale potrafił sobie tę scenę wyobrazić.

Lampy w tunelu już zgasły i w świetle latarek strumyk wyglądał jak czarna oliwa. Woda wystąpiła już z rowka i podchodziła pod nogi.

- Nie mam czasu - mruknął Günther i ruszył tunelem pod prąd. Zrozumiał już, że wybuch nie do końca zniszczył skalną zaporę, chociaż prawdopodobnie runie ona za parę minut. Wiedział też, że jest jedynym człowiekiem w mieście, który może przynajmniej odroczyć nieuniknioną katastrofę.

Pozostali patrzyli za nim. Wody jeszcze przybyło i Günther musiał coraz wyżej podnosić nogi, żeby nie pośliznąć się na zmoczonych kamieniach.

- Wracajcie - powiedział Razi. - Wracajcie!

Inżynier natychmiast odwrócił się, jak wypuszczony na wolność niewolnik, który lęka się, że jego pan może się rozmyślić, i pobiegł ciemnym korytarzem. Dziń natomiast został.

- A ty tu czego? - zapytał Razi, patrząc w ślad za idącym wolno Güntherem. - Przecież zesłałeś zgubę na miasto.

- Ja nie wiedziałem - odpowiedział Dziń. - Nie dałem mu zdetonować reszty ładunków. Gdybym wiedział, że tam jest woda...

Razi machnął ręką i niezgrabnie pobiegł po kolana w wodzie.

A Dziń poszedł za nim. To było dziwne i zdumiewające. Najdziwniejsze dla samego Dzinia, który zachodził w głowę, co go tak pcha do przodu, ale nie mógł się zatrzymać. Dreptał za Razim i powtarzał, że to nie jego wina, że zrobił wszystko, żeby do katastrofy nie dopuścić, ale nie potrafił przekonać nawet siebie samego, a jego głos brzmiał żałośnie i błagalnie.

Nikt nie zamierzał karać Dzinia, który był tylko ślepym narzędziem w rękach Glizdy. Puściliby go wolno, bo nie był im do niczego potrzebny... On jednak szedł za nimi i nie mógł zawrócić.

Razi dopędził Günthera i zaczął popychać wózek. Günther obejrzał się i warknął:

- Kroni, on idzie za mną.

- Niech idzie - odpowiedział Kroni, nie tłumacząc słów Günthera Raziemu.

- To niebezpieczne - mruknął Günther.

- To jest nasze miasto - odparł Kroni. - Idziesz teraz w sam środek niebezpieczeństwa, żeby uratować nasze miasto. Gdybym tam był, też bym z tobą poszedł.

- Nie gadaj głupstw - odpowiedział Günther po niemiecku - nie gadaj głupstw, Kroni. Wy kiedyś też odpłacicie dobrem za dobro.

Tej rozmowy nikt nie słyszał, bo i nie miał kto słyszeć. Pierwsza winda utknęła pod górnymi poziomami, a Stanczo wisiał teraz nad nią na kablach ryzykując śmiertelne porażenie i usiłował przełączyć zasilanie na awaryjny agregat.

W windzie płakały dzieci i robotnik, który sterował kabiną, kłął Stancza na czym świat stoi, bo nie widział go i uważał za jednego ze znajomych elektryków. Maks Biely pomagał automatowi uprzętać kamienie, które zostały po wysadzeniu w powietrze górnego wjazdu i układał z nich pochylnię wyjściową. Kruminsz dyżurował przy ekranach, utrzymywał łączność z ludźmi na dole i przeklinał los, który nie pozwalał mu rzucić się do ciemnego zapadliska.

Wózek popychali w trójkę. Wszyscy milczeli, bo musieli pokonywać napór strumienia, sięgającego już niemal do piersi. Günther był wdzięczny tym ludziom, gdyż wiedział, że muszą bać się o wiele bardziej niż on. Był tropicielem i nieraz zdarzało mu się iść pod prąd lub pokonywać strumienie, z których nie można było wyjść cało, a jednak zawsze z nich cało wychodził. Nie widzieli tego, co tropiciel widział w ciągu dwudziestu lat pracy. Dlatego musieli się okropnie bać. Jednak Günther mylił się. Nie bali się, gdyż nie mieli na to czasu, z tak rozpaczliwym wysiłkiem popychali ten wózek i jednocześnie trzymali się go, żeby strumień wody ich nie porwał. Nie mieli czasu pomyśleć, jak niewiele szans mają na wydostanie się z tunelu.

Tunel rozszerzył się i przekształcił w salę starego ujęcia. Przednia ściana była pokryta szczelinami, z których woda tryskała z taką siłą, że jej strumienie dosięgały przeciwległej ściany i rozbiły się o nią, ściekały w dół i rozlewały się po podłodze, tworząc zawichrowania i wiry. Günther popatrzył ponurym wzrokiem na splekaną ścianę i powiedział:

- Niedobrze.

- Co? - odezwał się Kruminsz.

Ściana drżała i oddychała jak żywa. Dziś patrzył na nią jak zaczarowany, wytrzeszczając swe jedyne oko. Całkiem zatracił poczucie rzeczywistości i nie uciekał tylko dlatego, że nie pomyślał, iż można to zrobić.

- Obawiam się, że nie zdołamy jej utrzymać – powiedział Günther.

Mówiąc to już unosił rozpylacz. Wózek zadrżał i omal się nie przewrócił, bo tylko Razi trzymał go z jednej strony.

- Uwaga! - krzyknął Razi, ale Dziś go nie słyszał.

Günther chwycił za drugi bok wózka i z trudem go wyprostował. Razi odwrócił się i zaparł się w wózek plecami. Nogi ślizgały mu się, więc usiadł w wodzie, która sięgała mu prawie do ust i falami zalewała oczy. Woda była bardzo zimna.

Günther nic więcej nie powiedział. Włączył rozpylacz i skierował go na ścianę. Piana zderzyła się ze strugami wody, rozpadała się na strzępy i zastygała w locie.

Wreszcie zaczęła przyklejać się do ściany, osiadając na niej jasnymi plackami, wzdymającymi się i pluskającymi pod naporem wody.

Kroniego tak dalece pochłonęło to, co działo się na górze, że nie od razu zauważył wracającego zwiadowcę.

- Schody można odblokować - powiedział robotnik. - Nie wiem tylko na jakiej długości. Znaleźliśmy ochotników i zaczęliśmy już uprzętać gruz.

Kroni zapytał Kruminsza:

- Na windy można liczyć?

- Nie jestem pewien - powiedział Kruminsz. - Kabinę, która zjeżdżała waszym szybem, przechwycono w pół drogi. Zajmują ją ludzie oczekujący na wyższych poziomach. Trudno im się dziwić. Tam przecież też są dzieci...

Günther nie wypuszczał rozpylacza z rąk i piana stopniowo wypełniała salę. Nagle rozpylacz pisnął i szarpnął mu się w rękę. Koniec.

- Koniec - powiedział Günther. Razi podniósł się z ziemi. Zrozumiał.

Wody trochę ubyło. Piana wypełniła całą przeciwległą część sali ujęcia i wypływające spod niej strumienie jakby nieco osłabły. Piana zapadła się i gęstniała tworząc szczelną błonę, drgającą od czasu do czasu, jakby ktoś z tamtej strony uderzał w nią miarowo ciężkim młotem.

- Zyskaliście trochę czasu, ale niewiele - mruknął Günther. - Trzeba będzie zaważyć tunel.

- To będzie trzymało? - zapytał Razi. Kroni usłyszał pytanie i przetłumaczył je.

Kroni wciąż jeszcze stał na podeście windy. Wysłał część mężczyzn do uprzękania schodów, a sam został na dole.

- Będzie trzymało, ale niedługo - powiedział Günther. - Może tylko dziesięć minut. To jest jak plaster w poszyciu tonącej fregaty.

Razemu wydało się, że piana sunie w ich stronę.

- Co to? - zapytał.

Günther odpowiedział, biegnąc już w kierunku tunelu, a Kroni przetłumaczył:

- Poleciała zaporą. Teraz trzyma już tylko plaster.

- Dziś! - krzyknął Razi. - Uciekamy. Dziś go nie słuchał.

Günther chwycił go za łokieć i pociągnął za sobą. Dziś wyrwał się jak oszalały. Oko miał puste i straszne. Żrenica nie reagowała na światło latarki.

Günther zaklął, bo tracili bezcenne sekundy. Zaklął po niemiecku, więc zrozumiał go tylko Kroni. Złapał Dziśa w pół i pociągnął za sobą.

- Kroni, powiedz mu, żeby zostawił jednookiego! - błagał Razi.

- Szkoda mówić - odpowiedział Kroni. - On i tak mnie nie posłucha.

Wody pod nogami prawie nie było, ale Günther i Razi wiedzieli doskonale, że plaster długo nie wytrzyma. Przebiegli jeszcze kilkanaście kroków i w tym miejscu, gdzie strop tunelu nieco opadł, jakby skała nad nim nie była monolitem, rzucił jednookiego na podłogę i zaczął wyjmować z kieszeni ładunki wybuchowe. Ułożył je rzędem na posadzce, a Razi stał nad nimi i liczył. Musiał coś robić, więc stał i liczył ładunki, chociaż nikomu nie było to potrzebne. Dziś siedział na podłodze z brodą opartą na kolanach, jakby zastanawiał się nad czymś niezwykle ważnym.

- Uciekaj stąd! - wrzasnął nagle Günther, jakby dopiero teraz spostrzegł stojącego przy nim Razię. - Zabieraj tego wariata i uciekaj.

Kroni posłusznie tłumaczył jego słowa, patrząc na coraz cieńszy strumyk wody spływający po ścianie szybu windy.

- Nie - powiedział Razi.

- On nie ucieknie - powiedział Kroni. - Już ci przecież mówiłem.

Günther zaczął metodycznie rozmieszczać ładunki w tunelu, jakby miał do dyspozycji całą wieczność.

Kruminsz błagał go w duchu, żeby się pospieszył, ale nie odezwał się nawet słowem, bo nie wolno było tropicielowi przeszkadzać. Pomyślał jeszcze: jakie to szczęście, że Maks Biely wyrównuje łazikiem drogę do prowizorycznego szpitala i niczego nie słyszy. Jakie szczęście, że nie słyszy. Przecież przepracowali razem dwadzieścia lat...

Ledwie to pomyślał, rozległ się grzmot rwącego się na strzępy plastra.

- Uciekaj! - zdążył jeszcze raz krzyknąć Günther, ale Razi nawet nie drgnął. Wbił tylko paznokcie w dłoń, żeby nie uciec. Günther padł na ziemię przewracając Razię i w tej samej chwili odpalił wszystkie ładunki.

Zdołał jeszcze w zupełnej ciemności dojrzeć ścianę wody, pędzącej przed sobą strzępki rozdartego plastra. Zobaczył jeszcze, jak wali się strop tunelu, jak schodzą się ściany, a kamień i woda zderzają się ze sobą z nieprawdopodobną siłą żywiołu... I pojął, że gdzieś w samym oku tego szalonego cyklonu znajduje się on sam, inżynier Razi i agent Dziń...

Dźwięk urwał się. We wszystkich głośnikach. I nie można już było na nic liczyć. Nawet na cud. Kroni wciąż patrzył na strumyk płynący po ścianie szybu i czekał, aż przekształci się w strumień albo zniknie.

Ale nie nastąpiło ani jedno, ani drugie. Strumyk nadal ciurkał. Na chwilę całkiem zanikł, ale później, wolniej wprowadzie i spokojniej niż poprzednio - jednak popłynął. Kroni wyobraził sobie, jak cienkie strużki sączą się spod zawału, a potem łączą się w strumień biegnący nieubłaganie w dół. To była jeszcze jedna zwłoka, ale niestety tylko zwłoka.

To właśnie powiedział Kruminszowi, bo Kruminsz nie mógł wiedzieć, jakie skutki przyniosła eksplozja.

- Domyślam się - odpowiedział Kruminsz lakonicznie. Powiedział to i jeszcze raz pomodlił się w duchu, żeby Maks na razie nie wracał do niego, żeby jak najdłużej torował drogę do szpitala. Zobaczył, że Natasza i Kiroczka, które również nie słyszały, jak zakończyła się walka Günthera z wodą, zniknęły nagle pod ziemią, jakby zobaczyły tam coś ważnego. Domyślił się, co to mogło być.

- Wyszli pierwsi ludzie - powiedział Kruminsz do Kroniego, a następnie przełączył się na szpital i zapytał Anitę: - Jesteś gotowa na przyjęcie pacjentów? Wyszli pierwsi ludzie.

- Zwariowałaś? - wykrzyknęła doktor Sołomko. - Poczekaj trochę!

- Nie mogę zatrzymać ludzi pod ziemią tylko dlatego, że nie jesteś jeszcze gotowa.

- Źle mnie zrozumiałaś - powiedziała Anita. - Po prostu byłam zaskoczona. Co z innymi?

- W porządku - odparł sucho Kruminsz, bo Anita pytała przede wszystkim o Günthera, a on nie mógł jej powiedzieć.

Natasza stała w szerokim wykopie. Deszcz znów się rozpadał i dziewczyna pomyślała, że to dobrze, bo słońce nie będzie oślepiało ludzi, którzy nigdy go nie widzieli. A wkrótce zacznie się ściemniać.

- Żeby tylko udało się ich wszystkich wyprowadzić przed zmrokiem - powiedziała Kiroczka zbiegając do niej.

Zatrzymały się, patrząc na pochylnię. Na samym jej dole widać było ludzkie twarze.

To był dziwny i przerażający widok.

Dziewczęta stały niemal u szczytu pochylni, która opadała na równy plac, prowizoryczny podest windy, na który Stanczo wyprowadził pierwszą grupę uciekinierów, wyswobodziwszy ich uprzednio z unieruchomionej kabiny. I ci ludzie, głównie kobiety i dzieci, zatrzymali się, jak tylko zobaczyli nad swymi głowami jasną plamę. Stali tak, bo nie mogli, nie potrafili zrobić już nawet kroku.

Stali zbici w ciasne stadko i patrzyli tam, gdzie było nieznane, dziwnie zimne i zbyt białe światło. A dziewczętom wydawało się z góry, że ich twarze świecą, że są okrągłe i puste, nagie i zupełnie jednakowe.

Ten żywy obraz trwał długo. Nieskończenie długo. Minutę albo i więcej. Nikt się nie poruszył, a ludzie w dole patrzyli na dwie figurki w dopasowanych kombinezonach, które ciemnymi sylwetkami rysowały się na tle zbyt jasnej plamy.

Krople deszczu wpadały czasem do środka jamy, ale żaden z uciekinierów nie wycierał ich z twarzy. Mieszkańcy podziemia zdawali się uważać je za krople spadające z wysokiego stropu świata na Górze.

Żeby wreszcie zakłócić tę ciszę i odrętwienie, Kiroczka wyprzedziła Nataszę, zbiegła do pochylni w dół, podeszła do grupki ludzi i wyciągnęła rękę do najbliższej stojącej rozczochranej, straszliwie brudnej i przerażająco wychudzonej dziewczynki w ogromnych, topornych buciorach przymocowanych drutem do nóg i w strzępach szarej szmaty na biodrach zamiast spódniczki.

Kiroczka podała jej rękę. Dziewczynka patrzyła na nią uważnie i bez uśmiechu. Potem jej pajęczka łapka drgnęła i zaczęła długą wędrówkę na przestrzeni paru centymetrów, żeby przebić ścianę powietrza oddzielającą obie ręce.

Ręka Kiroczki była ciepła, więc dłoń dziewczynki od razu się w niej zagnieżdżyła.

- Chodźmy - powiedziała Kiroczka i leciutko pociągnęła ją za rękę.

Dziewczynka obejrzała się. Wszyscy patrzyli na nią, jak gdyby od następnego kroku zależało całe ich życie.

Dziewczynka poszła za Kiroczką. Pozostali najpierw zrobili jeden krok - wszyscy razem, tak że cały tłum drgnął i zafalował - a potem jeszcze jeden. Zapłakało dziecko na rękę matki, matka syknęła na nie...

Szli obok Nataszy. Nie odważyli się wyprzedzić Kiroczki z dziewczuszką i bali się zostać w tyle. Wspinali się po pochylni i z każdym krokiem robiło się widać. Ludzie zaczęli się na siebie oglądać i dziwić się temu, co widzą, gdyż po raz pierwszy w życiu zobaczyli swoich sąsiadów przy świetle dziennym.

Natasza stała nie wiedząc, co ma robić, aż wreszcie, kiedy minęła ją ostatnia kobieta z brudnym tłumokiem na plecach ciągnąc za rękę małego chłopczyka, skoczyła ku niej, żeby pomóc. Kobieta jednak zaczęła się od niej opędzać, bojąc się wypuścić z rąk swoje skarby. Natasza zrezygnowała i znów przystanąła bezradnie. Zaraz jednak usłyszała za sobą znajomy głos:

- To ty, Nataszo? Nie uciekaj przede mną, nie porzucaj mnie o piękna, i udziel swej wspaniałomyślnej pomocy moim braciom krasnoludkom!

- Oj! - wykrzyknęła Natasza z ulgą. - Znowu zaczynasz się wygłupiać, Taks.

Takasi prowadził korytarzem następną grupę ludzi, którym pomógł usunąć zawał na schodach koło komendy policji. Ludzie szli trzymając się za ręce, niczym ślepcy drepczący gęsiego. Przewodnikiem tego stadka był Takasi, który zrzucił hełm, żeby nie straszyć nim uratowanych. Musieli przejść w ten sposób kilka górnych, pustych i ciemnych poziomów, gdzie tylko latarka archeologa dawała im jakąś orientację.

- Gdzie tu się przywraca wzrok i leczy rany? - zapytał Takasi. Zrzucił hełm, zanim Günther zniknął z eteru i dlatego nie wiedział, że tropiciel zginął, więc gdy tylko ludzie wyszli na pochylnię, zapytał Nataszę:

- Co słysząc z Güntherem?

- A bo co? - zdziwiła się dziewczyna, która nie mogła oderwać wzroku od straszliwej procesji szkieletów. - Jak ci ludzie w ogóle żyli?

- Günther miał wysadzić w powietrze tunel...

- Oj! - przestraszyła się Natasza. - Wcale o tym nie wiedziałam.

Takasi dwoma susami wyprzedził grupę, wydostał się na górę i pobiegł do centrali, przy której pod brezentowym daszkiem siedział Kruminsz. Już dobiegając pomyślał, że Kruminsz od rana bardzo się postarzał.

- Co z Güntherem? - wykrzyknął.

Kruminsz jednym ruchem ręki wyłączył wszystkie mikrofony.

- Przyszędłeś? - powiedział. - To dobrze.

- Wyprowadziłem około trzydziestu ludzi. To niewiele, ale musieliśmy przebijać się przez zawałone schody. Co z Güntherem?

- Günther zginął, ale zawał w tunelu na razie trzyma wodę. Nie wiem jak długo...

- Günther zginął?

- Tak, Takasi. Ale jego zawał jeszcze trzyma wodę.

- Günther...

Takasi nie mógł sobie wyobrazić, że Günther może umrzeć.

- Posłuchaj, Taks - powiedział Kruminsz. - Po pierwsze nie powiedziałem tego jeszcze ani Anicie, ani Maksowi.

Po wtóre zostało nam niewiele czasu i będziesz musiał tam wrócić. Niech dziewczęta odprowadzą uratowanych do szpitala, a potem zostaną tam, żeby pomagać Anicie.

- Jasne! - burknął Takasi. - Ale zrzuciłem hełm i nie mam łączności.

- Weź przenośny nadajnik.

Kruminsz podał mu aparat. Takasi założył słuchawki, przycocował mikrofon koło ust i pobiegł z powrotem do ciemnej jamy. Ludzie z podziemia już stali na górze, mrużyli oczy i zasłaniali je rękami przed światłem, chociaż dzień był pochmurny i zbliżał się ku wieczorowi.

- Dziewczęta! - krzyknął w biegu Takasi. - Zastąpię was tutaj. Zaprowadźcie ludzi do Anity.

- A co z Güntherem? - zapytała Natasza.

- Prowadźcie ich - odparł Takasi. - Nie widzisz, że już wychodzą następni?

Dziewczęta posłusznie ruszyły drogą wyrąbaną w krzakach, jak kaczki prowadzące za sobą pisklęta.

- Hej! - krzyknął Stanczo, widząc że Takasi schodzi do jamy. - Idę do podziemia. Winda działa, ale nie ma jej kto obsługiwać. To niedaleko.

- Tak - powiedział Takasi. Stanczo też nie wiedział o śmierci Günthera i był pewien, że wszystko idzie jak należy.

Takasi uruchomił radiostację i natychmiast mnóstwo dźwięków odezwało mu się w uszach. Głos Gery:

- Szanowni współobywatele. Nie zapominajcie, że zapalona lampka wystawiona na ulicę pomoże wam i waszym sąsiadom szybciej odnaleźć drogę do windy i schodów...

Głos Kroniego:

- Tak, Wilis, wiem, że Stanczo zjeżdża na dół. Obawiam się jednak, że winda się do nas nie przebije. Nie masz pojęcia, co dzieje się ponad nami...

Głos Kruminsza:

- A jak z wodą?

Głos Kroniego:

- Znowu jej przybyło. Na samym dole z pewnością jest już całe jezioro. Dobrze, że uszczelniliśmy elektrownię, bo inaczej kotły mogłyby wybuchnąć.

Takasi uruchomił swój nadajnik:

- Kruminsz, idę na szósty poziom.

- Nie - odpowiedział Kruminsz. - To jest pół godziny marszu, a gdyby Günther żył, już dałby o sobie znać.

- A jeżeli jest ranny?

- Stracimy i ciebie.

- Tutaj zostanie Maks. Ja nie mogę zostać. Stanczo wyprowadził nową grupę ludzi.

- Co ja mogłem poradzić? - powiedział przeproszającym tonem. - Dojechałem tylko do połowy drogi. Na każdym podejściu czekają ludzie.

Głos Kroniego:

- Postanowiliśmy nie czekać. Idziemy schodami w górę. Będę meldował, na który poziom dotarliśmy.

- Dobrze - odpowiedział Kruminsz.

- Jadę z tobą - zwrócił się Takasi do Stancza. - Chcesz dotrzeć do szóstego poziomu?

- Tak. Tych ludzi zabrałem z ósmego.

- Takasi! - krzyknął Kruminsz.

- Szybciej! - powiedział Takasi. - Tam na nas czekają. Ostatniego człowieka trzeba było dosłownie wypchnąć z windy, żeby jak najszybciej pojechać w dół. Kruminsz westchnął beznadziejnie i zobaczył, że pod daszek wchodzi Maks.

- Z Güntherem naprawdę jest źle? - zapytał Biely.

- Tak - odparł Kruminsz.

- Żadnej nadziei?

- Żadnej. Nie mogłem jednak powstrzymać Takasiego, który tam poleciał.

- A co z wodą?

Maks mówił bardzo spokojnym, martwym głosem.

- Najgorsze, że woda znowu się przebiła i nie wiadomo jak długo zawał wytrzyma.

- Szkoda, że nie zdążyłem - powiedział Maks. - Poszedłbym zamiast Takasiego. Miałbym więcej szans.

- Nikt nie powinien tam iść.

- Wiem - powiedział Maks. - Wiem, że nikt, ale ktoś przecież tam pójść musiał. Teraz będę musiał tu zostać.

- Tak - odparł Kruminsz. - Będziesz musiał tu zostać, bo nie ma komu wyprowadzać ludzi.

Takasi szedł tunelem, orientując się według strumienia wody, który już zajmował cały środek posadzki, i przeskadzał w marszu. Kiedy dotarł do zawalu, spod którego, jak spod krawędzi lodowca, tryskały strumienie wody, zrozumiał, że jego wyprawa była daremna. Ale ktoś musiał ją podjąć. Jeśliby on lub ktokolwiek inny nie przyszedł w to miejsce, na całe życie pozostałyby wyrzuty sumienia, że nie zrobili tego, co dla każdego z nich zrobiliby bez wahania tropiciel Günther.

Takasi obejrzał rumowisko. Cały strop tunelu runął w dół i było oczywiste, że Günther prawidłowo wybrał to jedno, jedyne miejsce, w którym należało dokonać wybuchu. Zawal jeszcze zatrzymuje wodę.

- Zawal trzyma - powiedział do mikrofonu.
- Günthera nie ma - powiedział twierdząco Kruminsz.

- Nie.

- Natychmiast wracaj - powiedział Kruminsz.

- Dużo ludzi wyjechało?

- Dużo, ale nikt nie wie, ilu jeszcze zostało.

- A co z Kronim?

- Udało mu się przejść tylko jeden poziom, gdzie znalazł pod dostatkiem miejscowych uciekinierów. Dalej schody są zawalone. Stanczo usiłuje się do nich przebić.

- Ale na jego windę chyba nie ma co liczyć?

- Nie. Jest wprawdzie jeszcze druga winda, ale to bardzo daleko od ciebie.

- Coś wymyślę - powiedział Takasi.

Jeszcze raz spojrzął na zawal. Wypływający spod niego potok wody rósł w oczach.

- Zostało już niewiele czasu - powiedział Takasi. Myślał, że powiedział to w duchu, ale Kruminsz go usłyszał.

- Uciekaj stamtąd! - krzyknął.

Takasi zawrócił. Strumień pomagał mu iść, popychając z tyłu, a jednocześnie był tak silny, że zwał z nóg. Trzeba więc było biec, podzuczając wysoko kolana.

Potem Takasi odszukał schody prowadzące na wyższy poziom i dotarł do miasta. Ten poziom był prawie pusty. Na ulicach koło niewielkich domków wystających samymi tylko fasadami ze ściany skalnej stały lampki zostawione tam przez mieszkańców. Jakieś ciemne postacie na jego widok ukryły się pospiesznie w ciemności ciągnąc za sobą ciężkie worki. Okazało się, że nawet w takiej sytuacji znalazło się miejsce i czas dla złodziei. Na niewielkim placu płonąła sterta śmieci.

Takasi przypomniał sobie plan ulic i wiedział, gdzie znajdują się schody, które niedawno odgruzowywał. Właśnie w ich kierunku szedł.

Szedł i słuchał głosu Gery:

- Szanowni współobywatele. Są jeszcze miejsca w służbowej windzie trzeciej sekcji. Ci, którzy znajdują się w pobliżu, mogą przejść do windy...

Głosu Kruminsza:

- Kroni, prowadź ludzi do dużej windy. Tam przebija się Stanczo.

Głosu Kroniego:

- Na ulicy, którą idziemy, pojawiła się woda spadająca z góry. Głosu Maksa, który wziął od Kruminsza zapasowy nadajnik:

- Wilis, nadchodzi deszcz. Trzeba wysłać kogoś po brenty. Głosu Kruminsza:

- Jeśli oni zmkną, to nie stanie się nic złego. Tych ludzi trzeba przede wszystkim nakarmić.

Głosu Anity:

- Wilis, nie zdajesz sobie sprawy z tego, że połowa tych ludzi jest już przeziębiona, a jutro będzie zupełny koszmarn. Oni nie są przyzwyczajeni do świeżego powietrza.

- Poślij którąś z dziewcząt.

- Gdybym tylko mogła je znaleźć w tym tłumie... Nieoczekiwanie tuż przed Takasim runęła ściana wody. Opadła jak kurtyna, przegradzająca cały korytarz. Za nią widać było rzadkie ogniki stojących na ziemi kaganków.

- Tutaj też jest woda - powiedział.

- Numer poziomu? - zapytał Kruminsz.

- Piąty.

- To znaczy, że puściła jeszcze jedna tama - powiedział Kruminsz.

- Tak. Woda płynie z góry, a więc przebiła się na czwartym poziomie.

- Ale Gera nadaje?

- Nie słyszysz?

Takasi pobiegł w stronę schodów. Tuż przed samą klatką dopędził grupę uciekinierów, która zmyliła drogę i pchała się w ślepy zaułek. Takasi pomyślał, że setki ludzi grupami i w pojedynkę snują się teraz tunelami i korytarzami.

Ziemia znów zatrzęsła się pod nogami. Puścił jednocześnie zawal Günthera i tama trzy poziomy wyżej.

Takasi zdążył doprowadzić grupę uciekinierów do schodów i szedł teraz za nią. W samą porę. Woda szybami windowymi i kanałami wentylacyjnymi runęła w dół, do elektrowni. Wypełniła poziom najniższy i zaczęła się podnosić. Wkrótce powinna dotrzeć do poziomu, na którym znajdował się tunel prowadzący do Otchłani.

Takasiemu wydawało się, że schody między poziomami nie mają końca, tym bardziej że wciąż musiał się zatrzymywać, popychać i ciągnąć pozostających w tyle. Zbliżanie się kolejnego poziomu znamionował ochryply dźwięk głośników. Chrapliwy, niemal męski głos Gery, przerywany atakami kaszlu, brzmiał jak puls umierającego ciała.

Innymi schodami o kilka poziomów niżej wspinał się Kroni. Otaczający go tłum był znacznie liczniejszy i poruszał się wolniej niż grupa Takasiego. Ci ludzie prawie nie mieli szans, chociaż rozumiał to tylko Kroni i archeolog. Nie można też im było pomóc, gdyż Stanczo musiał trzykrotnie zawracać. Zatrzymywał windę, bo na każdym podejściu byli ludzie, którzy również potrzebowali ratunku. A Stanczo nie mógł nic więcej wycisnąć z windy, która miała ograniczoną prędkość i pojemność.

Ludzie wychodzili spod ziemi nie kończącym się potokiem.

Takasi wyprowadził swoją grupę na najwyższy poziom, skąd wydeptany już, dobrze znany tunel prowadził na powierzchnię.

Znów były głosy, odrębne, ale splecione w dziwny kłębek współzależności.

Głos Anity:

- Wilis, muszę kłaść dzieci na ziemi. Głos Maksa:

- Gdzie jest Stanczo? Łazik się rozkraczył. Gdzie jest Stanczo?!

Głos Kruminsa:

- Stanczo jest na dole. Od pięciu minut nie miałem od niego żadnej wiadomości.

Milczenie. Jakby wszyscy czekali, aż Stanczo się odezwie. Ale Stanczo nie ma nadajnika. Jeśli winda stanęła na dole, to znalazł się w nie lepszej sytuacji niż Kroni.

Głos Gery, ochrypli i prawie niezrozumiały:

- Mówi Gera Spel. Doniesiono mi z góry, że uratowani nie chcą odchodzić od wierzchniego otworu. Ci, którzy przy nim pozostaną, narażają się na niebezpieczeństwo. Prosimy niezwłocznie, powtarzam, niezwłocznie odchodzić dalej. - I innym już głosem, jakby niechący wyrwało jej się: - Woda na podłodze...

Była niczym radiotelegrafista tonącego statku, nadający SOS, kiedy nad rozszalałymi falami widać jedynie szczyty masztów. Ale ten obraz, który przemknął przez głowę Takasiego, niewiele mógł znaczyć dla samej Gery. Głos Kroniego:

- Woda nas dopędza. Jeśli Stanczo zamierza przebić się do nas, to nie puszczajcie go, bo szyb jest zalany. Powtarzam, woda nas dopędza! To chyba ostatnia wiadomość ode mnie.

Takasi szedł w dół i słuchał głosów miasta, a kiedy Kruminsz starając się kontrolować ruchy wszystkich, z którymi miał łączność, zapytał go, gdzie jest, odpowiedział krótko:

- U mnie wszystko w porządku. Głos Gery:

- Nie ulegajcie panice...

Takasi pomyślał, jak ta dziewczyna musi się czuć sama w pokoju, gdzie leży ciało jej ojca. I jak się boi, że nikt po nią nie przyjdzie. Jak jeden po drugim milkną kolejno poziomy, a jej już się wydaje, że została sama pod ziemią.

Głos Kroniego:

- Takasi, jesteś tu? Takasi!

- Jestem, Kroni.

- Na którym poziomie?

- Na górnym.

- Odchodzisz?

- Nie, zostaję.

- Takasi, jeśli możesz, znajdź Gerę.

- Właśnie do niej idę.

- Zwariowałeś?! - wrzasnął Kruminsz i zamilkł. Potem znów martwym i beznamiętnym głosem zaczął wydawać rozkazy łazikom i żądać, żeby szpital przyjmował więcej dzieci. Pochłonięty był innymi sprawami, bo na powierzchni zebrało się już kilkuset ludzi i nie mógł niczym już pomóc tym, którzy zostali w mieście.

- Idź do Gery - powtórzył Kroni...

- Co tam u ciebie? - zapytał Takasi już w biegu. Bał się, że głos Kroniego zamilknie. Chciał wierzyć w cud, ale cud był niemożliwy, bo dzieliło go od Kroniego kilka poziomów, a Kroni szedł jako ostatni w ogromnej procesji ludzi, której nie dane będzie dojść na Górę...

- Nie umiem pływać... - powiedział nagle Kroni zupełnie innym głosem. Potem zrobił długą pauzę i dodał, jak podsumowanie: - To tutaj nie ma żadnego znaczenia.

Takasi wbiegł na trzeci poziom, gdzie woda, nie nadążając spływać do zatopionych szybów i klatek schodowych, krążyła leniwie nad ich wlotami.

Na ulicach nikogo nie było. Tylko głos Gery, cichy, przerywany i nieskończenie samotny. Puls miasta zamierał.

Takasi w drodze kilka razy wołał Kroniego, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Z przeciwka płynął szczur. Zwierzę płynęło szybko i nie spostrzegło Takasiego, który usunął mu się z drogi.

W Domu Dyrektorów paliło się światło. Widocznie działał agregat awaryjny. Takasi wszedł do środka. Podłoga była tam podwyższona i dlatego woda sięgała mu jedynie do kolan. Gigantyczny stół, przy którym obradowali Dyrektorzy, wydawał się bardzo niski, bo jego nogi do połowy skryły się pod gładką powierzchnią wody.

- Gero! - zawołał Takasi.

Z małego pokoiku dobiegł go kaszel.

Takasi poszedł tam. Gera ścisnęła w rękę mikrofon, kasłała i wycierała krew sączącą się z kącików ust.

- Kroni - powiedział Takasi i wskazał ręką do góry. - Kroni. Gera usiłowała coś powiedzieć, a zdumienie na jej twarzy ustąpiło miejsca bolesnemu grymasowi.

- Daj spokój - powiedział Takasi i wyjął jej mikrofon z ręki. Poczł nagle, że musi coś powiedzieć umierającemu miastu.

- Uwaga - powiedział do mikrofonu, jakby spełniał jakiś rytuał. - Uwaga! Mówi Takasi Nakajama. Radiostacja kończy pracę po zakończeniu ewakuacji miasta. Wznowienie jej działalności nastąpi jutro na powierzchni ziemi w nowym mieście. Do usłyszenia.

Nieważne, że nikt go nie zrozumiał.

Gdy tylko nie musiała już mówić, Gera straciła przytomność. Zaczęła tak ciężko chrypieć, że omal się nie udusiła. Takasi wziął ją na ręce i pomyślał, że Kroni miał rację - dziewczyna jest bardzo podobna do Nataszy. Zupełnie inna, ale bardzo do Nataszy podobna.

- Zaprzyjaźnicie się - powiedział. - Z pewnością zostaniecie przyjaciółkami.

- Takasi - powiedział Kruminsz. - Słyszeliśmy twoją ostatnią audycję. Nie zdążysz dojść do schodów. Przebij się do szybu windy. Maks opuści ci tam linę. To jedyna możliwość. Nie zdążysz dojść do schodów. Ciśnienie pary w kawernie szybko wzrasta. Przenosimy stanowisko łączności na wzgórze i zabieramy stąd ludzi. Zostaje tylko Maks. On nie odejdzie.

Takasi biegł po pas w wodzie, jeśli to powolne kuśtykanie można było nazwać biegiem. Przerzucił lekkie ciało Gery przez ramię, i biegł, choć tracił oddech, a jego niezawodne dotąd mięśnie zupełnie zdrętwiały.

Kruminsz wyłączył się. Władował pulpitem łączności do łażnika, a sam pobiegł do jamy, gdzie Maks kręcił ręczny kołowrót, bo wiedział, że Bięły sam nie wyciągnie Takasiego i Gery.

Takasi zatrzymał się przy szybie windy i pomyślał z abstrakcyjnym zdziwieniem, że gdzieś niedaleko para wypelnia ogromną ognistą pieczarę i że ten kocioł w każdej chwili może wylecieć w powietrze.

Z góry zjeżdżała podrygująca lina. Po chwili wpadła z chłupotem do wody, która leniwie ściekała do szybu. Miasto było nią nasycone jak gąbka. Takasi, omal nie zwalając się w przepaść, złapał linę i zaczął nią obwiązywać Gerę...

Miasto wyleciało w powietrze dwadzieścia minut później...

Biegli drogą zoraną gąsienicami łażników, a daleko przed nimi, popędzając maruderów, kuśtykał pospiesznie garbus. Jego kępna postać ledwie zdążyła zniknąć za grzbieciem wzgórza, gdy ziemia za nim zaczęła ze zgrzytem i głuchym łoskotem wypiętrzać się, jakby z głębi wyrzywał się na wolność jakiś ogromny potwór. Takasi rzucił Gerę na ziemię i przykrył ją swoim ciałem.

Ziemia wystrzeliła do góry groźnym słupem skały, wody, pary. I jeszcze nie zdążyły dolecieć do niskich chmur drobne kamienie i bryzgi lawy, kiedy zaczęła zapadać się do środka, krusząc i niweczając po drodze to, co jeszcze rano było nie tylko miastem, ale również pradawnym, uporządkowanym światem. Następnego ranka na tym miejscu powstało głębokie, prawie idealnie okrągłe jezioro. Ze skał na jego przeciwległym brzegu unosiły się smugi pary.

A kiedy minęła wieczność i z nieba przestały lecieć kamienie, kiedy ziemia ciężko westchnęła i przestała dygotać, wszyscy wstali. Najpierw Kruminsz i Maks. Potem Takasi. Takasi ostrożnie podniósł Gerę. Kruminsz przeciągnął dłoń po skroni i strząsnął trochę krwi - dostał odłamkiem kamienia.

- Idziemy? - zapytał Kruminsz, nie odwracając się.

Takasi szedł pierwszy. Maks stanął i długo patrzył do tyłu, starając się zapamiętać na zawsze miejsce, z którego nie wrócił Günther Jantz.

Takasi oddał Gerę Anicie, która czekała na nich przy wejściu do szpitalika. Nataszy nie zdołał odnaleźć w rozzedrganym, krzykliwym i przerażonym ludzkim mrowisku.

Takasi był bardzo zmęczony i chciał pobyć sam. Żeby niczego nie słyszeć i o niczym nie myśleć. Zbiegł ze wzgórza i położył się w trawie. Gwar obozu docierał do niego jak odległe brzęczenie pszczół. Koczowały w nim setki ludzi, których trzeba było nakarmić, zakwaterować i uspokoić, ludzi, którzy nigdy nie widzieli Kroniego, który przebył tak długą drogę do Miasta na Górze, i nie widzieli Günthera, który o pół godziny opóźnił powódź. Ani inżyniera Razięgo, który został z Güntherem, chociaż mógł uciec, ani Stancza, który osiem razy zjeżdżał na dół, a nie zdążył wrócić po raz dziewiąty...

Takasi leżał na trawie i patrzył w niebo, które nie może zwalić się na głowę. Tam właśnie znalazła go Natasza. Usiadła obok i położyła dłoń na jego pokaleczonym, gorącym czole.

KONIEC